Nieprawdopodobne zjawiska z całego świata: od fotografii myśli, przez stygmaty i wizyty Obcych, po starożytny komputer

FENOMENY NIEMOŻLIWE

które nie mogły zaistnieć, a istnieją

FENOMENY NIEMOŻLIWE

które nie mogły zaistnieć, a istnieją

REINHARD HABECK

Przekład
BARBARA KWIATKOWSKA
KATARZYNA ŁAKOMIK

AMBER

Redaktor prowadzący serii Księgi Tajemnic
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Korekta
Renata Kuk

Zdjęcie na okładce
© Bernhard Möstl

Tytuł oryginału
Kräfte, die es nicht geben dürfte: Irreale Phänomene und Erscheinungen aus aller Welt

Copyright © 2010 by Verlag Carl Ueberreuter, Wien
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6623-7

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Inge i Walterowi Garn:
dwojgu wspaniałym ludziom, którzy od dnia moich narodzin
zarażali mnie dobrym nastrojem i pozytywną energią.

Między niebem a ziemią wszystko jest możliwe

Wszyscy jesteśmy pielgrzymami na drodze w nieznane.
Paulo Coelho

Jako publicysta w dziedzinie medycyny tematem zdrowia zajmuję się od 35 lat. Od 25 lat przedstawiam go w telewizji i w radiu. W ciągu tych wszystkich lat miałem okazję rozmawiać z wieloma lekarzami, naukowcami, ekspertami lecznictwa naturalnego oraz z pacjentami. Pamiętam przypadki wyzdrowienia, w których najbardziej realistycznie wyrokujący lekarze szczerze przyznawali: „Nie było absolutnie żadnej szansy na pokonanie choroby. To cud, że pacjent wyzdrowiał!" Przypadki wyzdrowienia, które według wiedzy medycznej właściwie nie powinny się zdarzyć. Wielu czytelników także z pewnością słyszało o podobnych cudownych ozdrowieniach. Jakie siły wówczas zadziałały?

Rozmawiałem także z ludźmi, którzy byli bliscy śmierci i którym całe życie przebiegało już przed oczami. Wyznawali mi: „Byłem już martwy". Za każdym razem myślałem wtedy: Stało

się coś niepojętego, co w gruncie rzeczy nie miało prawa się wydarzyć. O wszystkich tych przypadkach przypomniałem sobie, czytając maszynopis tej książki. Jej autor, genialny rysownik i empatyczny pisarz Reinhard Habeck, opisuje tajemnicze siły, widmowe zjawiska i przedziwne fenomeny, które dowodzą, że między niebem a ziemią dzieje się wiele rzeczy, których istnienia nie chcemy zaakceptować tylko dlatego, że (jeszcze) ich nie rozumiemy. W tej książce przeczytacie o wielkich, fascynujących wydarzeniach – nie chcę jednak zdradzać zbyt wiele.

W tym miejscu wspomnę o kilku drobnych zdarzeniach, za którymi również kryją się tajemnicze siły, będące wyzwaniem dla naszych racjonalnych umysłów. Być może sami nawet przeżyliście takie niewiarygodne momenty. A jeśli nie, to pewnego dnia może się zdarzyć, że też ze zdumieniem będziecie się zastanawiać, czy był to tylko przypadek, czy może działanie nadnaturalnych sił.

Sam wierzę w cudowne moce, które niespodziewanie pojawiły się na mojej drodze. Są dla mnie dowodem, że w naszym życiu po prostu wszystko może się zdarzyć. Dlatego nie powinniśmy zamykać się przed niezwykłymi wydarzeniami, które nie pasują do znanego i logicznego obrazu świata.

Od dzieciństwa mieszkam z kotami, ponieważ bliskość tych zwierząt wzbogaca moje życie. Wiele lat temu szczególnie silna relacja łączyła mnie z moim kocurem Möbiusem. Kot nie dożył starości; umarł podczas skomplikowanej operacji z powodu ciężkiego schorzenia pęcherza. Byłem zrozpaczony. Kilka dni

po jego śmierci, pewnej dusznej letniej nocy, leżałem w półśnie w łóżku. Nagle bardzo wyraźnie usłyszałem cichutkie stąpanie po parkiecie: tap, tap, tap. Möbius wszedł do sypialni i wspiął się na łóżko. Nie było w tym nic niesamowitego. Czułem nacisk jego łap na kołdrze. Przepełniły mnie wtedy szczęście i radość. Wiem, że był u mnie jeszcze raz – żeby mnie pocieszyć albo żeby dać znać, że ma się dobrze.

Inna historia. Mroźny zimowy dzień w Wiedniu. Spieszyłem się na ważne spotkanie w sprawie umowy dotyczącej nowego poradnika. Byłem już spóźniony, dlatego poszedłem na skróty przez park. Są tam schody, z których w zimie zazwyczaj nikt nie korzysta. Były pokryte warstwą śliskiego lodu. Poślizgnąłem się, uniosłem odruchowo ręce i wiedziałem, że upadnę i pewnie połamię sobie wszystkie kości. Tak się jednak nie stało. Cudem udało mi się odzyskać równowagę. Miałem wrażenie, jakby pochwyciły mnie niewidoczne siły i utrzymały na ziemi. Z ulgą powiedziałem po cichu: „Dziękuję!” Teraz, gdy to sobie przypominam, myślę, że dziękowałem mojemu aniołowi stróżowi. A może po prostu miałem szczęście?

W pamięci utkwiła mi jeszcze jedna sytuacja. Nawet gdy – tak jak ja – wzięło się udział w ponad tysiącu programów telewizyjnych jako prezenter, gościło się w wielu talk-show, obecność w programie nadawanym na żywo wciąż jest emocjonująca. I wtedy nadszedł szczególnie ważny dla mnie dzień. Udo Foth, szef działu rozrywki stacji MDR, dał mi szansę poprowadzenia dużego wieczornego programu *Deutschland singt* (Niemcy śpiewają) razem z popularną gwiazdą

telewizyjną Güntherem Emmerichem i pogodynką ze stacji ARD, Claudią Kleinert. Trzeba sobie wyobrazić, jak emocjonujące jest wystąpienie przed publicznością, wiedząc, że przed telewizorami siedzi około sześciu milionów ludzi. Chwilę przed programem stałem zdenerwowany, podekscytowany. Nagle poczułem w sobie energię dodającą mi otuchy, a z głębi mojego wnętrza popłynęły do mnie słowa: „Poradzisz sobie! Jestem przy tobie!" To była siła, której nie potrafiłem zrozumieć, ale czułem wyraźnie: to były słowa mojej matki, która już dawno temu zmarła.

Są to niezapomniane doświadczenia w codziennym życiu. Kto się w siebie wsłucha, przyzna mi rację: nadzmysłowe doznania istnieją naprawdę. Przydarzają się nam co jakiś czas i dają pozytywną energię, bo za kulisami naszego życia jest coś jeszcze. Świadomi tego, doświadczamy, moim zdaniem, pierwotnego daru, jaki otrzymaliśmy, przychodząc na Ziemię, i który niestety często nam się gubi. Znów powinniśmy zacząć się w siebie wsłuchiwać. Wówczas będziemy potrafili zrozumieć wiele, zdawałoby się, tajemniczych fenomenów i nie kręcić z niedowierzaniem głową.

W związku z tym pójdę o krok dalej, bo jestem przekonany, że każdy, kto ma w sobie ten zmysł w naszych czasach, będzie żył zdrowiej i dłużej, ponieważ szybciej będzie dostrzegał zmiany w swoim organizmie i odpowiednio na nie reagował. To także jest dar, który wielu z nas utraciło, a który umożliwia cudowne ozdrowienia.

Nie ma znaczenia, czy ktoś z czytelników zetknął się już z takimi energiami, czy doświadczył ich osobiście i czy jeszcze kiedyś mu się przydarzy ten kontakt. Książka Reinharda Habecka daje ciekawy wgląd w świat niezrozumiałych fenomenów. Kontrowersyjne treści stanowią dobrą okazję do zastanowienia się nad kwestiami, którym nie poświęcilibyśmy być może w ogóle uwagi.

Życzę przyjemnej lektury i wielu zaskakujących odkryć.

Prof. Hademar Bankhofer

Realność tego, co nierealne

Gdyby istniała tylko jedna jedyna prawda, nie można byłoby namalować stu obrazów na ten sam temat.

Pablo Picasso (1891–1973)

Bywa tak, że sprawy nieoczekiwanie i ku naszej radości nabierają własnej dynamiki. Tak się stało w przypadku mojej książki *Rzeczy niemożliwe, które nie mogły powstać, a istnieją*, opublikowanej w 2008 roku. Przedstawiłem w niej spektakularne archeologiczne odkrycia, które nie pasują do znanego schematu historii ludzkości. Te sprzeczne z prawami nauki artefakty są często ignorowane przez konserwatywnych naukowców i w większości znikają w otchłani archiwów albo zostają ocenione jako „prawdopodobnie falsyfikat". Dzięki moim wiernym i życzliwym w swej krytyce czytelnikom książka odniosła sukces. Po niej ukazała się kolejna część – *Obrazy i fotografie niemożliwe, które nie mogły powstać, a istnieją*. Przedstawiłem w niej tajemnicze obrazy i fotografie z całego świata, od niezrozumiałych motywów na malowidłach jaskiniowych po niewyjaśnione zdjęcia kosmosu z misji NASA.

W rękach moich czytelników znajduje się kolejna część serii o niezwykłych fenomenach. Tym razem przedstawię zadziwiające energie i zjawiska. Tylko dlaczego miałyby one nie móc istnieć? Ponieważ także i tym razem są to dziwne fenomeny, przeczące wszelkiej logice, zdrowemu rozsądkowi oraz nauce – fundamentom, na których opiera się cała nasza współczesna wiedza o naturze i jej prawach. Samo niewiarygodne wydarzenie nie jest jeszcze dowodem na istnienie świata pozazmysłowego. Nasze zmysły mogą nam też czasem płatać figle. I oczywiście nie jest żadną tajemnicą, że mogą się także zdarzać błędne interpretacje i pomyłki. Wiadomo również, że w zakresie zjawisk paranormalnych nie brakuje osób o nieszczerych zamiarach. Jednak generalizowanie wszystkich niewyjaśnionych zdarzeń jako omamów i urojeń także niczego nie dowodzi.

Jako miłośnik fantastyki odważę się na prognozę. Wiele z obecnie jeszcze niepojętych rzeczy stanie się dla nas zrozumiałe dzięki dalszym badaniom naukowym. Inne z kolei nigdy nie zostaną wyjaśnione lub uda się je zrozumieć tylko częściowo, nawet pomimo dokładnych badań. Jednocześnie pojawią się odkrycia dziś jeszcze zupełnie nieznanych „cudów", które zakwestionują znany dotychczas obraz świata. Już teraz najnowsze eksperymenty fizyki kwantowej wstrząsają filarami naszych wyobrażeń o rzeczywistości. Coraz więcej naukowców zadaje sobie pytanie: Jak rzeczywista jest rzeczywistość?

Czy za zewnętrznym, materialnym światem kryje się coś zupełnie obcego, bezcielesnego i niewidocznego? Od czasów

prehistorycznych ludzie na całym świecie są o tym przekonani. Ale jak można udowodnić ukryte energie i paranormalne wydarzenia? Czy wymaga to nowego spojrzenia, które niezbędne jest w rozszerzonym fizycznym wyobrażeniu o świecie? Czy niezrozumiałe fenomeny PSI (PSI – w parapsychologii oznaczenie zjawisk paranormalnych) są ze sobą nadrzędnie powiązane? A może każdą aktywność należy oceniać jako poszczególny przypadek? Nie istnieje gotowe rozwiązanie tych zagadek. Odkrywanie prawdy wciąż jest wielkim wyzwaniem, ale gdyby wszystko w naszym świecie dało się racjonalnie wyjaśnić za pomocą nowoczesnej techniki, jaki byłby wówczas człowiek? Z pewnością znacznie uboższy.

Ten, kto od tej książki oczekuje ostatecznych odpowiedzi, będzie rozczarowany. Staram się przedstawiać dziwne wydarzenia, w miarę możliwości nie oceniając ich, jednak wyrażam swoje wątpliwości tam, gdzie zdaje mi się to wskazane. Nie wszystkie, ale większość opisanych miejsc, w których miały zajść niewyjaśnione zdarzenia, odwiedziłem osobiście. Oddaję także głos naocznym świadkom oraz naukowcom, którzy przedstawili mi swoje przypuszczenia i tezy – za i przeciw. Skupiam się głównie na tajemniczych wydarzeniach, po których pozostały widoczne ślady: na przykład nagranie tajemniczego fenomenu, pisemny dowód w starej kronice albo kamienna zagadka – w każdym razie coś uchwytnego, co można zbadać i zobaczyć na własne oczy.

Czytelnicy, którzy oczekują ezoterycznych rozważań, również będą niepocieszeni – celowo pomijam tematy takie jak

astrologia, medycyna alternatywna, terapia kwiatowa Bacha, channeling, déjà vu, egzorcyzmy, uzdrawianie na odległość, guru, homeopatia, wróżenie z fusów, terapia światłem, medium, Nostradamus, przepowiednie, Paracelsus, qigong, reiki, kult szatana, przesuwanie się stołu, pechowe dni, vudu, wilkołaki, joga, ksylomancja, zen. Jest wielu fachowców, którzy mogą się wypowiadać na ten temat. Nie piszę także o umiejętnościach znanego mentalisty i zginacza łyżeczek, Uriego Gellera. Niechaj zajmują się tym przyszłe pokolenia.

Czytelnicy mogą zadać sobie teraz pytanie: jakie pozostały nam zatem nadnaturalne zjawiska i zdarzenia, których nie potrafią wyjaśnić nawet naukowcy? Cóż, proszę przekonać się osobiście. Na następnych stronach zostaną opisane historie niezwykłe, niewyjaśnione, ciekawe i często także zabawne.

Reinhard Habeck

NADNATURALNE PAMIĄTKI

Patrzycie i pytacie: Dlaczego?A ja marzę i pytam: Dlaczego nie?

George Bernard Shaw (1856–1950)

Ukryte rzeczywistości, skamieniałe tajemnice i mistyczne obiekty

Czy wierzysz w nadnaturalne zjawiska? Pytanie, które stawiane jest chyba od zawsze. Już Hamlet u Szekspira mówi, że „więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom”. Owo stwierdzenie do dziś nie utraciło aktualności, bo na całym świecie wciąż pojawiają się relacje o niewiarygodnych zdarzeniach, które zdają się przeczyć prawom natury: magiczne relikty, wiadomości z zaświatów, obrazy przekazywane za pomocą myśli, ukazujące się twarze nie z tego świata, religijne cuda, przekraczanie granicy między światem duchowym a materialnym, pola morfogenetyczne, niewyjaśnione skamieliny, ingerencja pozaziemskich „bogów” dysponujących niezwykłą technologią, kryształowe czaszki jako magazyny pamięci, kanały do innych wymiarów, pozazmysłowe postrzeganie, widma, hałasujące duchy. Co sądzić o takich historiach? Są to tematy kontrowersyjne i jednocześnie stare jak świat. Do dziś jednak brak potwierdzonego wyjaśnienia tych fenomenów.

Najczęściej obserwowanymi zjawiskami nadnaturalnymi są spontanicznie pojawiające się widma. Mogą one występować

wszędzie. Mówimy wówczas: „To niemożliwe!” albo „Tutaj straszy!” Stare niemieckie słowo *Spuk* (widmo, zjawa, duch) pochodzi najprawdopodobniej od indogermańskiego trzonu słowa znaczącego „świecić”. W północnych Niemczech osoby widzące duchy nazywano S*pökenkieker*. W ten sposób słowo *Spuk* weszło do języka wysokoniemieckiego, znacząc „pojawianie się widma”. Zjawiska te doczekały się także naukowej definicji: „powracająca psychokineza spontaniczna”, tak zwane fenomeny RSPK (Recurrent Spontaneous Psychokinetics). Dla ułatwienia pozostanę przy tradycyjnych słowach: „widmo”, „zjawa” lub „duch”. Jakkolwiek by jednak je nazywać, zjawiska paranormalne są rzeczywiste. Tylko jak powstają?

Filmy i zdjęcia ukazujące duchy

Czy nasze ciało energetyczne wciąż istnieje po śmierci? Gdzie się wtedy znajdujemy? Czy istnieje możliwość powrotu na Ziemię? I jeśli tak, co dokładnie powraca? Czy zmarli mogą przekazywać żyjącym wiadomości swoją obecnością? Czy istnieją światy równoległe i wyższe wymiary, z których nieznane istoty przenikają do naszej rzeczywistości w postaci spontanicznych obrazów? Czy możliwe jest przejmowanie od ludzi fal myślowych i przenoszenie ich za pomocą energii psychokinetycznej na materiał filmowy?

Te fantastyczne pytania zrodziły się wraz z odkryciem „fotografii duchów”, kiedy dopiero po wywołaniu filmu to, co niewidzialne, stawało się widoczne. Mogą to być eteryczne twory, nieznane i niewyraźne twarze, tajemnicze światła, zjawiska optyczne, cienie lub unoszące się obiekty i dziwne mgliste plamy. Można je znaleźć na zdjęciach polaroidowych, materiałach wideo, w odbiornikach telewizyjnych i na ekranach komputerów, ale w ostatnim czasie pojawiają się one coraz częściej także na nagraniach cyfrowych, uchwycone przez aparaty telefonów komórkowych i kamery monitoringu.

Piętnastego listopada 2007 roku na całym świecie poruszenie wywołała informacja o „pojawieniu się ducha”. Kamera na stacji benzynowej w amerykańskim stanie Ohio zarejestrowała niewyjaśniony niebieski obłok mgły, który nagle pojawił się na obrazie, przez chwilę wirował, a potem zniknął. Fantom widoczny był na ekranie przez prawie godzinę. Na jednym z ujęć widać, jak dziwny obłok opada na szybę parkującego samochodu. Prawdziwy duch? Sceptycy widzą w tym raczej usterkę kamery lub owada spacerującego po soczewce.

Burzliwe dyskusje wywołał także inny film, nagrany w centrum angielskiego miasta Bristol w październiku 2009 roku. Na nagraniu widać błękitne światło, które staje się coraz większe, porusza się tam i z powrotem, przyjmuje ludzki kształt, chwilę potem rozpada się i za kilka minut znów się pojawia, po czym całkowicie rozpływa się w powietrzu. Jedna ze śmiałych hipotez podaje za przyczynę zjawiska „inteligentną materię”, tak zwane *plasma blobs*. Mogły to być nagromadzone

informacje i niewidoczne struktury z przeszłości, uwidaczniane przez silną energię własną w sposób dla nas niezrozumiały. Naukowcy badający zjawiska paranormalne mówią w związku z tym o wpływie „morfogenetycznych pól", rozumianych jako „pamięć natury". Krytycy nie dają temu wiary i również w tym przypadku za bardziej prawdopodobne uważają techniczne usterki kamery lub odbicia reflektorów przejeżdżających samochodów. Jednak mimo wszelkich wątpliwości dziwi jedna rzecz: dlaczego pozostałe nagrania są bez zarzutu i – pomijając anomalię świetlną – pokazują zupełnie normalne otoczenie?

Na całym świecie znaleźć można mnóstwo przykładów podobnych zdarzeń. Wiele z nich zostało opublikowanych na platformie YouTube i można je tam zobaczyć. Ale które z nich można uznać za autentyczne? Już od czasu wynalezienia fotografii pojawiają się zdjęcia ukazujące przezroczyste postacie. „Zdjęciom duchów" poświęcano wiele uwagi w fazie rozkwitu spirytyzmu, gdy podczas seansów za pośrednictwem medium nawiązywano podobno kontakt ze zmarłymi. Początki „fotografii zjaw" wiążą się z osobą Amerykanina Williama H. Mumlera (1832–1884), który działał aktywnie w Nowym Jorku i Bostonie. Na wielu portretach jego klientów widać niewyraźne postacie i twarze ludzkie. Mówiło się, że są to członkowie rodzin lub przyjaciele fotografowanych osób. Interes kwitł. Do czasu, aż zauważono, że „twarze zjaw" wykazywały uderzające podobieństwo do wciąż żyjących mieszkańców Bostonu. Mumler został aresztowany i oskarżony o oszustwo. Choć nigdy nie udało się udowodnić mu oszukańczych zamiarów, jego

kariera zawodowa legła w gruzach i poważany do tego czasu fotograf zmarł w biedzie. Dziś zdjęcia Mumlera uważa się za kiepskiej jakości falsyfikaty wykonane za pomocą podwójnego naświetlania i przy użyciu waty, dzięki którym na płycie fotograficznej pojawiały się pożądane efekty.

Mimo uzasadnionych wątpliwości, jakie nasuwają się w reakcji na działalność oszustów i sprytnych biznesmenów, istnieją „zdjęcia duchów" pochodzące z wiarygodnych źródeł, gdzie fotografowie sami byli zaskoczeni tym, co zobaczyli na fotografii. Tak się stało w przypadku najsłynniejszego historycznego zdjęcia ducha – choć nawet tutaj trudno z całą pewnością dowieść autentyczności. Chodzi o wielokrotnie publikowaną i omawianą czarno-białą fotografię z Raynham Hall, starego brytyjskiego dworu położonego w Norfolk. Mieszkała tam niegdyś Dorothy Walpole (1686–1726), siostra pierwszego premiera Anglii, sir Roberta Walpole'a. Według legendy Dorothy ukrywała przedmałżeński romans z niejakim panem Whartonem. Kiedy dowiedział się o tym jej późniejszy mąż, lord Charles Townshend, ogarnęła go niepohamowana wściekłość. Obawiał się, że namiętność małżonki do rywala mogła rozgorzeć na nowo. Aby zapobiec ewentualnej niewierności, zazdrośnik więził żonę przez lata w jednym z pokoi domu, gdzie zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach w wieku 40 lat. Jako oficjalną przyczynę śmierci podano ospę. Wciąż krążyły jednak pogłoski, że lady Walpole zmarła wskutek złamanego serca lub skręcenia karku po upadku ze schodów.

Plotkowano także, że mógł jej w tym nieco dopomóc brutalny małżonek.

Duch z Raynham Hall, fotografia wykonana 19.09.1936 roku (Zdjęcie: H.C. Provand/Indre Shira)

A potem zaczęło straszyć, przez trzy stulecia aż do XX wieku. Osoby, które spędziły noc w upiornym domu, relacjonowały niezależnie od siebie, że dzieje się tam coś dziwnego. Z kronik Raynham Hall wynika, że co jakiś czas dostrzegano pojawiającą się na chwilę przezroczystą postać kobiety. Ponieważ Dorothy Walpole za życia często nosiła brązowe jedwabne suknie, nadano jej przydomek The Brown Lady of Raynham.

W annałach jako naoczny świadek był wymieniany późniejszy król Jerzy August Fryderyk IV (1762–1830). Na początku XIX wieku jako książę regent zatrzymał się w Raynham Hall. Jak mówi przekaz, pewnej nocy został on wyrwany ze snu przez ducha kobiety. Zjawa miała pojawić się nagle przed książęcym łożem, ubrana w brązową suknię, z włosami w nieładzie i bladą twarzą, po czym rozpłynęła się w powietrzu. Następca tronu zaraz po ujrzeniu zjawy rozkazał spakować walizki i czym prędzej odjechał, mówiąc na odchodne: „Nigdy więcej nie spędzę w tym przeklętym domu ani godziny!”

Dziewiętnastego września 1936 roku do Raynham Hall zawitali zawodowy fotograf kapitan H.C. Provand i jego asystent Indre Shira. Na zlecenie magazynu „Country Life” mieli wykonać reportaż zdjęciowy na temat upiornego domu. Kiedy mężczyźni byli akurat zajęci instalowaniem instrumentów u

stóp głównych schodów, stało się coś nieoczekiwanego. W protokole Shira napisał potem: „Kapitan Provand przygotowywał się do wykonania zdjęcia, podczas gdy ja odpowiedzialny byłem za lampę błyskową. Stałem z boku, tuż obok aparatu fotograficznego, z lampą błyskową w dłoni i patrzyłem na schody prowadzące na piętro. Nagle zobaczyłem bezcielesną, zamgloną postać snującą się w dół schodów. Przerażony krzyknąłem: »Szybko, coś tu jest! Nie zawahałem się ani chwili i wcisnąłem palcem wyzwalacz«".

Jego towarzysz, kapitan Provand, nie zdążył zauważyć, co się wydarzyło. „Zdjął z głowy płótno do zaciemniania", wspominał Shira, „odwrócił się w moją stronę i spytał, co mają oznaczać te krzyki". Dopiero po wywołaniu filmu on też zobaczył, że na zdjęciu widnieje coś niesamowitego. Specjaliści poddali płytę fotograficzną badaniom, ale nie znaleźli żadnego dowodu na manipulację. Fotografia do dziś jest uznawana przez łowców duchów za autentyczną. Teza o infradźwiękach przedstawiana przez sceptyków nie była w każdym razie w stanie wyjaśnić zjawiska. Ale czy już dawno nie powinna zostać przeprowadzona analiza negatywów za pomocą współczesnych fototechnicznych metod badawczych? Gdzie znajdują się ówczesne oryginały? Dlaczego technicy fotografii i parapsycholodzy już dawno temu nie zajęli się tą sprawą? Pomijając ten fakt, duch „Brown Lady" ukazał się od tamtego czasu gościom domu jeszcze kilka razy. Dopiero w ostatnich latach zjawa z Raynham Hall przestała się ukazywać. Czy biedna dusza Dorothy została w końcu wybawiona?

Transwizja z nadprzestrzeni

To, czy pojawiająca się od czasu do czasu upiorna zjawa „brązowej damy” była próbą nawiązania kontaktu zainicjowaną ze świata zmarłych, zapewne już nigdy nie zostanie wyjaśnione. A co możemy powiedzieć na temat współczesnych „zdjęć duchów”? Manipulacja fotografiami za pomocą nowoczesnych programów do obróbki obrazu jest dziś niezwykle łatwa. Czasem efekt jest tak doskonały, że nawet eksperci mają problem z rozpoznaniem sfałszowanych fragmentów. Tym bardziej tajemnicze są zdjęcia i filmy poddane przez specjalistów dogłębnym badaniom, które nie okazały się ani oszustwem, ani pomyłką. Często są one związane z fenomenem „instrumentalnej transkomunikacji”, w skrócie ITK. Pojęcie to zostało ukute przez niemieckiego fizyka Ernsta Senkowskiego i obejmowało słyszalne głosy („transaudio”), wiadomości pisemne („transteksty”) lub widzialny obraz („transwideo”). Przekazy z nieznanego źródła mogą być aktywowane za pomocą urządzeń elektronicznych. „Transwizje” lub „psychowizje” są jakby optycznym odpowiednikiem wspomnianego już tajemniczego zjawiska „głosów zapisanych na taśmie dźwiękowej”. Badacze PSI przypuszczają, że dziwne obrazy są czymś w rodzaju „psychokinetycznego urzeczywistnienia”, które manifestuje się w naszym świecie przez „telepatyczne przejmowanie informacji spoza naszej czasoprzestrzeni”.

Niemiecki dziennikarz radiowy i telewizyjny, pisarz i moderator Rainer Holbe, uczynił te „niewiarygodne historie" tematem wielu swoich programów i książek. Dziwi go fakt, że ten niezwykły fenomen wciąż w dużej mierze pozostaje niezauważony przez naukę i opinię publiczną, mimo że od jego odkrycia minęło już kilka dekad. Niezrozumiałe jest to dlatego, że „jest to jeden z niewielu fenomenów granicznych, które względnie dobrze można odtworzyć, oraz że wszyscy obserwatorzy natychmiast mogą zakwalifikować je jako zjawisko paranormalne. Umożliwia to przeprowadzanie badań naukowych bez konieczności wykonywania dodatkowych analiz statystycznych". Jest to tym bardziej zadziwiające, że treść odebranych głosów, obrazów i tekstów wskazuje na istnienie „życia po śmierci".

Pierwsze dziwne „zjawy na ekranie" pojawiły się w latach 80. ubiegłego wieku. Jednym z pionierów, którzy w szczególności wsławili się w dziedzinie paranormalnych eksperymentów filmowych, był zmarły w 1988 roku niemiecki technik Klaus Schreiber. Jego zainteresowanie tą dziedziną zrodziło się całkiem niewinnie. Na jednym z przyjęć toczyła się dyskusja na temat głosów z zaświatów. Dla zabawy grupa przyjaciół wołała przez mikrofon magnetofonu kasetowego do znajomego, który niedawno zmarł. Chwilę potem nastąpiła konsternacja: odezwał się tajemniczy głos, wypowiadając słowa „pozdrawiam was, przyjaciele". Widmowy głos odebrał Schreiberowi spokój. Zaintrygowany, eksperymentował od tej pory z nośnikami dźwięku i odebrał za ich pomocą setki akustycznych

wiadomości, które zidentyfikował jako głosy zmarłych krewnych, przyjaciół i nieznajomych.

Na wielu nagraniach rozpoznał on „znaki życia” swojej córki Karin, która zmarła w wieku 17 lat na zakażenie krwi. Głos „skądś” przedstawił się jako „Karinchen” – zdrobniałe imię, które ojciec nadał córce. To od niej pochodziła wskazówka, aby nawiązać kontakt z zaświatami poprzez telewizor. Schreiber spędził wiele nocy przed migającym kineskopem, jednak nie dostrzegł żadnych sygnałów, które mogłyby być interpretowane jako pozaziemskie przesłania. Wkrótce padło decydujące słowo, przekazane przez „głos ducha”: wideo. Schreiber sprawił sobie magnetowid z kamerą i zorganizował studio w piwnicy swojego domu w Akwizgranie. Znów spędzał całe miesiące na majsterkowaniu, odtwarzał filmy w różnej prędkości, jednak bez skutku. Trwało to do 30 września 1985 roku. Tego dnia z pomocą „z tamtej strony” Schreiberowi udało się dokonać wielkiego przełomu. Skierował swoją kamerę pod określonym kątem na telewizor i włączył pusty kanał. Po włączeniu funkcji odtwarzania poszczególnych klatek pojawiła się najpierw „jasna mglista plama”, która kilka klatek dalej przekształcała się w coraz bardziej widoczną postać Karin.

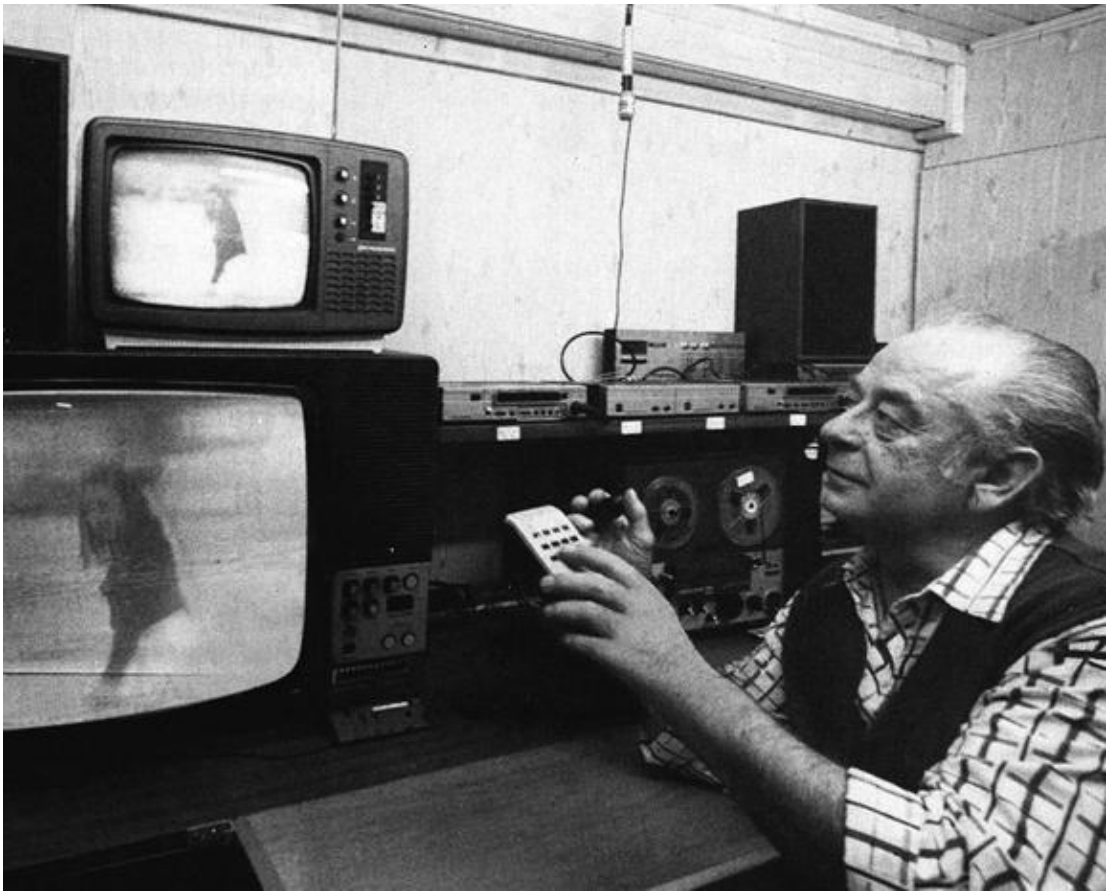

Klaus Schreiber odbiera za pomocą magnetowidu portrety zmarłych krewnych. Czyżby znaki życia z zaświatów? (Zdjęcie: Archiwum Rainera Holbego)

Później badacz zaświatów ulepszył swoją metodę przesyłania obrazu i dzięki zastosowaniu specjalnych wzmacniaczy obraz stawał się coraz ostrzejszy. Ze świata zmarłych wyłoniły się postacie członków rodziny, ale też słynnych aktorek i aktorów, jak Romy Schneider i Curd Jürgens, oboje zmarli w 1982 roku. Oprócz krewnych i znanych osób na taśmach magnetowidowych zmaterializowały się także osoby, których do dziś nie udało się zidentyfikować. Podobnie jak w przypadku

ostatniego nagrania odebranego przez Klausa Schreibera: twarzy uśmiechającej się nieznajomej kobiety.

Czy nowoczesna elektronika jest w stanie umożliwiać połączenia z innymi poziomami świadomości? Według ogólnych praw fizyki – nie. Obrazy nie powinny zatem w ogóle powstać. Nagrania wideo Schreibera i jego urządzenia techniczne były wielokrotnie sprawdzane przez specjalistów. Nie udało się znaleźć żadnych wskazówek, że niemiecki emerytowany technik podczas swoich sesji uciekał się do jakichkolwiek sztuczek. A jednak portrety musiały w jakiś sposób powstać. Sceptycy uważają, że audiowizualne fenomeny spowodowane zostały przez nakładanie się na siebie różnych sekwencji telewizyjnych. Dowodów na to jednak nie ma. Poza tym widoczne były nie tylko nagrania osób znanych, które można by zinterpretować jako „promieniowanie tła" wyświetlanych filmów. Obrazy z prywatnego otoczenia musiałyby trafić na monitor w inny sposób.

Jakim sposobem powstało coś, co w zasadzie jest niemożliwe? Pytanie, które pozostaje bez odpowiedzi już od starożytności. Bo jeśli wierzyć mitologicznym przekazom, to instrumentalna transkomunikacja z pozaziemskim światem jest zjawiskiem spotykanym nie tylko we współczesności. W wielu antycznych kulturach występuje motyw czarodziejskiego lustra mającego zdolność mówienia. Czym był ten zadziwiający przedmiot? Jak podają mity, jego głównym celem było nawiązywanie przez ludzi połączenia z wyższymi, ukrytymi rzeczywistościami. W czasach antycznych mistyczne znaczenie nadawano nawet

zwykłemu lustru. Szeroko rozpowszechniona była wiara, że mieszka w nim odbicie duszy. Do tradycji należało pozostawianie lustra przy łożu umierającego, uważano bowiem, że pozwoli ono magicznie uchwycić ulatującą duszę. Ekran telewizora, w którym ukazują się zmarli, jest współczesnym odpowiednikiem takiego lustra. Osoby z zaświatów widoczne są w formie transwizji, choć jest to raczej ich „uchwycenie" w czarodziejskim lustrze, to znaczy na ekranie telewizora. Magiczne lustra kojarzono z nadnaturalnymi zjawiskami także w legendach średniowiecznej Europy. Jednym z przykładów jest choćby często wyśmiewana kryształowa kula. Do dziś stanowi ona tradycyjny element w ezoterycznych kręgach służący wizjonerskiemu spoglądaniu w przyszłość i jako pomoc w komunikacji z duchami i aniołami.

Magiczne lustro, które miało służyć do odbierania wiadomości nie z tego świata, oraz inne okultystyczne utensylia można zobaczyć w British Museum (Muzeum Brytyjskim). Lustro jest wykonane z wypolerowanego na wysoki połysk obsydianu i pochodzi ze spuścizny angielskiego astrologa i matematyka doktora Johna Dee (1527–1608). Absolwent uniwersytetu w Cambridge napisał 50 prac naukowych i był zaufaną osobą królowej Elżbiety I. Jednocześnie był pasjonatem wywoływania duchów, co w krytycznym świecie uczonych przyniosło mu złą sławę „czarnoksiężnika". Dwudziestego pierwszego listopada 1581 roku miał doświadczyć niezwykłego kontaktu z nieziemskim światem. Siedział w londyńskim gabinecie naukowym, kiedy nagle w zachodnim oknie ukazała

się otoczona światłem postać. Niebiańska istota objawiła się jako „anioł Uriel” i przekazała mistykowi „czarny kryształ”, za którego pośrednictwem miał odtąd odbierać wizje. Podczas seansów przywoływania obcych istot Dee otrzymywał zaszyfrowane wiadomości w „języku aniołów” – języku „enochijskim”, zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych w nauki hermetyczne i kabalistyczne. Niebiański język miał własny alfabet, własne słownictwo i gramatykę. Dee odbierał wiadomości w stanie przypominającym trans. Ponieważ po zakończonym seansie nie pamiętał treści otrzymanych wiadomości, rozmowy podczas transmisji były notowane przez jego asystenta, Edwarda Kelly'ego (1555–1597). Oryginalne protokoły są przechowywane w British Museum oraz w Ashmolean-Museum of Arts and Archaeology w Oksfordzie.

Prawdopodobnie najstarsze wzmianki o metafizycznej transkomunikacji dzięki określonym przedmiotom znajdują się w dawnych tekstach ludów Izraela. Czytamy tam o „lustrze” Salomona. Miało być to urządzenie zbudowane z siedmiu różnych rodzajów metali i „w czasie nowiu jego właściciel mógł ujrzeć w nim odpowiedź na wszystkie pytania”. Podobne cechy wykazywało tajskie czarodziejskie lustro Fang-chen w kształcie muszli. Z jego pomocą można było pojąć sprawy tego świata oraz świata po drugiej stronie. Również wszystkowiedzący Thot, bóg mądrości starożytnych Egipcjan, posługiwał się urządzeniami służącymi do przekazywania nieziemskich wiadomości. Mity opowiadają, że za pomocą tych urządzeń można było „spoglądać aż po kraniec ciemności” oraz „usłyszeć,

co dzieje się w niebie”. Nie dowiemy się, jak działało tajemnicze czarodziejskie lustro Thota, potrafiące odbierać „słowo bogów”. Interesujące jest jednak staroegipskie znaczenie słowa „lustro”: jest ono tożsame z pojęciem „życie”.

Dla większości badaczy starożytności pojawiające się w przekazach superistoty wielbione jako „bogowie” są jedynie wytworem wyobraźni. Założenie, że w epokach prehistorycznych mogły istnieć jakieś wysokorozwinięte technologicznie urządzenia, wciąż uznawane jest przez wielu archeologów za „czystą bzdurę”. Ale skąd ta pewność? Czy nie mogłoby być tak, że niektóre mitologiczne osobliwości zepchnięto na margines i nadano im niesławną etykietkę „bujd ludowych”, „cudownych wierzeń” i „wyimaginowanych kultów” tylko dlatego, że ich pierwotne technologiczne znaczenie dawno popadło w zapomnienie? Skąd uczeni mają pewność, że „magiczne zaklęcia” nie są niezrozumiałymi naukowymi wzorami, którymi w ówczesnych czasach posługiwały się wtajemniczone osoby i tylko dla nich były jasne? Istnieje wiele przykładów „przedmiotów kultu”, które okazały się prehistorycznymi, zaawansowanymi technologicznie urządzeniami. Jednak zanim prawda wyjdzie na światło dzienne, może upłynąć jeszcze dużo czasu. Najsłynniejszy przypadek: zaśniedziałe bryły z brązu, będące artefaktem nazwanym później „mechanizmem z Antykithiry”. Upłynęły dziesiątki lat, zanim naukowcy odkryli prawdziwą funkcję artefaktu i udowodnili, że jest on liczącym 2100 lat urządzeniem nawigacyjnym, za pomocą którego obliczano

nawet orbity planet. Oryginalny artefakt można podziwiać w greckim Muzeum Narodowym w Atenach. Jaki geniusz skonstruował tę aparaturę, wciąż pozostaje zagadką. Porównywalne urządzenia z tak skomplikowanymi mechanizmami różnicowymi znane są dopiero z XVIII wieku.

Takie sprzeczne ze stanem wiedzy odkrycia są okazją do wysnuwania śmiałych spekulacji. Skąd prehistoryczni ludzie czerpali tak zaawansowaną technologicznie wiedzę? Czy inspiracja przyszła od pozaziemskich mistrzów, jak postulują zwolennicy hipotezy preastronautycznej? Teza pozaziemskich wpływów ma znaczenie także w przypadku fenomenu transkomunikacji instrumentalnej. Na jej podstawie zakłada się, że tajemnicze głosy i obrazy na ekranie telewizora i komputera nie powstają przez aktywność zmarłych ludzi, ale że znajdują się pod kontrolą pozaziemskiej superinteligencji. Inne nie mniej fantastyczne pomysły to: prawdziwymi sprawcami tych fenomenów są istoty energetyczne z innych „frekwencji" lub „fal", mieszkańcy nieznanych światów równoległych, istoty z innych wymiarów lub formy życia „istniejące" tylko w określonych stanach świadomości. Podobnie jest w przypadku tak zwanego channelingu, zwanego też kanałowaniem. Ezoterycy są przekonani, że osoby mające zdolności medialne mogą odbierać wiadomości od istot pozaziemskich, aniołów, duchów i zmarłych. Niektórzy słynni artyści, na przykład amerykański pisarz Richard Bach, zapewniają, że słyszeli pozaziemskie głosy. Opublikowana w 1970 roku jego kultowa książka zatytułowana *Mewa* miała być podyktowana autorowi

w gotowej formie przez niebiańskiej istoty. Ściśle rzecz biorąc, ghostwriter – dosłownie – Bacha miałby teraz prawo do tantiem ze sprzedaży wielu milionów egzemplarzy bestsellera. Na szczęście dla Bacha nie da się dokonać przelewu honorariów do hiperprzestrzeni.

Przypuszcza się także, że odbiorcy nadnaturalnych wiadomości i obrazów projektują paranormalne zjawiska przez pryzmat własnych pragnień. Niezwykłe nagrania wideo, takie jak te „uchwycone" przez Klausa Schreibera, nie byłyby zatem pozdrowieniem z zaświatów, lecz odtworzeniem informacji zapisanych w podświadomości. Jednak nawet jeśli tak jest: jak miałoby to funkcjonować w praktyce? Niektórzy parapsycholodzy wychodzą z założenia, że dzięki energii psychokinetycznej można nie tylko przesuwać przedmioty, ale także utrwalać na filmie fotograficznym obrazy istniejące w wyobraźni.

Fotografie myśli

„Fotografia myśli" to najbardziej fascynujący rozdział w dziedzinie psychokinezy. Wczesne eksperymenty fotograficzne z potęgą ducha związane są z kontrowersyjną postacią Japończyka Tomokichi Fukuraiego (1869–1952), pracownika Cesarskiego Uniwersytetu w Tokio. W 1930 roku poinformowano o powstaniu fotografii dowodzących

możliwości utrwalania myśli na filmie. Między trzema zapieczętowanymi i nałożonymi na siebie płytami fotograficznymi na środkowej płycie pojawiły się wyraźne słowa, o których wcześniej przez kilka minut intensywnie myślała osoba biorąca udział w doświadczeniu. Kierownictwo naukowe uznało jednak test za „sztuczki hokus-pokus” i zakazało dalszego prowadzenia badań. Skutek: uniwersytet odebrał Fukuraiemu posadę wykładowcy. Los, który spotkał także wielu innych odważnych badaczy, głoszących niekonwencjonalne tezy.

Znacznie łagodniejsza była reakcja akademickich kręgów na testy PSI amerykańskiego lekarza Julsa Eisenbuda (1908–1999), profesora psychiatrii z uniwersytetu Kolorado w Denver. I tak zresztą nie ominęły go animozje i drwiny otoczenia. Przy tym sam był początkowo sceptycznie nastawiony do wszelkich historii o zjawiskach paranormalnych. Jednak stało się coś nadzwyczajnego, co zupełnie odmieniło jego spojrzenie na te sprawy.

W 1963 roku Eisenbud opublikował fachowy artykuł, w którym wyjaśniał, że jest niemożliwe przeprowadzenie powtarzalnego eksperymentu PSI, spełniającego wymagania naukowe. Pewien dziennikarz zaprzeczył słowom psychoanalityka i przesłał mu artykuł prasowy o hotelarzu z Chicago w Illinois. Jego nazwisko to Ted Serios (1918–2006). Mężczyzna potrafił jakoby tylko siłą własnych myśli „rekonstruować” motywy zdjęciowe i utrwalać je na papierze. Brzmiało to wtedy tak absurdalnie, że nawet parapsycholodzy

wycofali się z oficjalnych badań nad fenomenem tego medium. Eisenbud był wówczas przekonany, że uda mu się szybko zdemaskować rzekome nadnaturalne zdolności jako „zwykłe sztuczki”.

Ted Serios, który w latach 60. XX wieku twierdził, że potrafi projektować myśli na kliszę filmową (Zdjęcie: gettyimages)

Ku zaskoczeniu Eisenbuda szarlatan – o czym psychiatra był święcie przekonany – nie wyraził sprzeciwu wobec przeprowadzenia z jego udziałem kontrolowanych testów, które rozpoczęto w kwietniu 1964 roku. Zdziwienie lekarza wzrosło, kiedy w trakcie badań, przy zastosowaniu surowych środków ostrożności, rzeczywiście powstały „zdjęcia myśli”.

Poinformował swoich współpracowników o zaskakujących rezultatach i rozpoczął starania o moralne, praktyczne i finansowe wsparcie dalszych badań. Jednak członkowie akademickiej wspólnoty naukowej podziękowali mu za propozycję. Fotografowanie myśli? To mógł być jedynie kiepski żart. Jaki szanujący się naukowiec poświęciłby na to choćby jednego centa lub wyraził cień zainteresowania? Psychiatry nie zniechęciła jednak krytyka środowiska. Dziwny fenomen rozbudził już jego ciekawość i zamierzał ją zaspokoić. Postawa, jakiej należałoby oczekiwać w zasadzie od każdego prawdziwego badacza. Eisenbud i Serios kontynuowali wspólne eksperymenty. W ciągu trzech lat naukowcowi udało się uzyskać szereg spektakularnych wyników. Obrazową dokumentację z przeprowadzonych testów opublikował w 1975 roku w książce *Gedankenfotografie* (Fotografia myśli). To, co wtedy wywoływało poruszenie, zostało już dziś niemal zapomniane.

Obrazy powstawały dzięki zastosowaniu różnych metod, na przykład poprzez intensywne wpatrywanie się w obiektyw aparatu, którym Serios nie dysponował przed przeprowadzaniem testu. Dostawał go dopiero podczas testu. Zdjęcia były gotowe w ciągu kilku sekund, co zapobiegało stawianiu ewentualnych zarzutów, że fotografie są efektem manipulacji w ciemni. W trakcie niektórych prób niezależni świadkowie wybierali tematy, uprzednio umieszczone w zaklejonych kopertach i nieznane wcześniej Seriosowi. Podczas testów towarzyszyło mu duże napięcie wywołane intensywną

koncentracją. Kierował on wtedy aparat na swoją twarz i mentalny obraz był przenoszony na kliszę. W normalnym przypadku na wywołanych zdjęciach powinna pojawić się głowa Seriosa albo pokój, w którym się znajdował. Jednak zdjęcia ukazywały to, o czym Serios myślał. Po kilku nieudanych próbach eksperymenty kończyły się najczęściej sukcesem, nawet jeśli otrzymane zdjęcia były różnej jakości. Czasem paranormalny obraz zajmował całą powierzchnię zdjęcia, innym razem widoczne były tylko fragmenty albo przedstawione motywy były bardzo zniekształcone. Zdarzało się też, że powierzchnia była zupełnie biała lub czarna, pomimo że oświetlenie i warunki badań pozostawały niezmienione. Kilkakrotnie Ted Serios zrealizował swoje „zdjęcia myśli" na materiale fotograficznym, a one pojawiły się na monitorze.

Ten fotograf o nadnaturalnych zdolnościach posługiwał się często małą rolką z tektury lub tworzywa sztucznego (25 na 17 milimetrów), którą nazywał „Gismo" i trzymał przed obiektywem aparatu. Serios zapewniał, że ma ona wyłącznie zapobiegać wnikaniu bocznego światła i pozwala mu wzmacniać koncentrację. Niedowiarkowie, tacy jak kanadyjski magik sceniczny James Randi z amerykańskiego Ruchu Sceptyków, właśnie tej małej rolce przypisują główną rolę w oszukańczych manipulacjach Seriosa. Randi i jemu podobni sceptycy starają się wszelkimi sposobami demaskować fenomeny PSI jako oszustwo. Według ich opinii Serios miał wbudować po jednej stronie papierowej rolki soczewkę powiększającą. Po drugiej stronie miał być ukryty mikrofilm

lub przeźrocze. Skierowanie tego „preparatu” na aparat miałoby powodować powstanie „zdjęć myśli”.

W październiku 1967 roku w czasopiśmie „Popular Photography” ukazał się raport na ten temat, w którym na przykładzie podobnego urządzenia przedstawiono, że w ten sposób można uzyskać podobne efekty jak w przypadku słynnych „psychofotografii”. Wszyscy, którzy uważali Seriosa za oszusta, uznali artykuł za koronny dowód na poparcie swojego przekonania. Do dziś ta możliwość przytaczana jest jako dowód na to, że fotografia myśli nie jest niczym więcej jak tanią sztuczką. Zagorzali krytycy stale podważają wiarygodność dowodów na istnienie nadnaturalnych fenomenów. Kiedy mowa jest o zjawiskach paranormalnych, zdrowa dawka sceptycyzmu z pewnością jest niezbędna. Same stwierdzenia niczego przecież jeszcze nie dowodzą. Surowe kryteria powinny jednak obowiązywać także w przedstawianiu materiałów dowodowych strony przeciwnej. Nie można całkowicie wykluczyć, że Ted Serios podczas mentalnych sesji stosował sztuczki, ale za pozwoleniem: sama możliwość oszustwa nie może być z góry uznana za miażdżący dowód na faktyczne oszustwo. Zgodnie z taką logiką, jeśli pojawi się fałszywy banknot 100 euro, to należałoby przyjąć, że wszystkie banknoty znajdujące się obiegu również są fałszywe.

Czy zdjęcia powstały zatem wskutek zastosowania wyrafinowanej sztuczki? Przeczy temu jeden fakt, ignorowany zresztą przez krytyków. Ani Randiemu, ani innemu demaskatorowi nie udało się przekonująco wyjaśnić, w jaki

sposób Ted Serios miałby w setkach przypadków sprawić, że dowody jego oszukańczych sztuczek bezpowrotnie znikały. Eisenbud i pozostałych 25 badaczy, którzy pracowali z Seriosem, zawsze przed, w trakcie i po eksperymencie poddawali jego i jego „Gismo" dokładnej kontroli. Ani razu nie odkryto żadnych mikrofilmów, przeźroczy czy innych podejrzanych przedmiotów. Rolkę „Gismo" Serios dostawał do rąk dopiero tuż przed rozpoczęciem eksperymentu, kiedy czuł, że wykonanie „zdjęcia ducha" może się udać. W chwili, kiedy nakazywał naciśnięcie wyzwalacza, badacze stali obok niego tak blisko, że sami mogli spoglądać przez papierową rolkę.

Filmy były zaś kontrolowane zaraz po wykonaniu „zdjęć zjaw" Dziwne było przy tym, że zdjęcia oryginalnych obiektów różniły się nieco kilkoma szczegółami od ich „mentalnych fotografii", na których na przykład były błędnie napisane nazwy na budynkach. Ewentualny oszust potrzebowałby do zaplanowania i wykonania takiej manipulacji zbyt wiele czasu. Natomiast specjaliści nie dali Seriosowi na to żadnej szansy. Udało mu się nawet stworzyć obrazy bez obiektywu, który został wcześniej zdjęty z aparatu. „Fotografował" także z zasłoniętymi opaską oczami. Czasem Serios w ogóle nie stosował „Gismo" albo stał w odległości nawet 20 metrów od aparatu, przy czym asystenci trzymali za niego ten przedmiot w rękach. Niewyjaśnione transmisje obrazu powiodły się nawet wtedy, gdy mężczyznę zamknięto w klatce Faradaya nieprzepuszczającej fal elektrycznych, a aparat znajdował się na zewnątrz. Wyjątkowe w historii eksperymentów PSI jest to,

że szeroko zakrojone testy z psychokinezą z powodzeniem udało się powtórzyć w 1967 roku w Charlottesville innym naukowcom, a mianowicie doktorom i pracownikom Uniwersytetu Virginii. Jakkolwiek niewiarygodnie by to brzmiało, wiele przemawia za autentycznością „fotografii myśli", choć nie do końca udaje się wyjaśnić, jakie siły uaktywniają się przy ich powstawaniu.

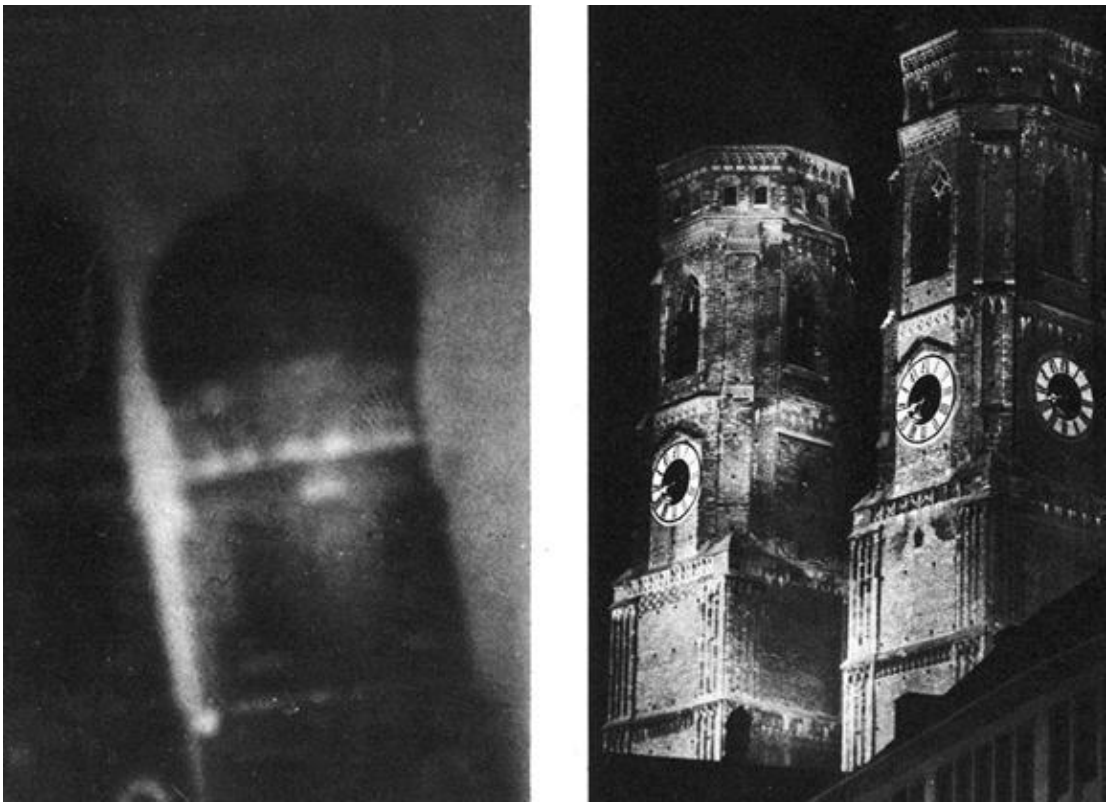

Uchwycone na kliszy zapieczętowanym wcześniej aparatem Polaroid: obraz monachijskiego kościoła powstały w myślach Teda Seriosa. Obok dla porównania normalne zdjęcie. Wyrafinowana sztuczka czy „fotografia myśli"? (Zdjęcie: Ted Serios/Juls Eisenbud)

Mimo to nie obyło się bez rozczarowań. W trzecim cyklu testów energia PSI Teda Seriosa wygasła. Coraz częściej powstawały zupełnie białe lub czarne zdjęcia bez widocznych motywów. Wyniki były coraz słabsze, zupełnie jak u artysty, którego opuściło natchnienie, lub autora bestsellerów, który utracił pisarską inwencję. Pomimo że Ted Serios usilnie starał się wykonać „zdjęcia myśli", pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku jego dar PSI znikł.

Najbardziej niedorzeczne w całej historii było to, że aby paranormalne efekty w ogóle mogły powstać, Serios musiał wypić duże ilości alkoholu. Można jedynie przypuszczać, że w ten sposób uzyskiwał zmieniony stan umysłu, który wywoływał lub wspierał jego zdolności. Wiadomo w każdym razie, że Serios, będąc w stanie upojenia i najczęściej w koszuli z krótkimi rękawami lub z nagim torsem, często osiągał pożądane efekty. Nie było możliwości ukrywania przez niego czegokolwiek w dłoniach. Manipulacja za pomocą ukrytych urządzeń nie wchodzi zatem w grę.

Podejrzliwi detektywi, przekonani o oszustwie i twierdzący, że nie może istnieć coś, co nie ma prawa istnieć, niech postarają się uzyskać dowód oszustwa w dokładnie takich samych warunkach testu jak Serios i – dodajmy – po pijanemu. Czy stworzą podobne obrazy, nie znając wcześniej ich tematu? Jak dotąd, nikomu się to nie udało.

Psychowizja o imieniu Oscar

„Zdjęcia zjaw” wykonane samą siłą myśli? Obraz z zaświatów na ekranie telewizyjnym? To przypuszczenia ciężkie do strawienia dla racjonalistów. Pomijając generalny zarzut oszustwa, sceptycy najczęściej wyjaśniają pojawianie się dziwnych obrazów na taśmie kasety magnetowidowej, na ekranie komputera lub telewizora zwyczajnym zakłóceniem sygnału. Pojawianie się zjaw to według nich skutek braku osłony odbiorników przed działaniem promieniowania naziemnych stacji nadawczych.

Ale jak ci racjonaliści wyjaśnią fenomeny, w których na ekranach pojawiały się dobrze rozpoznawalne twarze, pomimo że urządzenia z pewnością nie były włączone. Taki przypadek zdarzył się w 1997 roku w niemieckim niewielkim mieście Erkrath w pobliżu Düsseldorfu. Na małym wzgórzu z dala od centrum miasteczka stoi dom Reginy Froitzheim i jej rodziny. Kobieta studiowała prehistorię i historię starożytną Ameryki Łacińskiej i do 1989 roku pracowała jako archeolog, także w instytucjach państwowych. Dziś Regina Froitzheim jest na emeryturze i zajmuje się pisaniem – najczęściej pod pseudonimem – ciekawych krótkich opowiadań dla magazynów. Przydarzyła jej się kiedyś dziwna historia: w jej odbiorniku telewizyjnym pojawił się „obraz ducha” – twarz obcego mężczyzny.

Oddajmy jednak głos samej bohaterce tej historii: „Było to pod koniec pewnego listopadowego tygodnia, po południu, między godziną 16.00 a 17.00. Przeziębiłam się i leżałam na kanapie, czytając książkę. Na oparciu obok mnie siedział mój czarny kocur Lucky. Nagle zauważyłam, że kot się wygiął w pałąk i z najeżoną sierścią wpatrywał w telewizor. Także spojrzałam w tym kierunku i zobaczyłam na ekranie portret mężczyzny. W pierwszym momencie pomyślałam: co się z tym kotem dzieje? Przecież nigdy się nie bał filmów. W tym samym momencie zauważyłam, że przecież telewizor wcale nie był włączony. Już wtedy rzadko oglądałam telewizję. Przed wiadomościami wieczornymi prawie nigdy nie włączałam odbiornika. Oba piloty do magnetowidu i telewizora leżały, jak poprzedniego dnia, przed urządzeniem. A mimo to na ekranie widniał wyraźny obraz. Moja pierwsza myśl: odbicie! Ale od czego? Wstałam i stanęłam przed telewizorem, aby przerwać strumień promieni padającego światła, poruszałam rękami w różne strony, ale obraz nie zniknął. Złapałam za mój aparat Leica, aby przy odrobinie szczęścia zrobić zdjęcie dziwnemu zjawisku. Aparat leżał zawsze na regale z książkami. Udało mi się wykonać jedno ujęcie. Kiedy zmieniłam kąt ujęcia, obraz nagle zniknął”.

Całe zajście wydało się kobiecie bardzo dziwne. Mimo to Regina Froitzheim była przekonana, że dla ukazania się „zjawy” musiało istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Nie odczuwała strachu, nie odniosła żadnych anormalnych wrażeń. Jak wiadomo, nierozwiązywalne problemy ożywiają szare

komórki mózgu, zatem „łowczyni duchów z przymusu” postanowiła znaleźć logiczne wyjaśnienie zagadki. „Wyszłam na balkon, aby znaleźć ewentualną przyczynę odbicia. Ale nie było tam niczego, co mogłoby wyjaśniać to zjawisko. Telewizor stoi w rogu pokoju. Od okna dzieli go odległość ponad pięciu metrów. Na parapecie stoi wiele wysokich roślin. Na balkonie wisi siedem bujnie porośniętych kwiatami donic średnicy metra. Niektóre rośliny na balkonie wspinały się tak wysoko, że zasłaniały większość szyby okna. Najbliższe domy po drugiej stronie ulicy położone są niżej od mojego balkonu. Pomiędzy nimi znajduje się około trzydziestometrowy pas zieleni z wysokimi sosnami, świerkami i brzozami. Niemożliwe, aby odbicie wywołała postać z zewnątrz. Sprawca zjawiska musiał znajdować się bezpośrednio w pomieszczeniu. Jedyne wyjaśnienie, które w tej sytuacji wydaje mi się przekonujące, to napięcie resztkowe w urządzeniu, które wywołało pojawienie się obrazu”.

Regina Froitzheim postanowiła uzyskać dla tego podejrzenia potwierdzenie od specjalisty. Wezwała do swojego domu technika telewizyjnego i pokrótce opowiedziała mu o zajściu. Towarzyszące zjawisku dziwne zachowanie kota jednak pominęła w relacji. Wraz z otrzymaniem wyników pomiarów pojawiły się kolejne pytania, na które kobieta nie miała odpowiedzi. „Telewizor został wyłączony poprzedniego wieczoru około północy. Bezradny technik zapewnił mnie, że to zbyt długi okres, aby urządzenie mogło zachować jakieś napięcie. Poza tym nie wyjaśniałoby to powstania dobrze

widocznego obrazu. Zjawisko musiało zostać wywołane przez jakieś inne źródło. Ale jakie? Opowiedziałam o wydarzeniu mojej córce i kilku znajomym. Nikt nie chciał w to do końca wierzyć. I ja również. Robiliśmy sobie z tego żarty".

Minęło kilka tygodni i sprawa prawie poszła w niepamięć, kiedy wywołany został film ze zdjęciem wykonanym feralnego wieczoru. Pani Froitzheim odebrała z laboratorium gotowe zdjęcia i przejrzała jeszcze na miejscu otrzymane odbitki. Między fotografiami ze świąt Bożego Narodzenia odkryła coś nieoczekiwanego. „Miałam nadzieję, ale nie liczyłam na to, że pstryknięte w pośpiechu zdjęcie zjawy uda się wywołać", wspomina kobieta i relacjonuje dalej: „Kiedy trzymałam w dłoni wiadome zdjęcie, byłam naprawdę zaskoczona! Widać na nim wyraźnie twarz mężczyzny, w prawym rogu i w kilku innych miejscach. To też kolejna niewiadoma. Bo kiedy robiłam zdjęcie, widziałam tylko jeden portret! Coś jeszcze jest wyraźnie zauważalne: brak logo stacji oraz zapalonych kontrolek odbiornika – na zielono przy włączonym urządzeniu i na czerwono w trybie standby. Gdyby telewizor był włączony, pod nazwą marki firmy widzielibyśmy światełko. Zdjęcie dowodzi, że odbiornik był rzeczywiście wyłączony".

Na fotografii coś jeszcze rzuca się w oczy. Zdjęcie zostało wykonane przy użyciu lampy błyskowej i mimo rozproszonego zarysu twarzy jest całkiem ostre. W górnej środkowej części fotografii odbity flesz aparatu widoczny jest jako biała plama, poniżej natomiast widać twarz nieznajomego. Kim jest ten mężczyzna o wąskich kościach policzkowych i ostrym

podbródku? I jak jego podobizna znalazła się na ekranie telewizora? Nikt w gronie rodziny, znajomych i kolegów z pracy nie zna osoby widocznej na zdjęciu ani sam nie jest do niej podobny. Mimo intensywnych starań rozwiązania zagadki, nie udało się znaleźć racjonalnego wyjaśnienia dla „zdjęcia zjawy". Rodzina w żartach postanowiła nadać duchowi imię. Wybrano imię irlandzkiego pisarza Oscara Wilde'a (1854–1900), genialnego autora powieści *Duch z Canterville*. Od tej pory nieznaną zjawę nazywano „sir Oscarem".

Ponieważ Regina Froitzheim chciała się w końcu dowiedzieć, co było przyczyną pojawienia się ducha, przekazała zdjęcie i informacje do prasy. Żywiła przy tym nadzieję, że być może czytelnicy przyczynią się do wyjaśnienia zagadki. Gazeta „Westdeutsche Zeitung" 25 kwietnia 1998 roku opublikowała artykuł zatytułowany *Martwe oczy z Erkrath*. Jednak zamiast propozycji konkretnych rozwiązań pojawił się mało treściwy komentarz znanego sceptyka: „Często spotykałem się z opisami duchów. Jednak przy dokładniejszym sprawdzeniu szybko okazywało się, że w tych historiach nie ma nic nadzwyczajnego. Najczęściej to tylko odbicia światła. Duchy istnieją przeważnie tylko w głowach ludzi".

Minęło 13 lat i niewyjaśniony przypadek PSI „Oscara" trafił w końcu do mnie. Sam jestem miłośnikiem fotografii, ale nie specjalizuję się w fototechnice. Mam jednak to szczęście, że w przypadku poszukiwania odpowiedzi na zagmatwane pytania wspiera mnie grupa kompetentnych specjalistów. Jedną z tych osób jest mieszkający w Wiedniu fotograf Bernhard Moestl.

Pracuje on jako nauczyciel fotografii, jest przewodnikiem po Azji i autorem poczytnych poradników bazujących na filozofii buddyjskich mnichów klasztoru Szaolin.

Przesłałem Bernhardowi Moestlowi kopię zdjęcia z prośbą o ocenę zagadki „Oscara". Odpowiedź eksperta przyszła bardzo szybko. Podczas analizy zwrócił on uwagę na dwa szczegóły: „Po pierwsze, pani Froitzheim mówiła, że zjawisko było widoczne tylko pod określonym kątem (...kiedy zmieniłam kąt patrzenia, obraz nagle zniknął). Wyjaśnieniem może być to, że pochodzące od telewizora światło było spolaryzowane. Polaryzacja, czyli uporządkowanie kierunku drgań fali elektromagnetycznej, zachodzi, kiedy światło jest odbijane od częściowo przezroczystej powierzchni. Częściowa przejrzystość oznacza, że część trafiającego światła jest przepuszczana, a część odrzucana, podobnie jak w przypadku przechodzenia światła przez wodę lub szkło. Ale ponieważ obraz telewizyjny widoczny jest ze wszystkich stron i nie znika w zależności od kąta patrzenia, prawdopodobieństwo, że kineskop telewizora wytworzył tajemniczy obraz, jest niewielkie. Jeśli teoria polaryzacji jest trafna, wyklucza to jednocześnie wszelkie formy odbicia od ściany lub innej płaskiej powierzchni".

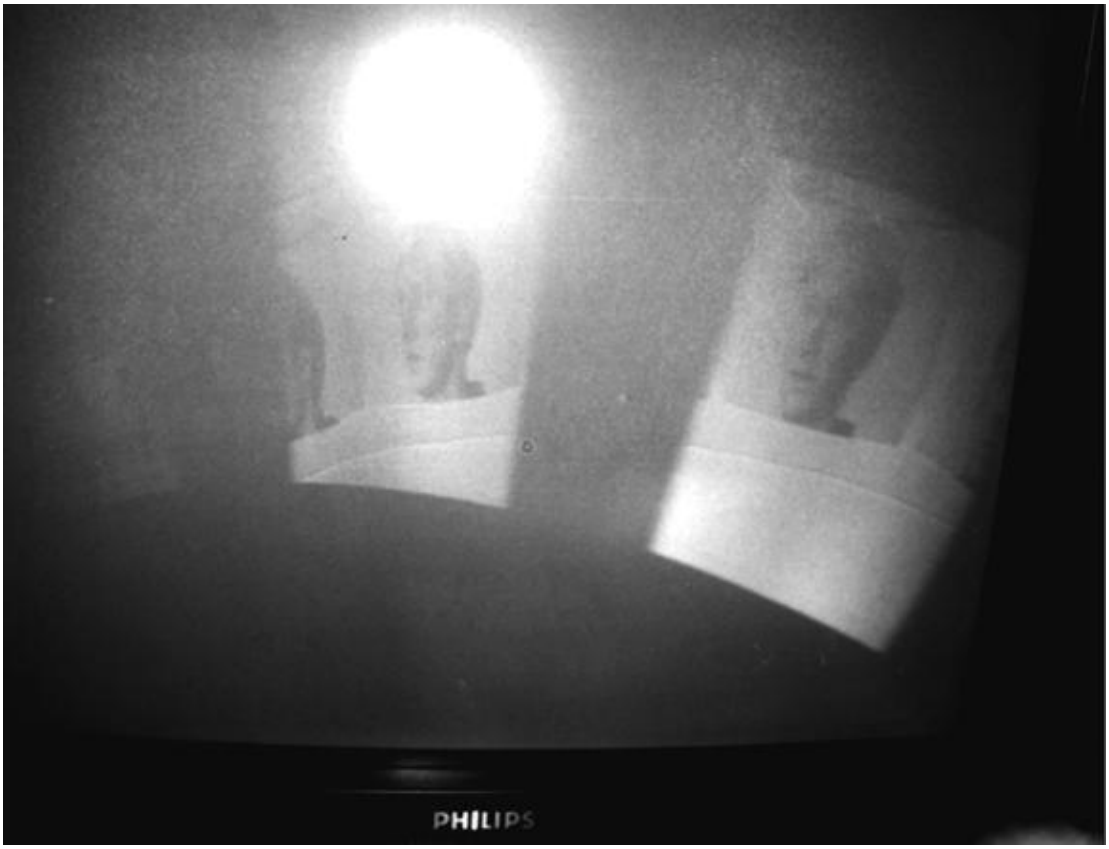

Duch telewizyjny, który pojawił się w 1997 roku w domu rodziny Froitzheim w Erkrath: chociaż telewizor był wyłączony, na ekranie ukazała się tajemnicza postać. Badanie wykazało, że przyczyną nie mogła być ani usterka techniczna, ani odbicie światła. Zatem co takiego? (Zdjęcie: Regina Froitzheim)

Obala to początkowe przypuszczenie, że zjawa powstała w wyniku usterki technicznej odbiornika lub refleksji światła. Jeszcze ciekawsze jest to, że obraz nie został naświetlony przez lampę błyskową. Bernhard Moestl wyjaśnia, dlaczego: „Dokonałem dokładnej rekonstrukcji warunków panujących w chwili powstania zdjęcia i we wszystkich przypadkach ewentualne odbicia na ekranie telewizora były prześwietlone

światłem lampy błyskowej i przez to prawie niewidoczne. Światłoczuły materiał filmowy reaguje na fale światła w obszarze widzialnym w postaci zmian chemicznych, dzięki którym na końcu powstaje widzialny dla nas obraz. Mówiąc w uproszczeniu, błona filmowa składa się z wielu nałożonych na siebie warstw kryształków bromku srebra, które na skutek działania światła redukowane są do czystego srebra, co z kolei powoduje, że dane miejsce staje się czarne. Tam, gdzie dociera dużo światła, film czernieje i negatyw w tym miejscu jest ciemny. Fotografia uzyskana przy zastosowaniu lampy błyskowej jest bardziej problematyczna, ponieważ aparat w większości przypadków wybiera zbyt krótki czas naświetlania, co prowadzi do niedoświetlenia ciemniejszych partii zdjęcia. Poza tym zwiększa się kontrast oświetlenia, przez co w ciemnych partiach zdjęcia w ogóle nie zachodzi czernienie filmu. Dlaczego to wszystko piszę? Ponieważ fakt, że obraz na filmie widoczny jest dokładnie w taki sposób, w jaki widziała go pani Froitzheim, dowodzi, że musiał on istnieć w formie energii w obszarze odbieralnym dla oka i filmu. Oraz że ta energia musiała być tak silna, że »zagłuszyła« flesz aparatu. Analizując ten przypadek, koniecznie należy uwzględnić, że obraz był zarówno widzialny, jak i możliwy do sfotografowania!”

Skąd pochodziła owa „silna energia”, która przyczyniała się do powstania zdjęcia, do dziś pozostaje zagadką. To kolejny fenomen, który nie powinien w ogóle zaistnieć: podobnie jak w pętli nieskończoności „sir Oscar” ukazał się na ekranie wielokrotnie i to za każdym razem w innej pozycji, jak gdyby

jego głowa się obracała. Również ten efekt pozostaje niewyjaśniony. Oryginalny negatyw jeszcze istnieje i dostępny jest do dalszych badań.

Moestl to perfekcjonista. Jednak wcześniej lub później każdy z nas dociera do własnych granic i tym, co tam napotykamy, jest czyste zdziwienie. Tak było w przypadku Bernharda Moestla w trakcie przygotowań do pierwszej edycji wystawy „Unsolved Mysteries" (Świat niewyjaśnionych fenomenów) w Wiedniu w 2001 roku. Na wystawie zorganizowanej przez menedżera kultury Klausa Dony, przy której miałem okazję współpracować jako autor tekstów, zaprezentowano setki archeologicznych znalezisk, których nie sposób wytłumaczyć w naukowy sposób. Zaliczają się do nich oryginalne eksponaty z kontrowersyjnego i uważanego za zaginiony zbioru sztuki, którego właścicielem był Carlo Crespi (zmarły w 1982 roku) z Cuenca w Ekwadorze. Oprócz wyrobów ceramicznych, kości i kamieni szczególną uwagę mediów przykuły metalowe płytki z zagadkową ornamentyką. Światowy rozgłos zyskały one dzięki książkom Ericha von Dänikena oraz tezie, że miałyby one być pamiątkami po nieznanej prehistorycznej kulturze. Naukowcy jednak mocno powątpiewają w takie wytłumaczenie ich pochodzenia.

Bernhard Moestl otrzymał zlecenie wykonania zdjęć skarbów Crespiego do katalogu wystawy. Jednak jedna płytka odmówiła fotografowi posłuszeństwa. Tego fenomenu nie dało się w żaden sposób wyjaśnić. „Kiedy diapozytywy wróciły z laboratorium, stwierdziłem z ogromnym rozczarowaniem, że akurat środek najpiękniejszej płyty zakryła plama cienia. Byłem co prawda

przekonany, że wszystko zrobiłem poprawnie, ale problem mógł mieć związek z oświetleniem. Kiedy przy okazji wystawy płytki zostały przywiezione do Wiednia, zabrałem tę jedną jeszcze raz do swojego studia, aby ponownie ją sfotografować. Tym razem starannie przygotowałem oświetlenie i starałem się dostrzec ten sprawiający problem cień już podczas wykonywania zdjęcia. Ale niczego nie dostrzegłem. Tym bardziej byłem zdziwiony, kiedy zdjęcia zostały wywołane: cień znów był widoczny i znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, co na pierwszym zdjęciu!”

Dziwne cienie to kolejny fenomen łączący się ze wspomnianym kotem Luckym i pośrednio także z telewizyjną zjawą, „sir Oscarem”. Bo gdyby nie dziwne zachowanie wrażliwego futrzaka, duch w domu Reginy Froitzheim w ogóle nie zostałby zauważony. Miłośnicy zwierząt wiedzą, że w szczególności koty i psy mają niezwykły zmysł wyczuwania woni, dźwięków, kształtów, niewyczuwalnych przez ludzi. Potrafią znaleźć drogę do domu oddalonego o setki kilometrów albo czekają przed bramą ogrodu wtedy, gdy właściciel wraca do domu znacznie wcześniej niż zwykle. Czasem to nadzmysłowe połączenie między ludźmi i między człowiekiem a zwierzęciem trwa nawet po śmierci. Znam kilka takich przypadków w gronie znajomych. W przedmowie do tej książki dziennikarz medyczny Hademar Bankhofer także zaświadcza, że sam odebrał głos z zaświatów.

Gdyby nie kocur Lucky z Erkrath i jego dodatkowy zmysł, duch z ekranu telewizora nie zostałby zauważony. Po śmierci kota dom stał się miejscem dziwnych zjawisk. (Zdjęcie: Regina Froitzheim)

Czarny kot Lucky zakończył życie w 2005 roku. „Później, po jego śmierci”, zapewnia Regina Froitzheim, „był widywany w mieszkaniu przez różnych gości. Znajomi myśleli, że kupiłam sobie nowego kota. Kiedy zaprzeczyłam, uważali to za żart. Wyraźnie widzieli Lucky’ego. Czy to w postaci czarnego cienia,

który siedział w sieni, czy to kiedy przeszedł wokół fotela znajomej i zaraz potem znikł z pola widzenia". Podobnych wrażeń zmysłowych doświadczyła także Regina Froitzheim, ale opowiada o tym niechętnie. Inaczej niż w przypadku „sir Oscara", nie istnieje żaden dowód na istnienie „ducha kota".

To wszystko można by uznać za halucynacje. Jednak ten, kto sam doświadczył podobnych wrażeń, nie ma najmniejszych wątpliwości i niczemu się już nie dziwi. Einstein mawiał: „Wydaje się, że współczesna fizyka opiera się na założeniach, które w pewien sposób są jak uśmiech kota, którego wcale nie ma".

Kto wie, być może jest dokładnie na odwrót: nieistniejący (już) kot śmieje się z tez współczesnej fizyki, która opiera się na założeniach.

Namalowane niewidzialną dłonią

Dziwne przypadki pojawiania się zjaw to takie, które co prawda zostały dokładnie zbadane przez psychologów i naukowców, ale w dalszym ciągu wywołują niepokój. Zalicza się do nich paranormalna galeria zdjęć z liczącej dwustu mieszkańców gminy Bélmez de la Moraleda. Niewielka miejscowość na południu Hiszpanii, otoczona idyllicznymi gajami oliwnymi, położona jest na wysokości 825 metrów w andaluzyjskiej prowincji Jaén. Znana jest ona z budzących

grozę twarzy, pojawiających się w tajemniczy sposób w domu pod numerem 5 przy Calle Real.

Cofnijmy się do dnia, w którym zjawa pojawiła się po raz pierwszy. Jest 23 sierpnia 1971 roku. Gospodyni domowa Maria Gómez Pereira (1919–2004) wchodzi rankiem do swojej kuchni i dostrzega na podłodze dziwną plamę. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdza, że przedstawia rozmazane oblicze brodatego mężczyzny. Zdaje się ono uformowane z dymu i najwyraźniej powstało w ciągu nocy. Ale jak, przez kogo? Kobieta podejrzewa, że stała się ofiarą żartu i prosi swojego męża, Juana, o starcie z podłogi widmowej plamy, jednak na próżno: twarz wciąż się pojawia. Maria Gómez zawiadamia rodzinę, znajomych i sąsiadów, którzy są tak samo zaskoczeni portretem. Ale kto spokojnie będzie jadł obiad, kiedy jest stale obserwowany przez upiorną maskę? Coś takiego odbiera apetyt i w ogóle nie pozwala na normalny żywot. Rodzina postanawia zatem zniszczyć obraz nieproszonego gościa. Sześć dni po ukazaniu się zjawy syn Marii Gómez zrywa kuchenną podłogę i zalewa podłoże świeżym betonem.

Spokój domowników nie trwa jednak długo – zaledwie do 8 września. Kiedy Maria udaje się do kuchni, nie może wyjść ze zdumienia: w tym samym miejscu, co za pierwszym razem, widnieje jeszcze bardziej wyraźna ludzka twarz. Rodzina jest zatroskana i podejrzewa ingerencję ze świata zmarłych, jednak tym razem nie niszczy posadzki. Drugiego listopada przed „domem duchów” zbiera się duża grupa ludzi i obserwuje, jak widmo ostrożnie jest wycinane z podłogi. Duch zostaje

umieszczony w szklanej gablocie i otrzymuje nazwę „La Pava”. Od tej pory wisi na ścianie tuż obok kominka.

Jeszcze przed załataniem dziury w podłodze na zlecenie gminy Bélmez przeprowadzone zostają wykopaliska. Ich celem jest przekonanie się, czy pod ziemią znajduje się coś, co mogłoby wyjaśniać pojawienie się obu twarzy. I rzeczywiście, robotnikom udaje się coś znaleźć. Na głębokości niemal 3 metrów zostają odkryte ludzkie szkielety. Upiorny jest jednak fakt, że przy niektórych szczątkach brakuje kości czaszki! Według pogłosek miały to być szkielety pięciu ofiar morderstwa, które zostały tu pochowane w XVII wieku (według innych źródeł w XV wieku). Mieszkańcy wsi zadają sobie pytanie, czy ukazujące się „twarze duchów” przedstawiają oblicza właśnie tych zmarłych. Wiadomo jest bowiem, że część tutejszego osiedla wzniesiono na obszarze dawnego cmentarza. Czy zatem zjawy to niespokojne dusze zmarłych? Jeśli tak, to dlaczego tylko w domu rodziny Pereira? Kości nieboszczyków zostały wydobyte i pochowane na nowym cmentarzu w Bélmez. Tymczasem podłoga w domu duchów została na nowo zasypana i zabezpieczona folią. Tym razem rodzina ma nadzieję, że upiory raz na zawsze opuściły ich domostwo.

Życzenie domowników niestety się nie spełnia. Już zaledwie po dwóch tygodniach ukazuje się trzeci portret. Pojawia się w pobliżu wcześniejszego miejsca. Maria Gómez przestaje w kuchni gotować, a rodzinie mija apetyt. W pomieszczeniu obok powstaje zastępcza kuchnia. Ledwie zostaje wykończona, również tam pojawia się upiór. Jest to już czwarty duch, wokół

którego niczym puzzle uwidaczniają się kolejne mniejsze oblicza. Powstaje cała galeria składająca się z dziesiątek twarzy i słabo rozpoznawalnych głów mężczyzn i kobiet. Przypominają one ekspresjonistyczne obrazy i pojawiają się już nie tyko na podłodze, ale i na ścianach. To jednak nie wszystko. Dzieła nieznanego twórcy tracą dotychczasowy charakter. Grube linie przeistaczają się w delikatne kreski, twarze bledną, zmieniają swój kształt, w końcu znikają lub niespodziewanie znów się pojawiają. Portrety mężczyzn i kobiet uwidaczniają się w nieregularnych odstępach. Ich wielkość zmienia się. Większość z nich mierzy około 60 na 55 centymetrów.

To tyle na temat wydarzeń w gminie Bélmez. Jednym z pierwszych parapsychologów przybyłych tam był Hiszpan Ernesto Argumosa. Dziewiątego kwietnia 1972 roku on i dwóch dziennikarzy gazety „Pueblo", Rafael Alcala i Pedro Sagrario, chcieli osobiście ujrzeć zmianę „oblicza ducha". „To było niesamowite", mówił później Argumosa. „Przed naszymi oczami twarz powoli nabierała konturów". Pedro Sagrario także opisał niepojęte zdarzenie: „Na ceglanej podłodze pojawiły się najpierw pojedyncze linie, które powoli zaczęły się łączyć w niezwykły obraz". Dzieło zostało wielokrotnie sfotografowane, jednak już pod koniec dnia praktycznie znikło. Argumosa przeprowadzał w domu także eksperymenty PSI z użyciem taśm magnetofonowych. Na niektórych nagraniach wyraźnie słychać głośne krzyki, tajemniczy gąszcz głosów i łkania ludzi. Podobne akustyczne anomalie zostały nagrane w 2004 roku przez śledczych grupy badawczej Hiszpańskiego

Towarzystwa Badań Parapsychologicznych (Sociedad Espanola de Investigaciones Parapsicológicas, SEIP). Źródło tych dźwięków pozostało niewyjaśnione. Czy w miejscu zdarzenia wydarzyła się niegdyś tragedia? Czy „głosy duchów" to projekcja z tamtego czasu? Czy łączy się to ze szkieletami odnalezionymi pod betonową posadzką w kuchni?

Dużo miejsca na spekulacje. Wraz z pojawianiem się kolejnych upiornych portretów i zainteresowaniem mediów informacja o fenomenie szybko rozprzestrzeniła się także poza granicami miejscowości. Na miejsce z całej Europy przybyli dziennikarze, duchowni, malarze, historycy sztuki, politycy, astrolodzy, okultyści oraz liczni naukowcy. Robili zdjęcia i pobierali próbki ziemi z zamiarem wyjaśnienia tajemnicy. Między nimi był niemiecki profesor uniwersytecki Hans Bender (1908–1991), założyciel Instytutu Obszarów Granicznych (Instituts für Grenzgebiete) we Freiburgu. Ekspert PSI rozpoczął swoje badania w maju 1972 roku. Po przepytaniu wszystkich świadków parapsycholog doszedł do przekonania, że rzeczywiście musiało to być zjawisko nadnaturalne. Analizy chemiczne i mineralogiczne próbek kuchennego podłoża nie przyniosły żadnych wyjaśnień – był to zwyczajny cement bez żadnych domieszek.

Podobnie niejasne były wyniki późniejszych badań. W 1975 roku na jednym z „obrazów zjaw" znaleziono ślady starego tłuszczu. Na tej podstawie powstało podejrzenie, że obrazy przybierały dziwne kształty przypadkowo, przez tłustą substancję. Psychologowie wiedzą, że nasz mózg przekształca

optyczne informacje w znajome wzory. W ten sposób wyraziste struktury górskie albo kształt chmur mogą przypominać „twarze”. Jednak ponieważ większość portretów z Bélmez jest zbyt wyraźna, możliwość „iluzji optycznej” nie wchodzi w rachubę. Chyba że ktoś poprawił za pomocą pędzla i farb struktury przypominające ludzkie głowy i w ten sposób wyostrzył efekt. Maria Gómez do końca życia energicznie zaprzeczała wszelkim zarzutom manipulacji. Wszyscy członkowie rodziny poddali się także badaniom wykrywaczem kłamstw, które wypadły pomyślnie. Rodzina Pereira mówiła prawdę. W 1991 roku naukowcy z Instytutu Ceramiki i Szkła (Instituto de Ceramica y Vidrio) ponownie przeprowadzili analizy próbek betonowej posadzki. Tym razem wykryto niewielkie ślady cynku, ołowiu i chromu. Mimo że wchodzą one także w skład pigmentów farb, naukowcom nie udało się logicznie udowodnić, że rzeczywiście były to pozostałości farby.

Wraz z mediami do Bélmez przybyły także rzesze ciekawskich turystów. Każdy, kto odwiedza ten region Hiszpanii, koniecznie chce zobaczyć dziwaczne „twarze z innego świata”. Pytanie, jaka niewidzialna siła stworzyła upiorne obrazy w domu rodziny Pereira, do dziś zaprząta ludzkie głowy.

Takie paranormalne zdarzenia zazwyczaj inicjują powstanie dwóch obozów wyrażających przeciwstawne opinie: zdecydowanych przeciwników oraz zaciekłych zwolenników. Krytycy tacy jak parapsycholog Ramos Petera oraz dziennikarz Javier Cavanilles podejrzewają zainscenizowane oszustwo, w

które zamieszani mogą być nawet lokalni włodarze. Jedna z tez sceptyków wskazuje na chemikalia utleniające, które zostały naniesione na podłogi i ściany. Pod wpływem działania światła miałyby się one barwić na czarno. Wciąż jednak nie znaleziono dowodu mogącego zdemaskować oszustwo. O manipulacji lub o jej braku ma natomiast świadczyć badanie podczerwienią. Na obrazie „La Pava" rozpoznawalne są niemal niewidoczne pigmenty, które można by uznać za ślad pędzla. Czy jest to dzieło ręki ludzkiej? A może retuszu dokonano dopiero później, w celu zachowania obrazu? Zwolennicy teorii zjawisk nadnaturalnych wskazują na uwierzytelnione świadectwo notarialne. W lipcu 1973 roku wszystkie twarze zostały sfotografowane pod urzędowym nadzorem. Następnie na podłogę nałożono folię i zabezpieczono taśmą klejącą, a kuchnię zamknięto na kłódkę i opieczętowano. Niecałe trzy miesiące później (w tym czasie rodzina została przeniesiona w inne miejsce) zdjęto zabezpieczenia. Podczas „kontroli twarzy" rzeczoznawcy stwierdzili ze zdziwieniem, że oblicza zmieniły swój wygląd!

Nie przekonuje to oczywiście niedowiarków. Zarzucają oni notariuszowi brak staranności podczas prowadzenia ustaleń. Z kolei nieufni eksperci uważają, że wyraz twarzy zjaw mógł zmienić się na skutek działania wilgoci pochodzącej od wód gruntowych.

Niektórzy badacze, uważający paranormalne wyjaśnienie za możliwe, popierają tezę, że Maria Gómez Pereira – lub inny członek rodziny – mogła wywołać pojawianie się obrazów przez

nieświadome uruchomienie w sobie sił mentalnych. Przez to charakter obrazów mógł się zmieniać w zależności od nastroju kobiety. Gdy w 1981 roku jej mąż ciężko zachorował, twarze zjaw – jak twierdzono – również się zachmurzyły.

Maria Gómez Pereira zmarła w wieku 85 lat 3 lutego 2004 roku. Miejsce jej ostatniego spoczynku znajduje się na cmentarzu przykościelnym w Bélmez. Na cześć Marii jej imieniem nazwano jedną z ulic, a wielu ludzi już wcześniej przepowiadało, że wraz z jej śmiercią znikną także tajemnicze twarze duchów. Przewidywania się jednak nie spełniły. Z tego, co wiadomo, w miejscu, gdzie po raz pierwszy ukazały się twarze, nie dostrzeżono już więcej obrazów. Duchy uaktywniły się natomiast w oddalonym o 100 metrów domu urodzenia Marii Gómez. Tutaj kobieta mieszkała do ukończenia 22. roku życia. W ciągu miesięcy po jej śmierci pojawiło się prawie tyle samo „twarzy zjaw". Czyżby kolejny znak z zaświatów? A może maczał w tym palce ktoś z członków rodziny? Podejrzani do dziś bronią się przed zarzutami i zarzekają się, że nigdy nie dopuścili się manipulacji w tej sprawie.

Zdania w kwestii „cudu z Bélmez" wciąż są podzielone…

Głos z krzyża, krwawa hostia i tajemnica ołtarza

Gdy przedmioty zmieniają swoją postać, kształt lub strukturę, specjaliści mówią o „transformacji". To szerokie pojęcie, często

używane w wielu dziedzinach nauki, na przykład w biologii lub medycynie wtedy, kiedy normalne komórki mutują do postaci złośliwego guza, lub też w przemyśle filmowym i reklamie, gdzie dzięki specjalnym trikom komputerowym (morphing) zepsuty samochód za jednym kliknięciem przemienia się w nieposkromionego robota. Jeśli niewyjaśniona przemiana zachodzi w obszarze religijnym, wierni dostrzegają w tym znak Boga. Legendy mówiące o powstaniu wielu chrześcijańskich miejsc łaski powołują się na nadnaturalne fenomeny, takie jak czyniące cuda krucyfiksy, krwawe hostie lub skamieniałe artefakty.

Austriackie miejsce kultu pielgrzymkowego może poszczycić się wszystkimi trzema fenomenami naraz. Chodzi tu o miejscowość Seefeld, położoną około 20 kilometrów na zachód od Innsbrucka, tyrolskiej stolicy landu. Na wyżynie leżącej na wysokości niemal 1200 metrów nad poziomem morza zorganizowano 250 kilometrów tras narciarstwa biegowego i jest to jeden z popularnych regionów sportów zimowych, w którym w latach 1964 i 1976 odbywały się zimowe igrzyska olimpijskie w dyscyplinach norweskich. Dzięki temu Seefeld zyskało międzynarodowy rozgłos. Oprócz kasyna gier, pól golfowych i hoteli z wellness w tym wysokogórskim kurorcie klimatycznym, liczącym 4000 mieszkańców, jest jeszcze coś, co dla większości oczu pozostaje niewidoczne – tajemniczy odcisk w skale. Znajduje on wraz z cudowną hostią w kościele św. Oswalda.

Niewiele osób odwiedzających Seefeld zna dziwną historię wiążącą się z cudownymi wydarzeniami. W XIV wieku spowodowały one, że do miejscowości zaczęły przybywać tłumy pielgrzymów nawet z odległych krain poza granicami landu. Z dokumentów dowiadujemy się, że pewien rycerz, Oswald Milser (inne źródła podają pisownię Mülser), urodzony w 1340 roku na zamku Klamm niedaleko Obsteig, sprawował funkcję urzędnika sądowego w twierdzy Schlossberg koło Seefeld. Opisywany jest on jako człowiek bogaty, wpływowy i skory do przemocy. W 1367 roku Oswald napadł na kapitułę w Wilten niedaleko Innsbrucka. Podczas najazdu uprowadzony został opat Konrad II Speiser i przez pewien czas był więziony na zamku Klamm. Za ten czyn awanturnik został wykluczony ze wspólnoty Kościoła na pięć lat.

Do cudownych zdarzeń doprowadził kolejny konflikt z kościelnymi hierarchami. Kronika miasta Seefeld zawiera wpis na ten temat:

> W roku 1384 po narodzinach Chrystusa możny szlachcic imieniem Oßwald Milser, który w owym czasie panował na zamku Schloßfeld położonym poza granicami Seefeld, w czasie Wielkanocy, dwudziestego piątego marca w Wielki Czwartek chciał przyjąć Najświętszy Sakrament. W swej wielkiej pysze zapragnął przyjąć nie małą hostię, jak innym laikom i prostym ludziom przystało, lecz hostię wielką. Ksiądz, w obliczu jego poważania i z trwogi i ludzkiej słabości, nie miał odwagi rycerzowi odmówić i podał mu wielką hostię. Jak tylko ksiądz położył na języku szlachcica Święty Sakrament, ten zapadł się natychmiast po kolana w ziemię, a gdy chciał uchwycić się ołtarza, także ołtarz zmiękł pod jego dłonią. Kiedy kapłan wyjął

> hostię z ust rycerza, skurczyła się już nieco od naturalnej wilgoci i naznaczona była śladami krwi i odbiciem zębów, co jest widoczne po dziś dzień.

Podsumujmy zatem: rycerz Oswald Milser nie zamierzał zadowolić się niewielką hostią, która przeznaczona była dla ubogiego ludu, i zażądał dużej. Z dzisiejszej perspektywy żądanie to wydaje się śmieszne, ale w tamtych czasach postrzegano je jako niewybaczalne bluźnierstwo. Ksiądz odczuwał ogromny lęk przed grubianinem i niechętnie podał mu dużą hostię na język. Wtedy stało się coś niepojętego: opłatek zaczął krwawić, a Milser ugrzązł na pół metra w ziemi. W panice chwycił się ołtarza, który także nagle stał się miękki jak masło. W kamieniu pozostały ślady odciśniętych palców i dłoni. Dopiero gdy ksiądz wyjął krwawą i nadgryzioną hostię z ust rycerza, ziemia pod jego nogami znów stała się twarda.

Inne zapisy informują, że zdarzenie wzbudziło wielkie zainteresowanie. Sam Oswald Milser, jak odnotowano, był blady jak kreda i tak przerażony, że wkrótce po tym, co się stało, wstąpił do klasztoru cystersów w Stams (36 kilometrów na zachód od Innsbrucka), gdzie zmarł kilka lat później. Pokutnik rzeczywiście został tam pochowany w 1388 roku, jednak nie w grobowcu rodzinnym, tak jak jego przodkowie, lecz pod progiem wejścia do „kaplicy Milsera”. Była to jego ostatnia wola i przejaw skruchy. Wchodzący do niej i wychodzący wierni mieli stąpać po jego ciele. Zamiast wystawnego pomnika w miejscu jego pochówku znajduje się jedynie wykuty w posadzce znak krzyża. W latach 1715–1717 kaplica poddana została

remontowi i od tego czasu nosi nazwę kaplicy Świętej Krwi, ponieważ znajduje się w niej cenna relikwia: odrobina krwi, pochodzącej jakoby z rany na boku Chrystusa.

Obraz w kościele pielgrzymkowym w Seefeld ukazuje, jak rycerz Oswald w 1384 roku zagłębił się w posadzce kościoła przez cud hostii.

Czy to tylko legenda wymyślona przez wiernych? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Cudowne zdarzenie związane z osobą Oswalda Milsera przyczyniło się do tego, że Seefeld stało się celem pielgrzymek wiernych. O tym właśnie traktuje większość historycznych dokumentów, jednak tylko nieliczne poświęcają uwagę samemu zagadkowemu zdarzeniu. Prawdopodobnie pierwsze pisemne źródło informujące o nim pochodzi z 1472 roku. Jest to list odpustowy papieża Sykstusa IV (1414–1484) wydany dla miasta Seefeld, który odnosi się do cudów. Pod koniec XV wieku i na początku XVI pojawiło się już wiele relacji. Jedną z najstarszych jest relacja z podróży urzędnika cesarskiego Dietricha von Schachten (1445–1503), który przebywał w Seefeld w orszaku heskiego landgrafa. Zatem źródła historyczne istnieją z całą pewnością. Ale na ile są one wiarygodne?

W 2007 roku sam na miejscu dokonałem retrospekcji. Jest marzec i na zewnątrz straszliwie zimno. Wiosna wciąż każe na siebie czekać. Wracam do domu pociągiem z audiencji w Watykanie. Podczas planowej przesiadki w Innsbrucku na myśl przychodzi mi zagadka kamienia w Tyrolu, którą badałem już od dłuższego czasu. Spontanicznie zdecydowałem się na wycieczkę do Seefeld. Co prawda nie mam przy sobie notatek z poszukiwań, ale pamiętam dość dobrze, co się tam wydarzyło. Czy na miejscu uda mi się znaleźć więcej informacji na temat legendarnego cudu?

Na dworzec w Seefeld docieram wygodną kolejką górską, zwaną przez tutejszych mieszkańców kolejką Karwendel. Podróż stromymi zboczami zabiera mi pół godziny. Stąd czeka mnie już tylko kilka minut drogi do centrum miasteczka, gdzie znajduje się kościół św. Oswalda. Przy wejściu do Domu Bożego zauważam, że akurat odbywa się chrzest. Nie chcę przeszkadzać i postanawiam wrócić tu później. Tymczasem wybieram się na spacer promenadą do symbolu Seefeld – wczesnobarokowego kościoła Świętego Krzyża, na zachód od wioski olimpijskiej leżącej na początku niezabudowanej doliny Mörser. W połowie XV wieku powstało tu sztuczne jezioro, które osuszono w 1807 roku. Architektura niewielkiego kościoła jest nietypowa dla Tyrolu: ośmiokątna bryła z wysoką kopułą, do której przylega czworokątne prezbiterium z zakrystią i wieża kościelna. We wnętrzu świątyni tuż obok wielkiego ołtarza znajduje się kolejna osobliwość: wielki Krzyż Chrystusowy, który niegdyś był krzyżem przydrożnym i w XVI wieku miał czynić cuda. Według zapisów w źródłach dzięki cudownej mocy wielokrotnie przemawiał z niego Chrystus do pielgrzymów.

Przemawiający krzyż? Dość humorystyczne wyobrażenie, które przywodzi na myśl postacie z serii opowiadań o Don Camillo, katolickim proboszczu rywalizującym z komunistycznym wójtem Peppone. W słynnym utworze włoskiego pisarza i karykaturzysty Giovannino Guareschiego (1908–1968) krucyfiks w kościele w Boscaccio odgrywa ważną rolę. Za każdym razem, kiedy sprytnemu Don Camillo udaje się

przechytrzyć komunistycznego wójta, z krzyża przemawia do niego Chrystus i jeśli to konieczne, upomina go.

Relacje o rzekomo mówiących krzyżach są najczęściej ignorowane jako zwykłe bajki. Takie historie są co prawda oryginalne, nie stanowią jednak żadnego dowodu. Najsłynniejsza legenda opowiada o świętym Franciszku z Asyżu (1181–1126). W mieście jego urodzenia w środkowych Włoszech, pośrodku pól uprawnych i drzew oliwnych, znajduje się zrujnowana niegdyś kapliczka św. Damiana. Na początku XIII wieku było to miejsce modlitw „braci mniejszych" (dziś franciszkanie lub minoryci). Jak mówi legenda, podczas modlitwy chwalebnej święty doznał wizji. Trzy razy wyraźnie usłyszał słowa pochodzące z ikony krzyża: „Franciszku, widzisz, jak mój dom się rozpada. Idź i go napraw!" Cudowny krzyż z kaplicy św. Damiana wisi dziś w Bazylice św. Klary w Asyżu.

Jeszcze bardziej tajemniczy jest fragment tekstu w Ewangelii Piotra. Jest to część apokryfów, czyli pism „ukrytych", które nie zostały włączone do oficjalnego kanonu Biblii – z powodów religijno-politycznych albo dlatego, że teksty te podczas powstawania Nowego Testamentu nie były jeszcze znane. Zachowane fragmenty Ewangelii Piotra sięgają II wieku. Odkryli je w 1886 roku francuscy archeolodzy w grobie mnicha w Achmim, mieście Górnego Egiptu. W jednym z akapitów pergaminowego rękopisu, zwanego Papyrusem Cairensis 10759, w osobliwy sposób opisane zostało zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa:

> Piotr 35: Zaś nocą, gdy rozjaśniał się Dzień Pański, strzegli żołnierze po dwóch na każdej warcie, odezwał się wielki głos w niebie. 36: I ujrzeli, jak otwarło się niebo, i dwóch mężów zstąpiło stamtąd otoczonych wielkim blaskiem. I zbliżyli się do grobu. 37: Zaś kamień, który zamykał wejście, sam się stoczywszy, odsunął się na bok. I grób się otworzył, i obaj młodzieńcy weszli do środka. 38: Ujrzeli więc owi żołnierze to i obudzili centuriona i starszych. Oni bowiem też tam byli na straży. 39: I gdy opowiedzieli im to, co ujrzeli, zobaczyli znowu trzech mężów z grobu wychodzących. Dwu podtrzymywało jednego, krzyż podążał za nimi, 40: a głowy dwu sięgały aż do nieba, podczas gdy głowa przez nich prowadzonego przewyższała niebo. 41: I usłyszeli głos z nieba mówiący: „Czy głosiłeś tym, którzy zasnęli?” 42: I usłyszano odpowiedź z krzyża: „Tak!”[1]

Co znaczą te słowa? Kim byli owi niebiańscy obcy w blasku światła? A krzyż? Czy według przekazu on sam przemawiał? Czy też ktoś był do niego przybity? Jeśli tak, to kto? Według interpretacji teologów przemawiający krzyż miał być uformowaną w krzyż grupą żydowskich świętych, która szła za Jezusem z grobu. Brak na to jakiegokolwiek dowodu. Tekst pozostaje tajemniczy.

Przemawiające krzyże są znane także w kulturze Majów na półwyspie Jukatan. Przypomina o tym nisza modlitewna w mieście Felipe Carrillo Puerto, wcześniej Chan Santa Cruz. Dawne wierzenia Majów o kosmicznym drzewie życia Ya’axche, wyrastającym z jaskini Áaktun tuż przy świętym źródle boga deszczu Cháaka, połączyły się z chrześcijańską symboliką. Kiedy w latach 1847–1901 lud Majów walczył o niepodległość,

mówiący krzyż odgrywał szczególną rolę. Kapłani Majów zwracający się z pytaniem do wyroczni w świątyni Jaguara zawsze otrzymywali nakaz: „Nie przerywajcie walki o wolność z białymi”. Wówczas rozpoczął się wieloletni okres oporu, który ostatecznie zakończył się krwawą porażką. Wraz ze zdobyciem militarnej bazy Majów Chan Santa Cruz, święte miejsce z mówiącym krzyżem zostało zrównane z ziemią. Jego kult jednak przetrwał. Kiedy w 1935 roku ostatni powstańczy wojownicy Majów musieli uznać w traktacie pokojowym meksykański rząd, kult przemawiającego krzyża mógł być dalej pielęgnowany. Wciąż jest on żywy w miejscowościach Xcacal Guardia, Chancah-Veracruz, Chumpón i Tulúm, i ma pomagać w otrzymywaniu przesłań od „wyższych istot”. Obcy lub biali nie są jednak mile widziani w świętych miejscach wyroczni.

Cudowny krzyż w kościele w Seefeld jest natomiast dostępny dla wszystkich. Jego jedyną wadą jest to, że już od stuleci nie przemówił ani jednym słowem. Nie ma się jednak czemu dziwić, biorąc pod uwagę współczesne głośne społeczeństwo doby przemysłu i rozrywki. Milczenie też może być formą odpowiedzi. Powróćmy jednak do początku: do kościoła pielgrzymkowego św. Oswalda. Stojąc niedawno przed głównym portalem Domu Bożego, zwróciłem uwagę na relief na łuku bramy. Jest on podzielony na dwie części. Lewa strona przedstawia rycerza Oswalda Milsera w chwili, gdy przyjmuje hostię i grzęźnie w kamiennej posadzce. Data cudu jest dokładnie udokumentowana: 25 marca 1384 roku. Po prawej stronie obok widzimy, jak mężczyzna pozbawiany jest głowy.

Nie wiadomo nic na temat tego, aby Oswald Milser został ścięty. Wyjaśnieniem może być to, że mamy do czynienia z dwoma Oswaldami. Scena z katem odnosi się do króla Oswalda (604–642), panującego w Nortumbrii, królestwie położonym w północnej Anglii. Zmarł on jako męczennik, którego ciało zostało poćwiartowane i wystawione na pokaz. Szczątki świętego czczone są w wielu miejscach jako relikwie, w tym prawa ręka w Bamburgh Castle, która wedle legendy zachowała się w nienaruszonym stanie. Zbieżność imion patrona kościelnego z występnym Oswaldem Milserem jest dziełem przypadku.

Kiedy wchodzę do wnętrza trzynawowego kościoła św. Oswalda, jest zupełnie pusto. Dla wiernych i miłośników sztuki znajduje się tu wiele skarbów do odkrycia: dobrze zachowane freski z XV wieku, kazalnica z drzeworytami z 1524 roku, cenne statuetki relikwiarza, gotycka chrzcielnica oraz niezwykły drzeworyt, przedstawiający i opisujący cud hostii i kamienia. Wykonał go prawdopodobnie około 1500 roku Jörg Köderer (1465–1540), malarz i nadworny budowniczy cesarza Maksymiliana I. Ale gdzie skryła się kamienna zagadka? Oglądam się, skrzętnie fotografuję i nagle słyszę skrzypienie podłogi i kroki. Z zakrystii wyszedł wąsaty mężczyzna. To lubiany w Seefeld proboszcz Egon Pfeifer. Sługa boży pyta, czego szukam. „Gdzieś tu się ponoć znajduje kamienny cud”, odpowiadam naiwnie, „ale nigdzie go nie mogę znaleźć”.

„Drogi panie, właśnie pan przed nim stoi”, wyjaśnia mi proboszcz Pfeifer i zdejmując z ołtarza obrus, odsłania moim

oczom tajemnicę. I faktycznie: na rogu kamiennej płyty widoczne są ślady zagłębienia, pasujące do kształtu palców i powierzchni dłoni, tuż obok na posadzce dziura zasłonięta kratą. To owo miejsce, gdzie – jak głosi legenda – Oswald Milser ugrzązł w ziemi po kolana. Jeszcze dziś widoczne są odciski podeszew jego butów. Ale jak to możliwe? Kościół jest świątynią późnogotycką, której budowa rozpoczęła się w 1423 roku za czasów księcia Fryderyka IV i którą ukończono i poświęcono dopiero 50 lat później. Według przekazów cud miał się jednak wydarzyć już kilka dekad wcześniej. Pozorną sprzeczność szybko się jednak udaje wyjaśnić. Otóż w miejscu tym znajdował się wcześniej starszy kościół, który ze względu na wzrastającą liczbę pielgrzymów stał się zbyt mały. Potwierdzają to freski z poprzedniej budowli, które odsłonięto podczas prac restauracyjnych w 1950 roku. Historycy kościoła stwierdzili dodatkowo, że przynajmniej dolna zabudowa wraz z ołtarzem stanowi prezbiterium nowego Domu Bożego.

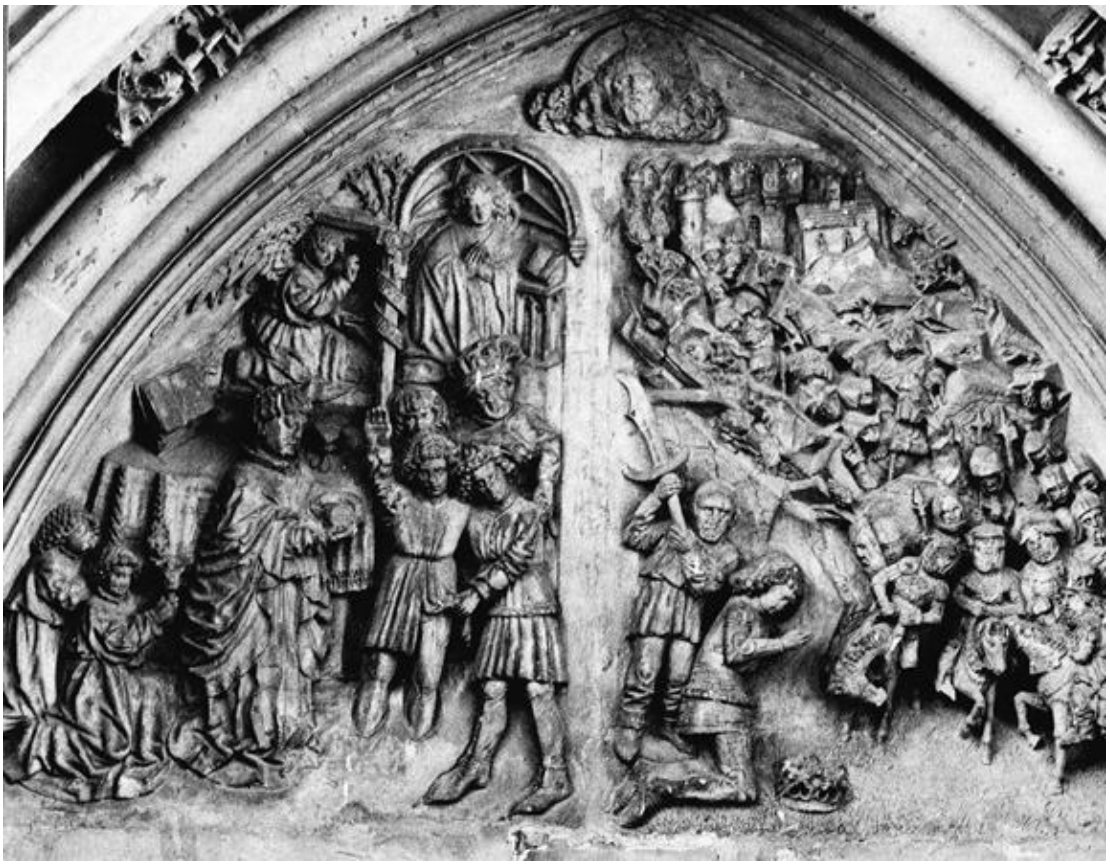

Relief na portalu ukazuje dwóch Oswaldów: jeden grzęźnie w kamieniu (po lewej), drugi traci głowę. (Zdjęcie: Urząd Turystyki w Seefeld)

Historyczne źródła są zatem potwierdzone. „Do czasów obecnych przetrwała nawet cudowna hostia”, opowiada proboszcz Egon Pfeifer i wskazuje na bogato zdobione boczne pomieszczenie kościoła. Jest to kaplica Świętej Krwi, gdzie w gotyckiej monstrancji relikwiarza przechowuje się cudowny opłatek. Jego stan nie jest najlepszy. Ze śladów krwi lub odcisków zębów niewiele już pozostało. Hostia przypomina raczej wyplutą brązową gumę do żucia. Ma to wynikać z tego,

że podczas wojen wielokrotnie była chowana przed wrogami w sztolni, ostatni raz w latach 1939–1945 podczas II wojny światowej, przez co utraciła swój dawny kształt i wygląd. Ale istnieje i nie jest jedynie wytworem wyobraźni. Czy po tylu stuleciach hostia nie powinna zostać poddana analizom chemicznym? Prawdopodobnie ze strony Kościoła pojawiłyby się zastrzeżenia. Geologiczne badanie kamienia ołtarza również bardzo by mnie ciekawiło. Przy zastosowaniu nowoczesnych metod naukowych określenie, czy odciski powstały w sposób sztuczny i są dziełem kamieniarzy, czy też Oswald Milser rzeczywiście ugrzązł w miękkim jak masło kamieniu, nie powinno być trudne.

Wszystko to są jednak tylko relikty naiwnej legendy o świętych – czyż nie?

Palec i dłoń pasują do wyżłobienia w miejscu, gdzie rycerz Milser w panice uchwycił się ołtarza, kiedy kamienna posadzka nagle stała się pod nim grząska. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Plastyczne kamienie

Kamienie i ludzie bywają do siebie podobni. Dla austriackiego poety Ericha Frieda (1921–1988) było to oryginalną inspiracją. Opisał on następującą rozmowę: „Ktoś powiedział do kamieni: »bądźcie ludzcy«. Kamienie odpowiedziały: »Nie jesteśmy wystarczająco twarde«".

To nas prowadzi do fenomenu z epoki kultury Inków, który wywołuje sporą konsternację. Chodzi o mur zbudowany z nieregularnych fragmentów skały, połączonych ze sobą bez zastosowania zaprawy tak starannie, jak gdyby były z plasteliny. Poziom precyzji jest tak wysoki, że w spoiny niejednokrotnie nie da się włożyć nawet żyletki. Miały to być twierdze chroniące przed wrogami. Dziwne jest tylko, że ochronę można było w większości przypadków zapewnić znacznie mniejszym wysiłkiem. Po co tak duży nakład pracy i precyzyjne wykonanie? Starożytni Grecy wierzyli, że potężne mury wzniosły jednookie olbrzymy, stąd nazwa „mur cyklopowy". Ten oryginalny rodzaj budowli z okresu między 1350 a 1200 rokiem p.n.e. dobrze zachował się zwłaszcza na stanowisku wykopaliskowym w Mykenach na południe od

Koryntu. Na co warto tam zwrócić uwagę: jeden z kamieni wbudowanych w mur ma precyzyjne, głębokie nacięcie. Kto, kiedy, czym i w jakim celu wykonał to nacięcie w skalnym budulcu?

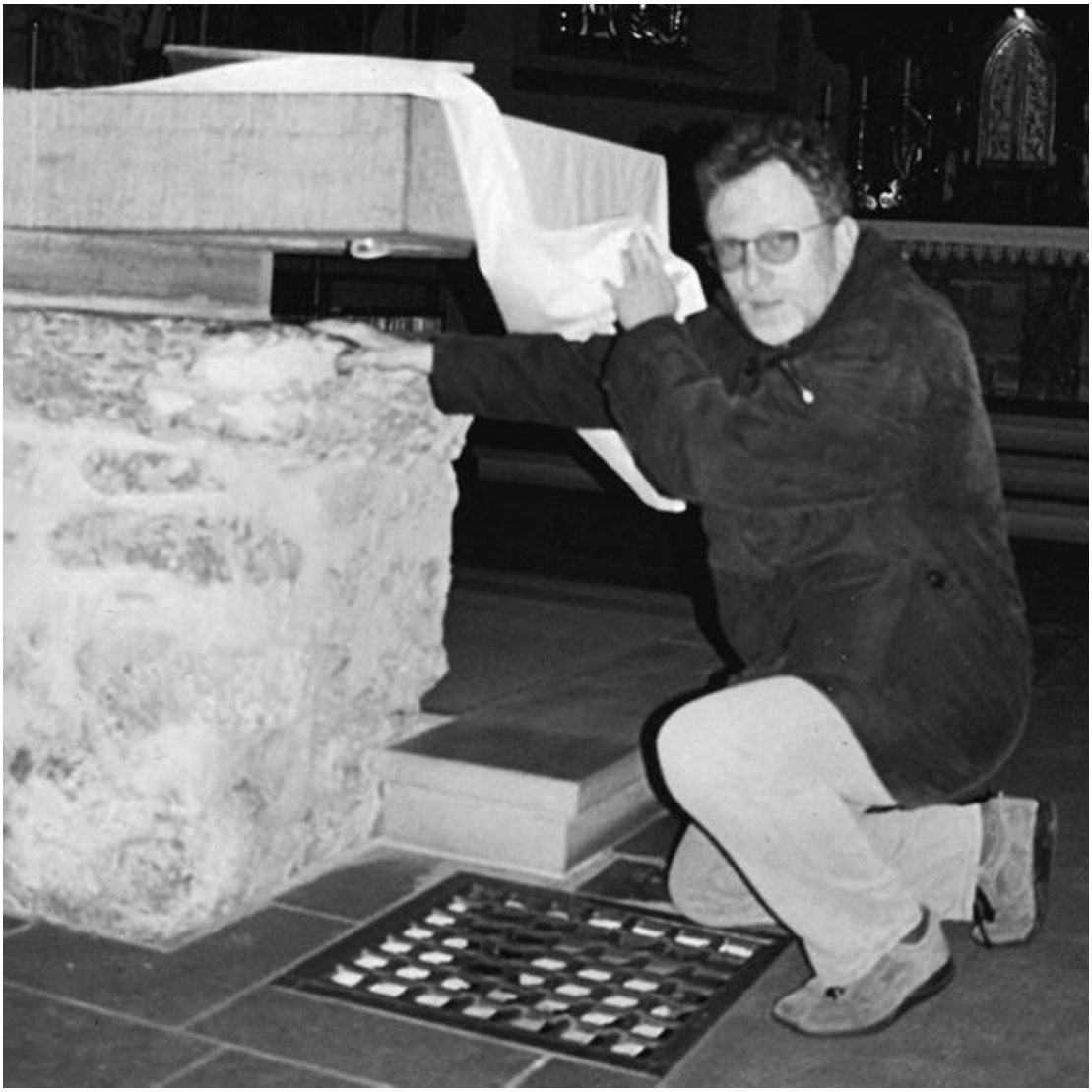

Autor w miejscu, gdzie miał zdarzyć się cud hostii i ugrzęźnięcie rycerza w kamiennej posadzce. (Zdjęcie: Elvira Schwarz)

Imponujące mury takie jak w Mykenach znaleźć można na całym obszarze śródziemnomorskim, na przykład w Hatusie (dawnej stolicy imperium hetyckiego, dziś prowincja Çorum na wyżynie Anatolii), w Troi (prowincja Çanakkale na północnym zachodzie Turcji),w Roselle (na północny wschód od miasta Grosseto w Toskanii) i w innych starożytnych metropoliach Etrusków, a także na Malcie, Korsyce, Majorce, w Egipcie czy na Wyspie Wielkanocnej lub w Peru.

Kto przed 2300 laty pozostawił w murze z Myken ten precyzyjny ślad cięcia w kamieniu? (Zdjęcie: Christian Schmidt)

Najbardziej zadziwiające cuda budowlane znajdują się na wysokości 3400 metrów w okolicach Cuzco w centrum

peruwiańskich wyżyn. Nieco powyżej legendarnej stolicy imperium Inków znajdują się ruiny Sacsayhuamán, nad którymi górują trzy mniej więcej równolegle przebiegające zygzakowate mury. Owe „linie obronne” zbudowane z połączonych bezspoinowo fragmentów skalnych, wysokości nawet 9 metrów i wadze 300 ton, są zaliczane do najbardziej zagadkowych pozostałości po kulturze Inków. Że budowniczymi byli Inkowie, twierdzi kronikarz Garcilaso de la Vega (1539–1616). Wywodził się on z Inków i w swoim *Comentarios Reales* zapisał, że budowę kompleksu rozpoczęto za panowania władcy Inków Pachacúteca (†1471) i ukończono w czasach jego syna i wnuka. Przy budowli miało pracować 30 000 Inków przez około 70 lat. De la Vega nie wspomina natomiast nic na temat metod transportu wielotonowych skalnych bloków i nie informuje o technice precyzyjnego łączenia budulca bez użycia zaprawy. I ani on, ani nikt inny nie udziela wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, do czego służyło Sacsayhuamán.

Widok z bliska na mur Inków z Sacsayhuamán w Peru. W jaki sposób udało się połączyć bez spoin 300-tonowe kamienne bloki bez użycia zaprawy? Według legendy budowniczowie rozmiękczali i formowali kamienie dzięki zastosowaniu roślinnej substancji. (Zdjęcie: Chris Dimperl)

Podobne pytanie rodzi się w przypadku nieokreślonych mas skalnych, porozrzucanych kilkaset metrów powyżej „murów obronnych", być może pozostałości zniszczonych budowli: kamienne fotele, twory przypominające schody, olbrzymie platformy z polerowanego kamienia, wygładzone, prostokątne powierzchnie, precyzyjnie wycięte ze skały, zdawałoby się miękkiej jak masło lub wosk. Hiszpańscy najeźdźcy i chrześcijańscy misjonarze widzieli w niewyjaśnionej technice

obróbki kamienia dzieło szatana. Ich zdaniem ludzie nie byli zdolni do stworzenia takich cudów. „W religii Inków nie istniała postać diabła”, zauważa niemiecki teolog i podróżnik Walter-Jörg Langbein, „były natomiast niebiańskie istoty, które Inkowie chcieli ukazywać – jednak Hiszpanie do tego nie dopuszczali. Od misjonarzy Inkowie dowiedzieli się, że diabeł to anioł ukarany przez Boga: Lucyfer. I to właśnie diabły miały stworzyć kamienną budowlę. Przeciwko takiemu poglądowi protestowali potomkowie Inków. O bogach także nie wolno im było rozmawiać – zakazali im tego orędownicy nowej wiary. Zatem zastąpili dawnych bogów aniołami”.

Faktycznie istnieje oryginalne dzieło w Chinchero, które dokumentuje dokładnie te wierzenia. Miejscowość położona jest w odległości około 30 kilometrów na północny zachód od Cuzco i była niegdyś letnią rezydencją królów Inków. Tutaj znajduje się kościół kolonialny z połowy XVI wieku. Jego fundamenty są pozostałością po świątyni z epoki Inków. Jeszcze dziś msze odprawiane są w języku Indian, quechua. W 1693 roku artysta Francisco Chihuantito otrzymał zlecenie ozdobienia kaplicy malowidłami olejnymi. Mistrz znalazł nad zewnętrznym portalem dziwny obraz, oparty na ustnych przekazach Inków. Przedstawiał skrzydlate anioły podczas obróbki skały. Chihuantito wpadł na pomysł ukazania w malowidle chrześcijańskiego motywu ze ściany kaplicy. Tak powstała wierna kopia pierwotnego obrazu. Nie widzimy na nim nieziemskich bogów Inków, ale skrzydlate anioły, które piłą wycinają ze skały kamienne bloki. Skamieniałe zagadki jako

wspomnienie nadnaturalnych ingerencji? Wiara w cuda czy fantastyczna prawda?

Śmiałe może wydawać się wyjaśnienie, że Inkowie i inne wczesne kultury znały sztukę rozpuszczania skały. Tak sądzi amerykański archeolog Hiram Bingham (1875–1956), który w 1911 roku natrafił na ruiny Machu Picchu. Podczas odsłaniania budowli bujnie porośniętych tropikalną puszczą tubylcy opowiedzieli mu o roślinie, której sok rozpuszczał kamień. Ten roślinny ekstrakt umożliwiał rozmiękczanie i precyzyjne formowanie skalnego budulca.

Dalsze relacje pochodzą od brytyjskiego porucznika Percy'ego Fawcetta (1867–1925), który nie powrócił już ze swojej siódmej podróży badawczej do brazylijskiego Mato Grosso i tam zmarł. Notatka z wcześniejszych ekspedycji odnosi się do jego angielskiego kolegi, który przemierzył 8 kilometrów przez puszczę nad rzeką Pyrene w peruwiańskiej prowincji Chuncho. Ponieważ jego koń kulał, pozostawił go u znajomego w sąsiedniej miejscowości i wrócił do domu pieszo. Następnego dnia chciał odebrać konia i skorzystał ze skrótu przez leśny gąszcz. Miał na sobie spodnie jeździeckie i wysokie buty z dużymi ostrogami. Na końcu trasy Anglik stwierdził, że metalowe ostrogi u jego butów rozpuściły się. Jego przyjaciel, który mieszkał w okolicy już od dłuższego czasu, spytał, czy przypadkiem nie szedł przez gęsto rosnące rośliny o brunatnych, mięsistych liściach i wysokości około 15

centymetrów. Kiedy ten przytaknął, okazało się, że to one rozpuściły jego ostrogi, i miał to być środek, „którym Inkowie formowali kamienie”.

Doktor Joseph Davidovits to francuski naukowiec, który takie legendy traktuje poważnie. Specjalista w zakresie chemii tworzyw sztucznych jest przekonany, że starożytne kultury, w tym budowniczowie boliwijskiego miasta Tiahuanaco, znały metodę, która pozwalała rozdrobnione kamienie roztapiać i przelewać do określonej formy. To by tłumaczyło, w jaki sposób kamienne bloki o nawet dwunastu krawędziach były bez spoin dopasowywane do konstrukcji muru Inków. Davidovits zwraca uwagę, że szamani z regionu Andów jeszcze dziś mielą kamienie na proszek i przygotowują mieszankę, używając naturalnych chemikaliów, a następnie wyrabiają z nich kamienne amulety.

Już w 1979 roku naukowcy otrzymali niezwykle trwały „sztuczny kamień”, nazwany geopolimerem. Na podstawie badań Davidovitsa powstała teza całkowicie przecząca ogólnie obowiązującej opinii. Według niej budowniczowie piramid w Gizie nie wydobyli 5 milionów ciosanych kamieni z kamieniołomów, lecz odlali je na miejscu z betonu. Jeśli tak rzeczywiście było, to obecnie obowiązująca podstawowa teoria egiptologii przestałaby być aktualna. Szacowana liczba robotników pracujących przy budowie piramid również byłaby mniejsza. Trudności związane z transportem budulca także miałyby znacznie mniejszy zakres. Egiptolodzy nie dają się jednak przekonać. Wskazują na analizy skały użytej do budowy

piramid, która, jak dowiedziono, została przetransportowana na miejsce z pobliskiego kamieniołomu. Nie wspomniano natomiast, że odnosi się to do materiału z rdzenia piramidy oraz części zewnętrznego płaszcza, który niegdyś pokryty był jasnymi płytami wapiennymi. W niektórych miejscach, na przykład u podstawy oraz na szczycie piramidy Chefrena, zachowały się one do dziś.

Większość widocznych dziś bloków piramidy wykazuje jednak inne właściwości. Według badania Davidovitsa ciosy w 95 procentach składają się z naturalnego wapienia, natomiast pozostała część ze sztucznego środka wiążącego, glinki kaolinowej. Prowokacyjna teza poparta jest nowymi odkryciami. W 2006 roku budulec piramid został poddany badaniom przez naukowca Gillesa Huga z francuskiego instytutu badawczego żeglugi powietrznej i kosmicznej oraz jego współpracowników, Michaela W. Barosuma i Adrisha Ganguly, obu z uniwersytetu Drexel w amerykańskim stanie Pensylwania. Za pomocą promieni rentgenowskich oraz lamp plazmowych udało im się odkryć, „że pewne mikroskopijne składniki kamieni wykazują ślady wystąpienia szybkiej reakcji chemicznej". Takich właściwości nie wykazują ciosy z kamieniołomu. Poza tym spektrum kruchości kamieni piramidy wykazuje wyraźne odstępstwa od materiału pochodzącego z kamieniołomów.

Do takich samych wniosków doszedł Guy Dumortier z belgijskiego uniwersytetu w Namur. Stwierdził on, że kamienie piramidy zawierają więcej fluoru i krzemu niż kamienie

naturalne. I podsumował: „Nawet jeśli taki pogląd nie podoba się egiptologom, to wykorzystanie kamieni odlanych z betonu jest najbardziej prawdopodobnym wariantem sposobu budowy piramid”.

Zagadki z kryształu górskiego

Istnieje jeszcze jedna zagadka związana z kamieniami owiana aurą magii: to legendarne czaszki z kryształu górskiego, kwarcu dymnego i innych kamieni szlachetnych. Zaliczają się do najbardziej niewiarygodnych artefaktów na naszej planecie. Mają wielkość od kilku centymetrów do naturalnej wielkości ludzkiej czaszki i ważą do kilku kilogramów. Wiek, pochodzenie i okoliczności ich odkrycia pozostają w wielu przypadkach nieznane, ponieważ brak niezależnej dokumentacji. Spekulacje, jakoby czaszki miały uzdrawiającą energię, pochodziły z Atlantydy, zawierały holograficzne obrazy UFO, były w nich zapisane informacje o pozaziemskich cywilizacjach czy też mogłyby otwierać połączenia do innych wymiarów, zarówno rozpalają fantazję, jak i wzbudzają sceptycyzm.

W 1997 roku angielscy pisarze Chris Morton i Ceri Louise Thomas opublikowali książkę *Tajemnica kryształowych czaszek*. Przedstawili w niej tezę o istnieniu starego indiańskiego proroctwa, zgodnie z którym tajemnice życia i wszechświata miałyby zostać ujawnione, jeżeli się uda umieścić wszystkich 13

legendarnych kryształowych czaszek w jednym miejscu. Jako nośnik pamięci całej ludzkości mogłyby wówczas śpiewać i mówić. Morton i Thomas utrzymywali, że te tajemnicze relikty mogły być niegdyś sprowadzone na Ziemię przez istoty pozaziemskie. Ten śmiały pomysł zainspirował Stevena Spielberga, reżysera filmu przygodowego *Indiana Jones i Królestwo Kryształowej Czaszki*.

Morton i Thomas zakładali ponadto, że mistyczne głowy mogłyby wspomóc ludzkość swoją wiedzą podczas zmiany epok – związanym z kalendarzem Majów proroctwem na rok 2012. Można z tej tezy wysunąć nieco górnolotny wniosek, że „obojętnie, skąd pochodzą kryształowe czaszki; ukrywają one następujące przesłanie: może jeszcze jest dla nas czas, aby znaleźć właściwe nam miejsce we wszechświecie. Może jeszcze jest czas, żeby zdążyć uratować naszą planetę, zanim będzie za późno. Możliwe jednak, że nie usłyszymy tego przesłania. Wówczas nasz czas dobiegnie końca, a z rasy ludzkiej pozostanie tylko czaszka. Może jednak wysłuchamy czaszki i zdołamy dopuścić do tego, żeby objawiła się boskość, która w nas istnieje. Może niebo i ziemia spotkają się wówczas w człowieku”.

Ale może to wszystko jest tylko legendą? Jaki to ma związek z końcem kalendarza Majów? Poprzedni okres w kalendarzu Majów zakończył się po 5000 lat w dniu 21 grudnia 2012 roku. Ta data zbiegła się z wydarzeniem astronomicznym, które zdarza się raz na 25 800 lat: Droga Mleczna i Słońce znalazły się na specjalnej osi. Pomijając pytanie, skąd astronomowie Majów

o tym mogli wiedzieć, dla proroków przewidujących koniec świata konstelacja przedstawiała wizje w takim samym stopniu zgubne, jak i emocjonujące. Ta data wzbudziła w szerokich kręgach sceny ezoterycznej i w zwolennikach teorii spiskowych emocje związane ze zbliżającym się końcem świata. Jak uczy historia, granica pomiędzy fobią a masową histerią jest naprawdę cienka. Wcześniej ludzie obawiali się końca świata, gdy do Ziemi zbliżały się komety. Na przełomie tysiącleci wielu obawiało się awarii systemów komputerowych, a później data 2012 rok wywoływała niepokój.

Niewątpliwie to my, superinteligentni Ziemianie, stworzyliśmy mnóstwo problemów. Za większość z nich – od codziennej eksploatacji i niszczenia środowiska aż po konflikty religijne i militarne – wińmy sami siebie. Ale mówi się, że każdy kryzys kryje w sobie szansę na lepszą przyszłość. Strach i obawy, paraliżujące nas, od zawsze towarzyszą wprowadzaniu pozytywnych zmian. Pomogłoby nam, gdybyśmy potrafili bardziej doceniać i respektować życie. Stoją przed nami potężne wyzwania przyszłości. Podołamy im jedynie wtedy, gdy dołożymy wspólnie starań o to, bo przecież – z takiego założenia wychodzę – chcemy przeżyć jako gatunek. Musimy wiedzieć, jakie kroki należy przedsięwziąć i jakie środki zastosować. Z tego powodu wielu optymistów nie widzi w kalendarzu Majów końca, ale symboliczną przełomową datę, początek nowej duchowej ery.

Czy ludzki los jest związany z kryształowymi czaszkami i wybawcami z kosmosu? Z całą sympatią dla istot

pozaziemskich, zdawanie się na pomoc przybywającą „z nieba” przy rozwiązywaniu naszych własnych problemów – to dość naiwna nadzieja i raczej należy wątpić w jej urzeczywistnienie. A jednak tajemnicze czaszki z kryształu istnieją, porozrzucane po całym świecie, nawet daleki Tybet skrywa w swoich klasztorach podobne skarby. Większość z tych obiektów znajduje się w rękach prywatnych, ale niektóre z nich można podziwiać w muzeach, na przykład londyńską kryształową czaszkę w Wellcome Gallery w British Museum, czy czaszkę paryską w Musée du Quai Branly. Te eksponaty, pochodzące prawdopodobnie z czasów starożytnej Ameryki, zostały oszlifowane z taką precyzją, jakiej nie zdoła obecnie osiągnąć nawet najbardziej nowoczesna technologia. Eksperci do spraw sztuki poddali eksponaty badaniom w mikroskopie elektronowym i znaleźli poszlaki, które pozwalają przypuszczać, że do obróbki użyto rotujących tarcz szlifierskich. A ponieważ zgodnie z obecną nauką ani Majowie, ani inne dawne amerykańskie cywilizacje nie potrafiły produkować takich maszyn, czaszki uchodzą za „nieautentyczne przedkolumbijskie artefakty”, które wykonano „prawdopodobnie w XIX wieku” w Europie. Przypuszcza się, że miejscem ich produkcji jest kopalnia kamieni szlachetnych Idar-Oberstein w niemieckim kraju związkowym Nadrenia-Palatynat, znana na całym świecie ze swoich produktów biżuteryjnych.

Z drugiej strony: jeżeli teza o pozaziemskim pochodzeniu czaszek miałaby się okazać prawdziwa, nie dałoby się uznać

wyników laboratoryjnych za absurdalne, ponieważ można się spodziewać, że wysoko rozwinięta cywilizacja pozostawiła dla nas spuściznę wykonaną z użyciem nowoczesnej technologii, a nie dzięki żmudnemu ręcznemu szlifowaniu, które mogłoby trwać całe wieki. Inna teza, wysuwana przez przedstawicieli wierzących w autentyczność czaszek, brzmi następująco: ludy pierwotne dysponowały technologiami, o których dziś nic nie wiemy. Poszlaki przemawiające za tą tezą to na przykład skomplikowane formy murów zbudowanych przez Inków oraz południowoamerykańskie opowieści o kamieniach, które miękną wskutek kontaktu z sokiem określonych roślin.

Czy dawni mędrcy korzystali przy tworzeniu kryształowych czaszek z podobnych sposobów? Warto zauważyć, że zarzut fałszerstwa ogranicza się wyłącznie do największych i najbardziej spektakularnych egzemplarzy czaszek. A istnieją przecież także inne zdumiewające relikty z kryształu, wykonane z podobnym perfekcjonizmem i podobnymi śladami obróbki. Dlaczego więc nie podaje się w wątpliwość ich prekolumbijskiego pochodzenia ani autentyczności?

Ja sam miałem okazję dokładnie przyjrzeć się dwóm z takich unikatów: Jeden z nich został wykonany z kryształu górskiego, ma wymiary 6 × 9,5 centymetra i nazywają go „pochylonym króliczkiem”, choć jego wygląd jest dość surrealistyczny. Precyzyjny szlif i oryginalna forma mogłyby być dziełem stworzonym we współczesnym warsztacie zajmującym się obróbką kamieni. Przedmiot pochodzi jednak prawdopodobnie z cywilizacji Misteków i został wykonany pomiędzy 1300 a 1521

rokiem n.e. Można go znaleźć tuż obok 4-centymetrowej kryształowej czaszki w Narodowym Muzeum Antropologii w mieście Meksyk. W tym samym muzeum znajduje się sławny Piedra del Sol (Kamień Słońca, o którym także można znaleźć wzmianki w kalendarzu azteckim, sposobem wykonania przypominający styl Majów i Tolteków), o średnicy 3,60 metra i wadze 24 ton. Został odkryty w 1709 roku podczas prac renowacyjnych w katedrze znajdującej się w mieście Meksyk, która powstała w miejscu starożytnej świątyni Tenochtitlán.

Drugi przedmiot wykonany z perfekcyjnie oszlifowanego kryształu górskiego, co do którego genezy nie ma żadnych wątpliwości, pochodzi z ruin Monte Alban w południowym Meksyku. Teren wraz z obserwatorium zalicza się do najwspanialszych świadectw kultury Zapoteków, których długa historia zaczyna się około 500 roku p.n.e. Wykopaliska naukowe na wielką skalę rozpoczęto dopiero w 1931 roku pod kierownictwem meksykańskiego archeologa Alfonso Caso y Andrade (1896–1970). W grobowcu numer 7 archeolog ze swoją ekipą odkryli wiele niezwykle interesujących obiektów kultu, które w dawnych czasach zostały przekazane zmarłym na drogę do innego świata. Wśród znalezionych eksponatów znajduje się kryształowy puchar wielkości 8,8 centymetra. Jest tak precyzyjnie wypolerowany, że jego twórcę należy uznać za prawdziwego mistrza. Z raportu z wykopalisk wynika jednoznacznie: mały „Graal” pochodzi z czasów prekolumbijskich i został wykonany prawdopodobnie w XIII wieku. Jakich użyto narzędzi? Arcydzieło z drobnymi

kryształowymi elementami można podziwiać w regionalnym Muzeum Kultur (Museo de las Culturas) w miejscowości Oaxaca. I w tym przypadku sposób obróbki i znaczenie przedmiotu pozostają nieznane. Wykonanie eksponatów wielkości kilku centymetrów wymaga przecież znacznie więcej sprawności niż wypolerowanie czaszek o naturalnych rozmiarach.

Czaszka z Lubaantun

W przypadku dzieł sztuki wykonanych z kryształu nie można dokładnie określić czasu ich powstania, więc nie da się ocenić, czy dany eksponat jest naprawdę bardzo wiekowy, czy chodzi o przedmiot wykonany w czasach obecnych. Najbardziej interesujące eksponaty dostają się do rąk handlarzy antykami, zostają sprzedane lub są dziedziczone z pokolenia na pokolenie. Rzadko można dociec, skąd dokładnie pochodzą, ponieważ najczęściej brak protokołów z wykopalisk lub nie istnieją inne znaleziska, które mogłyby posłużyć jako pomoc w datowaniu eksponatów. Dotyczy to także najsławniejszej i najbardziej precyzyjnie wykonanej czaszki z kryształu, która stanowi eksponat najbardziej kontrowersyjny – czaszki z Lubaantun.

Chciałbym tu przytoczyć ciekawą historię jej odkrycia. Rzecz się działa w 1924 roku (choć często przytaczano także omyłkowo rok 1927). Brytyjski badacz Frederick A. Mitchell-

Hedges (1882–1956) poszukiwał wraz z Anną – swoją adoptowaną córką, a jednocześnie asystentką – ruin budowli Majów. W wyprawie uczestniczył także Thomas Gann (1867–1938), lekarz, archeolog amator oraz fundator ekspedycji. W tropikalnych lasach deszczowych dzisiejszego Belize (ówcześnie brytyjski Honduras) Anglik zwerbował kilku robotników i rozpoczął w dżungli poszukiwania osad Majów. Pośród gąszczu i lian ekipa badaczy odkryła upadłą osadę pochodzącą z okresu pomiędzy VII a IX wiekiem n.e.

Mitchell-Hedges rozpoczął wykopaliska. Pewnego dnia, a właściwie dokładnie w dniu, gdy jego pasierbica skończyła 17 lat, dziewczyna odkryła wśród ruin ołtarza ludzką czaszkę z kryształu górskiego w naturalnych wymiarach i kształcie. Trzy miesiące później ekipa badaczy odkryła wśród ruin jeszcze jeden relikt z kryształu górskiego, który okazał się dolną szczęką o naturalnych wymiarach, a który doskonale pasował do większej części czaszki. Obie części powstały z jednego przezroczystego bloku kryształu i ważą razem 5,3 kilograma.

W 1970 roku w kalifornijskim laboratorium koncernu technologicznego Hewlett-Packard zbadano kryształową czaszkę. Okazało się, że wykazuje szczególne właściwości fizykalne, na przykład wywołujące specjalne efekty świetlne pryzmaty w jej dolnej części. Największe zdziwienie ekspertów wywołał fakt, że czaszka została poddana obróbce niezgodnie z naturalną osią kryształu. Eksperci zajmujący się cięciem kamieni unikają tego typu cięcia, ponieważ istnieje zbyt duże prawdopodobieństwo, że materiał mógłby się rozprysnąć. Żeby

osiągnąć perfekcję, z jaką została wykonana czaszka z Lubaantun, musiałyby ją szlifować i polerować sprawne ręce przedstawicieli wielu pokoleń.

Małe prawdopodobieństwo jej ręcznej obróbki doprowadziło do powstania najdziwaczniejszych plotek na temat powstania czaszki. Przypuszcza się na przykład, że Frederick A. Mitchell-Hedges zlecił wykonanie czaszki i pozwolił na jej „odkrycie" przez córkę w dniu jej 17. urodzin, co dla zapalonej badaczki kultury Majów stanowiłoby najpiękniejszy prezent. Inne sceptyczne głosy snują podejrzenia, że Anna Mitchell-Hedges wcale nie uczestniczyła w ekspedycji w Lubaantun. A pozostali krytycy są przekonani, że Frederick A. Mitchell-Hedges zdobył czaszkę w 1943 roku na aukcji Sotheby's. Dowody miały wypłynąć kilka lat temu w Muzeum Brytyjskim, które wówczas także brało udział w aukcji kryształowego artefaktu.

Kto mógł się przyjrzeć tym podejrzanym dokumentom? Kto ma ich zdjęcia lub kopie? Zakładając, że historia jest prawdziwa, nasuwa się pytanie, dlaczego Muzeum Brytyjskie nie poinformowało o tym opinii publicznej natychmiast, gdy czaszka z Lubaantun znalazła się w centrum dyskusji w mediach. „Relikt Majów" był wówczas stałym tematem dyskusji. Ponadto najróżniejsze publikacje wskazują, że kryształowa czaszka została po raz pierwszy przedstawiona światu 24 lutego 1935 roku w niedzielnym wydaniu gazety „New York American". A już w 1932 (!) roku Adrian Digby z Muzeum Brytyjskiego w Londynie miał dostać zlecenie zmierzenia czaszki, aby ją porównać z kryształową czaszką Azteków, którą

Muzeum Brytyjskie zakupiło w 1903 roku. Jak to więc możliwe, że licytacja czaszki odbyła się w 1943 roku na aukcji Sotheby's? Jedna z plotek mówi, że Mitchell-Hedges miał faktycznie nabyć czaszkę na aukcji, ale tak naprawdę wtedy ją odzyskał, a nie zakupił po raz pierwszy. Badacz miał bowiem przekazać drogocenny okaz przyjacielowi na przechowanie, a ten wystawił ją na aukcji Sotheby's. Ale z jakiego powodu Mitchell-Hedges w ogóle pozbył się najważniejszego ze swoich eksponatów? Zarówno Mitchell-Hedges, jak i inni uczestnicy ekspedycji długo utrzymywali swoje odkrycie w tajemnicy. Do dziś nie wyjaśniono jednoznacznie okoliczności, w jakich badacz znalazł się w posiadaniu kryształowej czaszki. Jeżeli faktycznie znalazł ją podczas wykopalisk, istnieje jeden potencjalny powód, dla którego wszyscy utrzymywali to wydarzenie w tajemnicy: Mitchell-Hedges nie mógłby po ujawnieniu odkrycia zachować artefaktu dla siebie. Czaszka dostałaby się albo w ręce inwestora, albo władz państwowych.

A perfekcyjna technika wykonania? Czy przedmiot faktycznie pochodzi z jakiegoś warsztatu szlifierskiego na terenie Europy? Rudolf Distelberger, ceniony na całym świecie ekspert od kamieni szlachetnych oraz były dyrektor Skarbca Wiedeńskiego, zgłaszał swoje wątpliwości dotyczące pochodzenia czaszki już w 1982 roku. W przeciwieństwie do swoich kolegów z laboratorium Hewlett-Packard, naukowiec odkrył po dokładnym przebadaniu powierzchni czaszki, że „była polerowana rotującym narzędziem, jakimś przedmiotem, którego Majowie, zgodnie z obowiązującą wiedzą o starej

Ameryce, znać nie mogli”. Dlatego zakłada, że czaszkę wykonano kilka lat przed jej „odkryciem”, najprawdopodobniej w Europie.

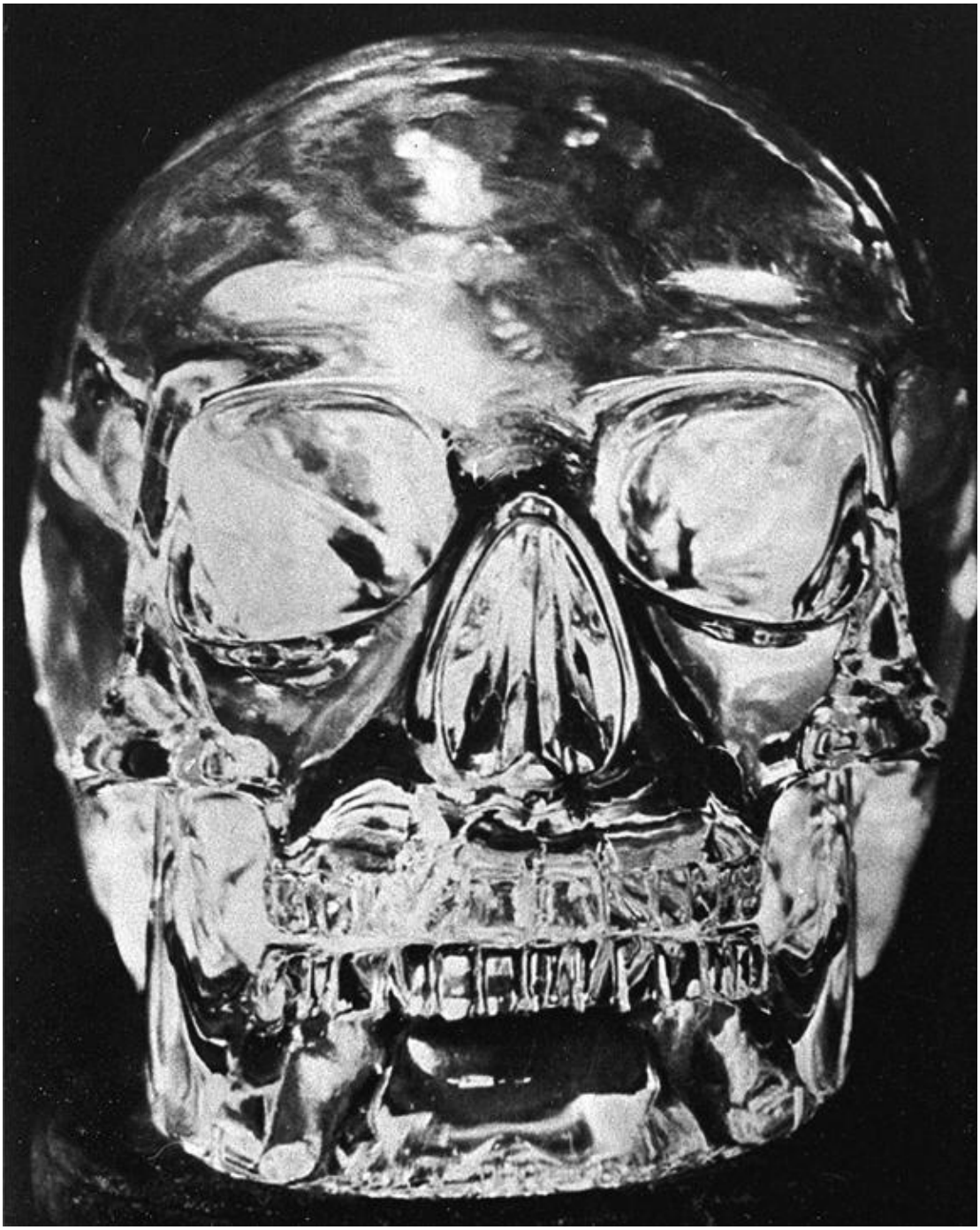

Słynna kontrowersyjna kryształowa czaszka z Lubaantun. Została znaleziona w 1927 roku w ruinach budowli Majów. Dziś znajduje się w prywatnym posiadaniu Amerykanina Billa Homanna, mieszkającego w stanie Indiana. (Zdjęcie: Peter Krassa/Archiv Kurier)

Anna Mitchell-Hedges otrzymała unikatowy eksponat w 1956 roku po śmierci swojego przybranego ojca. Strzegła skarbu do 11 kwietnia 2007 roku, kiedy umarła w wieku 100 lat w Chicago. Do swojej śmierci podtrzymywała wersję ojca, w czym wspierało ją wielu ludzi wierzących w mistyczne pochodzenie czaszki. Dziś arcydzieło znajduje się w posiadaniu Billa Homanna z Chesterton w amerykańskim stanie Indiana.

Jeszcze więcej osobliwych czaszek

Nie tylko w przypadku kryształowej czaszki z Lubaantun nasuwa się więcej pytań, niż można udzielić odpowiedzi. Sceptycy wciąż insynuują, że takie znaleziska nie liczą naprawdę tyle lat, ile się im przypisuje. Ich wiek oceniają na najwyżej 100 lat. Aby obalić te wątpliwości, naukowcy zbadali zagadkowe archeologiczne znaleziska, przygotowując w 2001 roku wystawę „Unsolved Mysteries”. Przebadano także tajemniczy obiekt odkryty w 1908 roku podczas prac ogrodniczych na terenie pewnej posiadłości w Gwatemali. Była

to czaszka z kwarcu dymnego ważąca 5 kilogramów. Dopiero w 1991 roku Holenderka Joky van Dieten, dawniej kierowca rajdowy, zakupiła eksponat „za cenę bardzo dobrego auta". Czaszka jest nazywana „czaszką E.T." z powodu swojego wyglądu, który przypomina raczej czaszkę istoty pozaziemskiej niż człowieka. Van Dieten stała się także właścicielką 11 innych czaszek wykonanych z różnych kamieni szlachetnych.

Jak w przypadku czaszki z Lubaantun, także ten eksponat stał się przedmiotem badań historyka sztuki oraz specjalisty od kamieni szlachetnych, Rudolfa Distelbergera. Jego ekspertyza była zaskakująca: „Można rozpoznać gładkie ślady szlifierskie, których na pewno nie pozostawiło żadne koło. Ślady rozchodzą się na różne strony, jak gdyby ktoś wycierał je ścierką, są zaokrąglone, powyginane we wszystkich kierunkach. Trzeba sobie zadać pytanie – jak to możliwe? Ponadto w czaszce z kwarcu dymnego są ślady wietrzenia, które jednoznacznie wskazują na to, że musiała leżeć przez długi czas pod ziemią. Ciężko powiedzieć, jak długo, ponieważ na jej stan wpływał skład gruntu w miejscu przechowywania – czy był to materiał agresywnie wpływający na jej rozkład? Innym problemem jest fakt, że czaszka wygląda dość realistycznie. Nie jest to typowe dla znalezisk z Ameryki Środkowej i Południowej. Z drugiej strony czaszka nie ma aż tak realistycznego wyglądu, żeby można było stwierdzić, że takie czaszki z kamieni szlachetnych powstają w Europie. Jestem pewien, że nie została wykonana w Europie, ślady obróbki przemawiają przeciwko temu. Materiał szlifierski musiał być twardszy niż kwarc, był to raczej materiał

o twardości na siódmym poziomie w 10-stopniowej skali twardości Mohsa. W Ameryce Środowej i Południowej nie używano metalu do obróbki kwarcowych czaszek, a więc musiała być oszlifowana w inny sposób. Oczodoły są wyżłobione bardzo głęboko, mają lejkowatą formę, zwężają się stopniowo aż do rozmiarów igły. Można przypuszczać, że w oczodołach kiedyś znajdowało się coś, co nadawało głowie całkiem inny wygląd. Gdyby na przykład wypełniono te miejsca szmaragdami, czaszka wyglądałaby niemal magicznie. To, co nie odpowiada anatomicznemu wyglądowi czaszki, to jej górna i dolna szczęka, które są bardzo mocno zaznaczone. Badałem także sławną czaszkę kryształową Mitchell-Hedgesa, która miała zostać odkryta w Belize. Tam już po krótkim badaniu nabrałem podejrzenia, że ten eksponat powstał w Europie lub Ameryce Północnej w czasach nowożytnych. W przypadku czaszki z Gwatemali mamy do czynienia z czymś zupełnie odmiennym: czaszka nie ma ostrych kantów, a na jej powierzchni nie istnieją żadne wgłębienia ani nierówności, które wymagają dodatkowego polerowania. Oznacza to, że kamień najprawdopodobniej został najpierw rozbity lub rozcięty jakimś bardzo ostrym narzędziem. Tak się robiło także w Europie. Odłamywano najpierw zbędne części z kamienia, aż nabrał odpowiedniej formy. Następnie kamień polerowano i szlifowano. Najpierw bardzo twardym materiałem, a potem miękkim, jak skóra. Jednak tutaj nie ma takich śladów. A najbardziej zadziwia fakt, że można rozpoznać ślady obróbki ręcznej. Musiano by użyć niewyobrażalnie dużej siły, co by

oznaczało wieloletnią mozolną pracę. Dla fałszerza taka praca stanowiłaby kompletnie nieopłacalny wysiłek. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego głowa ma tak naturalny wygląd. Ma cechy głowy europejskiej, a jednak jest węższa i została wykonana manualnie materiałami przez nas nieużywanymi. Z pewnością czaszka leżała dość długo pod ziemią, co najmniej 500 lat, być może dużo dłużej. Oto dylematy z czaszką z kwarcu dymnego, których nie można rozwikłać".

Jej właścicielka, Joky van Dieten, opowiada jeszcze o innych dziwnych wydarzeniach, które są kojarzone z magicznym działaniem „czaszki E.T.". Tak więc niektórzy ludzie popadają w obliczu czaszki w trans, niektórzy przypisują jej uzdrawiające siły. Sama Joky van Dieten cierpiała na złośliwego raka mózgu, lekarze dawali jej małe szanse na wyzdrowienie. Joky jest święcie przekonana, że dopiero magiczne działanie czaszki pozwoliło jej wrócić do życia. Holenderka nie chce zaprzeczyć możliwości, jakoby w czaszce były zapisane informacje spoza Ziemi. Nowoczesna technologia komputerowa zdaje się popierać jej teorię. Już dawno temu idea zapisywania danych w kryształach stała się rzeczywistością: kryształy krzemowe przechowują w chipach komputerowych i na dyskach twardych informacje.

Joky von Dieten i „czaszka E.T.”, której pochodzenie i powstanie są tajemnicą. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Czy kryształy służyły do przechowywania informacji już w czasach starożytnych? Niemiecka autorka i ekspert od kryształowych czaszek, Karin Tag, jest przekonana, że tak właśnie jest. Prowadzi prywatny Instytut Seraphina w Niddatal, miasteczku w Górnej Hesji, i sama jest w posiadaniu jednej ze starych czaszek kryształowych, którą nazywa Corazón de Luz. Obok „czaszki E.T.” oraz eksponatu z Lubaantun zalicza się ją do najbardziej interesujących eksponatów. Badaczka opowiedziała mi, jak weszła w posiadanie tak wspaniałego okazu: „Przekazał mi go pod koniec lat 90. ubiegłego wieku pewien peruwiański potomek Inków, aby tym samym spełnić przepowiednię. Wcześniej musiałam przejść kilka prób, które przygotowali dla mnie szamani. Gdy je poprawnie zaliczyłam, starszyzna uznała i zaakceptowała mnie jako przyszłą strażniczkę kryształowej czaszki”. Karin Tag udała się statkiem z czaszką Corazón de Luz do Niemiec. Za pomocą kryształowej czaszki i nadprzyrodzonych sił, które w niej drzemią, Katrin Tag walczy obecnie o pokój na całym świecie i podróżuje do wielu miejsc na kuli ziemskiej emanujących energię. Pozwala na jej użycie szamanom indiańskim podczas rytuałów. Szamani „aktywują” wówczas magiczną czaszkę, aby pozwolić na wydostanie się jej ukrytej energii.

Krytycy zapewne zarzucą jej, że to tylko ezoteryczne życzeniowe myślenie, które nic nie udowadnia. A jak w takim razie należy potraktować zaskakujące wyniki badań przeprowadzonych w Instytucie Seraphina? Karin Tag zbadała tu metodą energii fotonowej najsławniejsze kryształowe

czaszki: czaszkę Corazón de Luz, czaszkę Mitchella-Hedgesa, czaszkę z Muzeum Brytyjskiego, czaszkę z paryskiego Musée du Quai Branly, oraz jedyną w swoim rodzaju „czaszkę E.T.” Joky van Dieten. Specjalna technika sprawiła, że cząstki światła stały się widoczne dla oka ludzkiego. Cząstki dowodzą, że kryształy mają właściwości piezoelektryczne. Oznacza to, że wysyłają na pewnej częstotliwości fale elektromagnetyczne o wzmożonej aktywności. Rozpoznano na zdjęciach, że pomiędzy poszczególnymi czaszkami z kamieni szlachetnych istnieją niewidoczne połączenia energetyczne. Karin Tag wnioskuje, że w kryształowych czaszkach faktycznie są zapisane prastare dane, które można przenosić.

Czy więc nasi naukowcy odkryli ponownie coś, czym szamani starych kultur dzielili się dla dobra ogólnego? Dobrze byłoby choć raz bez uprzedzeń zastanowić się nad prawdziwym znaczeniem relikwi z innych pozazmysłowych światów, jak to robił brytyjski naukowiec i autor książek science fiction, sir Arthur C. Clarke (1917–2008). Jego wniosek: „Trudno odróżnić jakąkolwiek wystarczająco wysoko rozwiniętą technologię od magii”.

ANOMALIE PRZYRODNICZE

Każde prawo natury ukazujące się obserwującemu pozwala domniemywać istnienie prawa wyższego i nierozpoznanego.

Alexander von Humboldt (1769–1859)

Anomalie grawitacyjne, cuda i dziwne zjawiska przyrodnicze

Dlaczego Księżyc jest związany z Ziemią jakby niewidzialnymi nićmi? Dlaczego ktoś, kto poślizgnął się na skórce banana, upada na ziemię? Odpowiedź jest oczywista, a jednocześnie ciężko ją zrozumieć: uczyliśmy się, że to siła ciężkości powoduje przyciąganie dwóch mas. Ważną rolę odgrywa przy tym wielkość mas i odległość pomiędzy nimi. Sir Isaac Newton (1642–1727), angielski geniusz, miał pojąć istotę grawitacji, gdy podczas odpoczynku w sadzie, w jego ojczystej miejscowości, nagle spadło mu na głowę jabłko. Mistrz miał prawdziwy fart – gdyby to zdarzyło się w Papui-Nowej Gwinei, zapewne doznałby wstrząsu mózgu. Wyniki badań zamieszczone w „Journal of Trauma” z 2000 roku wykazały bowiem, że 2,5% obrażeń głowy, do których doszło w tym regionie Indonezji, było spowodowanych przez spadające orzechy kokosowe. Według obliczeń, orzech kokosowy spada z wysokości 25 metrów z prędkością 80 kilometrów na godzinę, zanim dojdzie do jego kontaktu z głową. Pozornie relaksująca drzemka pod palmami może mieć dość nieprzyjemne konsekwencje.

A bezbolesna historia z jabłkiem? Czy faktycznie się wydarzyła, jak twierdził Newton? Na pewno jest to historia oryginalna, nie wiadomo jednak, czy prawdziwa. Obojętnie, czy zmyślona, czy nie, teoria grawitacji Newtona oparta na prawach Kepplera stała się niepodważalną prawdą, uczą o niej wszystkie szkoły na całym świecie. Gdy jednak pojawiają się pytania, skąd w ogóle się wzięła grawitacja, nie znajdujemy wśród naukowców jednoznacznej odpowiedzi.

Istnieją badacze, którzy wątpią, że mamy do czynienia ze zjawiskiem siły przyciągania. Jedna z teorii mówi, że grawitację wywołuje ciśnienie – dwa ciała nie przyciągają się, tylko są do siebie niejako dociskane. Nasuwa się pytanie, co je do siebie dociska. Jakie nieznane dotąd cząstki powodują powstanie siły ciężkości? Fizyka kwantowa nie znalazła dotychczas żadnego przejrzystego wyjaśnienia przyczyny działania siły grawitacji. A jakie siły mogą znosić grawitację? Jak to możliwe, że człowiek, którego spadochron nie otworzy się podczas lotu, może przeżyć upadek z wysokości 1000 metrów? Czy miał nieprawdopodobne szczęście? Anioła, który go ochronił? Czy to cud? A jak wyjaśnić działanie lewitacji, podczas której ludzie pozbywają się ziemskiego ciężaru ciała i unoszą się w powietrzu wbrew wszelkim prawom fizyki? W symulatorze statku kosmicznego lub na międzynarodowej stacji kosmicznej na orbicie Ziemi unoszenie się w powietrzu nie jest wynikiem działania czarów. Dlaczego ten zadziwiający fenomen można obserwować również na Ziemi, najczęściej w kręgu mistyków, mediów lub wśród ludów pierwotnych? Czy mamy do czynienia jedynie z

magicznymi sztuczkami, jak u Davida Copperfielda? Czy też istnieją osoby, które opanowały umiejętności paranormalne i które potrafią znieść prawo ciążenia? Czy w kosmosie i na Ziemi działają ukryte i niepojęte siły, które jeszcze czekają na swoje odkrycie? Czy anomalie grawitacyjne można interpretować jako poszlaki przemawiające za powstaniem nowej fizyki? Czy też można wytłumaczyć wiele z tych zadziwiających i niezrozumiałych fenomenów znanymi nam już teoriami?

„Anomalia sond Pioneer"

Czy zegary inaczej mierzą czas w czeluściach wszechświata? To pytanie zadał sobie Wernher von Braun (1912–1977), niemiecki pionier badań kosmosu, zajmujący się sondą Apollo 11. Wraz ze swoją ekipą stwierdził, że kilka sond kosmicznych z niewyjaśnionych powodów zmieniło ustalone trasy lotu. Von Braun wyraził wówczas podejrzenie, że mogą za to odpowiadać anomalie grawitacyjne. Najsławniejszym przykładem jest „anomalia sond Pioneer", której do dziś nie wyjaśniono. Magazyn naukowy „New Scientist" opublikował w marcowym wydaniu z 2005 roku 13 najważniejszych zagadek nauki, wśród których znalazła się także ta zagadka.

Kulisy wydarzeń: 2 marca 1972 roku z ośrodka lotów kosmicznych na Cape Canaveral wystrzelono w kosmos

międzygwiezdną sondę Pioneer 10. Sonda była pierwszym pojazdem kosmicznym, który przemierzył pas planetoid i wysłał na Ziemię spektakularne zdjęcia po zbliżeniu do Jowisza. Sonda okrążyła w 1983 roku Plutona, oddaloną karłowatą planetę, opuściła nasz Układ Słoneczny i odtąd pędzi przez wszechświat z prędkością 12 kilometrów na sekundę. Na Ziemi pozostali naukowcy próbujący pojąć przyczyny tego wydarzenia. Wszechświat nie zachował się w sposób, jaki przewidują prawa natury. Nieznana siła wymusiła na pojeździe zahamowanie i minimalną zmianę trasy lotu – odpowiadającą jednej milionowej części siły przyciągania ziemskiego. Ale podczas podróży, która trwa dziesiątki lat, sonda zmieniła swoją pozycję w stosunku do pierwotnie ustalonej trajektorii o setki tysięcy kilometrów.

Po raz pierwszy dostrzeżono tę anomalię w 1980 roku, co wywołało gorączkowe poszukiwanie przyczyny błędu. Od razu pojawiła się myśl o problemach technicznych oraz błędzie w obliczeniach. Jednak po jakimś czasie eksperci mogli wykluczyć awarie techniczne, nieszczelności w sondzie lub błędy instrumentów. W przypadku innych sond wystąpił bowiem taki sam efekt hamowania. Gdy w kwietniu 1973 roku sprawdzono dane trajektorii sondy Pioneer 11, potwierdzono podobne niezgodności między przewidywanym a prawdziwym torem lotu. Rozbieżności stwierdzono także podczas lotu sondy Galileo, wysłanej w celu zbadania Jowisza, oraz lotu europejsko-amerykańskiej sondy Ulysses, której celem było zbliżenie się do Słońca. Różnice można było zmierzyć dopiero

po przebyciu dużych odległości. W przypadku satelitów oraz sond wysłanych w celu zbadania Księżyca, które znajdują się w pobliżu orbity ziemskiej, wyliczone dane zgadzają się z danymi faktycznymi. Do dziś brak sensownego wyjaśnienia, dlaczego w przypadku sond o długim czasie lotu dane są odmienne.

Jeżeli faktycznie z dużym prawdopodobieństwem możemy wykluczyć błędy instrumentów oraz pomiarów, jak to zostało przekonująco udokumentowane w czasopiśmie „Physik Journal" Niemieckiego Towarzystwa Fizycznego, pozostaje pytanie, z jakim zjawiskiem mamy do czynienia? Czy prawa fizyki funkcjonują inaczej na obrzeżach naszego Układu Słonecznego oraz poza nim? Liczne hipotezy próbują odkryć zagadkę anomalii sond Pioneer, ale żadna nie była dotychczas naprawdę przekonująca. Jedna z propozycji rozwiązania tej zagadki brzmi następująco: w naszym Układzie Słonecznym istnieje więcej pyłu kosmicznego, niż się spodziewamy. Pył jako klocek hamulcowy? Przecież to musiałyby być olbrzymie masy pyłu, żeby w zauważalny sposób zahamować lot sondy o wadze 259 kilogramów. Nic dotychczas nie wiadomo o istnieniu takich ilości pyłu.

Inne rozważania prowadzą do wniosków, że uderzenia mikrometeorytów przyczyniają się do zmiany trasy lotu sond. Możliwe także, że nie znamy dokładnych modeli obliczeniowych promieniowania słonecznego oraz wiatru słonecznego. Takie rozważania nie znalazły jednak dotychczas potwierdzenia. Jako możliwe wytłumaczenie hamowania sond wymienia się także rozszerzanie się wszechświata, które trwa

od momentu prawybuchu. Przeciwko takiej hipotezie przemawia jednak fakt, że ekspansja kosmosu na skutek silnej spójności materii jest prawie niewyczuwalna.

Kolejna hipoteza przytacza tajemniczą ciemną materię jako potencjalną przyczynę anomalii. Nie ma to nic wspólnego ze zjawiskiem astrofizycznym czarnych dziur, których grawitacja jest tak silna, że nawet światło nie może od nich uciec. To coś innego, tajemnicza materia, która do dziś nie została zidentyfikowana. Za jej istnieniem przemawia siła przyciągania, która oddziałuje za pomocą tej energii na materię widzialną. Istnienie tej materii tłumaczyłoby także prędkość, z jaką poruszają się gwiazdy w galaktykach oraz ich układy w kosmosie. Pomimo to także ta teoria ma pewien słaby punkt: jeżeli ta mroczna siła może wpływać na sondy kosmiczne, dlaczego nie wywiera wpływu na przemieszczanie się innych ciał niebieskich? Bo przecież ich orbity pozostają niezmienne.

Na Ziemi 22 stycznia 2003 roku odebrano ostatni sygnał z Pioneera 10. Potem kontakt z sondą został zerwany. Fakt, że łączność utrzymywała się przez 21 lat, wprawiał badaczy NASA w zdumienie, ponieważ misja była zaplanowana jedynie na 21 miesięcy. Pomijając wychylenie z orbity, Pioneer 10 był pierwszym pojazdem kosmicznym, który opuścił nasz Układ Słoneczny, zmierzając ku gwieździe Alderbaran w gwiazdozbiorze Byka. Mógłby tam dotrzeć za dwa miliony lat. A co przez ten czas stałoby się z osobami, które wysłały pojazd w podróż po wszechświecie? Nikt tego nie może przewidzieć. Ale jeżeli „eksperyment człowiek” nie był błędem, sami w

przyszłości wybierzemy się w podróż do gwiazd, aby zasiedlić nowe planety i odkryć nowe formy życia. Możemy też skończyć mniej chlubnie, czego w obliczu naszych słabości i agresywnej żądzy niszczenia nie można wykluczyć – nasz gatunek może podzielić los dinozaurów i wyginąć.

Czy sondy badające wszechświat za miliony lat staną się jedyną pozostałością po mieszkańcach niebieskiej planety? Na Pioneerze 10 umieszczono złotą plakietkę, która zawiera zakodowaną wiadomość, przeznaczoną dla pozaziemskiej inteligencji. Widać na niej nagą parę ludzi, kobietę i mężczyznę, obraz naszego Układu Słonecznego oraz trasę, którą ta „kosmiczna poczta butelkowa" przebyła, zmierzając przez wszechświat. Naukowcy NASA wyobrażają sobie, być może nieco naiwnie, że jeżeli wysoko rozwinięci Obcy kiedyś namierzą, wychwycą i zbadają sondę, będą w stanie odszyfrować przesłanie obywateli Ziemi.

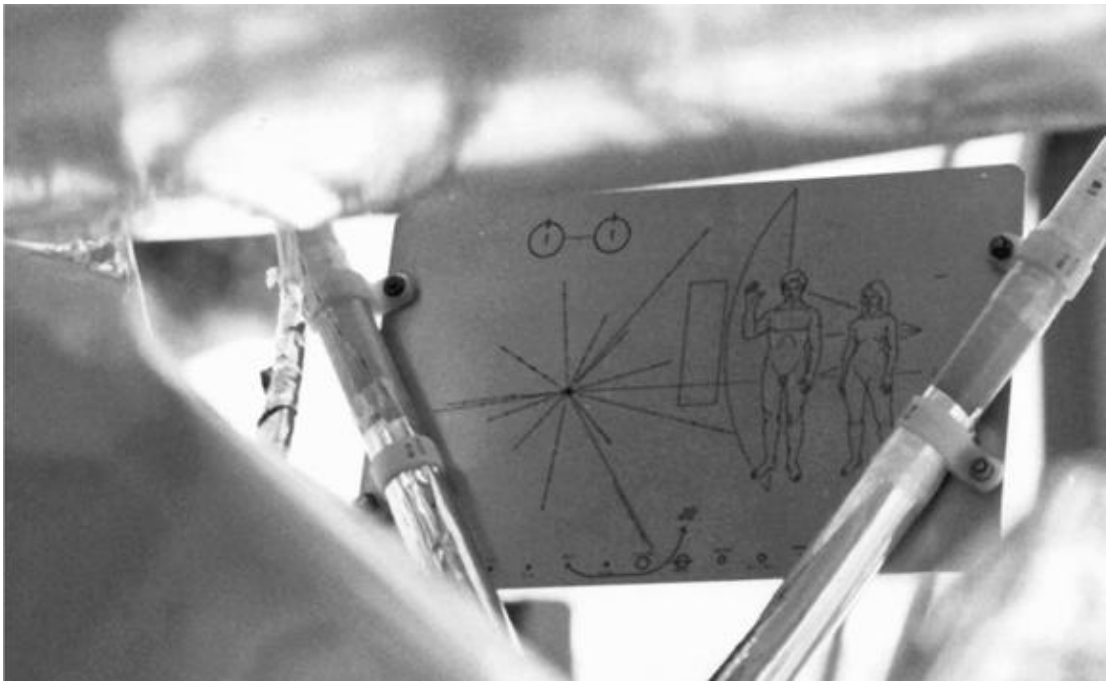

Od 1972 roku w drodze do gwiazdy Aldebaran: sonda kosmiczna Pioneer 10 ze złotą plakietką – zakodowaną wiadomością. Dotychczas nie wyjaśniono, dlaczego pojazd jest hamowany przez tajemniczą siłę. (Zdjęcie: NASA)

Aby jednak dwie różne formy życia mogły się porozumiewać, potrzeba podobnego stopnia rozwoju, wyobrażeń i doświadczeń. To, co Ziemianie określają jako „inteligentne”, dla Obcych może być czymś, czym dla nas jest ameba. A kto chciałby spróbować nawiązać kontakt z jednokomórkowcem? Nasza cywilizacja istnieje – o ile nam wiadomo – dopiero od kilku tysięcy lat, przedtem zajmowaliśmy się raczej prymitywnym obrabianiem kamieni. Jak więc zdołalibyśmy się porozumiewać z gatunkiem, którego kultura mogłaby na przykład być miliony lat starsza od naszej? Albo wręcz

przeciwnie – z gatunkiem, który jeszcze żyje na drzewach? A co, jeżeli jest to maszyna przewyższająca nas, mająca sztuczną inteligencję, dla której kontakt z ludźmi pozostawałby zupełnie obojętny? A nawet jeżeli obie strony pragnęłyby podobnej wymiany informacji – w jakim języku mielibyśmy się porozumiewać? Za pomocą jakiej technologii? Radio istnieje na Ziemi dopiero od około 100 lat, laser – od 50 lat. Zagorzali badacze zajmujący się projektem SETI (Search for Extraterrestrial Intelligence) próbują od pół wieku podjąć kontakt z Obcymi. Do dnia dzisiejszego nie udało się podsłuchać obcej inteligencji ani za pomocą radioteleskopów, ani superkomputerów. Powodem może być używanie zbyt przestarzałych metod lub fakt, że odkryliśmy dopiero małą część z nieskończonych możliwości. Wyczerpano jedną trylionową teoretycznie możliwego spektrum elektromagnetycznego, jak zapewniają eksperci od kosmosu. „To tak, jakbyśmy zaczerpnęli szklankę wody z jeziora i wnioskowali z tego, że w jeziorze nie ma ryb", twierdzi Jill Tarter, znana amerykańska astronom z centrum badawczego SETI w Kalifornii.

E.T., zgłoś się!

Odwrócony świat w Rocca di Papa

Powróćmy z gwiazd na Ziemię – tu także można dostrzec zjawiska, które wprowadzają nasze zmysły w błąd. Czy to możliwe, żeby niektóre miejsca mogły czasami znosić siłę ciężkości? Auta, które toczą się pod górę przy wyłączonym silniku? Woda, która płynie pod górę? Albo przedmioty, które same wprawiają się w ruch? To niemożliwe, podpowiada nam zdrowy rozsądek. Ale one naprawdę istnieją – niesamowite miejsca, gdzie prawa grawitacji wydają się tracić swą moc. A najlepsze, że każdy może tego osobiście doświadczyć na miejscu. Na świecie jest znanych kilkadziesiąt takich dziwnych miejsc. Znajdziemy je w USA, Kanadzie, Chile, Australii, Korei, Portugalii, Polsce, ale także na innych szerokościach geograficznych. Czy siła ciężkości faktycznie wariuje w tych miejscach? Czy mają z tym coś wspólnego siły elektromagnetyczne, które czekają na zbadanie i wyjaśnienie? Czy też wszystkie te zjawiska polegają na złudzeniach optycznych?

W rejonie Via dei Laghi znajduje się droga, która od dziesiątek lat zdumiewa występującymi tam anomaliami grawitacyjnymi. Kontrowersyjny odcinek leży w Górach Albańskich około 30 kilometrów na południe od Rzymu, pomiędzy Ariccia a Rocca di Pappa (Skała Papieska). Droga schodzi w dół, prowadzi po kilkuset metrach na dno doliny, a następnie się wznosi. Obserwujący mają w każdym razie takie wrażenie. Tam, w najniższym punkcie, rozpoczyna się działanie anomalii fizycznej, która sprawia, że zaczynamy powątpiewać w fakt, że znane prawa natury działają w tym samym czasie we

wszystkich miejscach na Ziemi dokładnie tak samo. Młodzi ludzie jadą rowerami pod górkę, bez naciskania pedałów. Kierowcy ze zdziwieniem obserwują, jak ich auta bez włączonego biegu wjeżdżają pod górę, gdy tylko zwolnią ręczny hamulec. Nawet duże autokary toczą się bez napędu pod górę aż do kopy, przy której zjawisko nagle przestaje działać. Od tego punktu droga wyraźnie schodzi w dół i kierowcy muszą zacząć hamowanie.

Nie wiadomo, kiedy po raz pierwszy zauważono, że grawitacja w Rocca di Pappa nie działa normalnie. Mieszkańcy wiedzą o tym od pokoleń, ale nie przypisywali tym faktom większego znaczenia. Naukowcy jak widać również. Prawdopodobnie dlatego, że wychodzą z założenia, że za to zjawisko odpowiadają złudzenia optyczne. Mamy wrażenie, że widzimy wzniesienie, choć droga prowadzi w dół. Trudno w to uwierzyć komuś, kto już tam kiedyś był.

Tylko nieliczni naukowcy poświęcili czas, aby zgłębić temat. Do takich wyjątków należy niemiecki geolog Johannes Fiebag (1956–1999), który zajmował się anomaliami grawitacyjnymi w latach 90. ubiegłego wieku. Prosty eksperyment z poziomnicą wykazał nachylenie terenu. Fiebag wysunął dwie hipotezy: „Albo mamy do czynienia ze złudzeniem optycznym, ponieważ odcinek drogi długości 200 metrów zaczyna się na południu krawędzią, a kończy na północy zakrętem. Być może to położenie powoduje złudzenie optyczne. W takim wypadku poziomnica wskazywałaby nachylenie zgodnie ze stanem faktycznym. Albo naprawdę mamy tu do czynienia z

nieznanym dotąd zjawiskiem grawitacyjnym, które niweluje przyciąganie ziemskie. Jeżeli to przypuszczenie okazałoby się prawdziwe, poziomnica także pokazywałaby nieprawidłowy wynik i mielibyśmy do czynienia z prawdziwą zagadką".

Aby uzyskać jednoznaczne wyjaśnienie, musielibyśmy przeprowadzić liczne pomiary geofizyczne, które uwzględniłyby także wartości mierzone z powietrza oraz dane GPS. W pobliżu nie ma żadnej stacji pomiarowej, która mogłaby przez dłuższy okres dokonywać pomiarów, czy grawitacja faktycznie zwariowała w tym miejscu. Dopiero po potwierdzeniu wrażeń wizualnych, sugerujących wznoszenie się drogi, wynikami badań wysokości można by za pomocą długotrwałych i kosztownych badań pola magnetycznego Ziemi potwierdzić istnienie nieprawidłowości grawitacyjnych. Ponieważ większość argumentów przemawia za występowaniem złudzeń optycznych, geofizycy stoją na stanowisku, że wykonanie takich badań mija się z celem. Wiadomo, że grawitacja nie jest taka sama na całej kuli ziemskiej, ponieważ góry i doliny sprawiają, że nasz glob przypomina kształtem nie kulę, a raczej ziemniak. Miejscowe anomalie mogą powstawać przez ogromne podziemne złoża rud, ponieważ ich masa jest większa niż waga znajdujących się wokół kamieni. Także przesunięcia tektoniczne lub różnice gęstości i temperatury w nurtach gorącego płynnego wnętrza Ziemi mogą prowadzić do miejscowych anomalii grawitacyjnych, przyznają przedstawiciele nauk o Ziemi.

Jednak wszystkie te odstępstwa są zbyt drobne, by faktycznie sprawić, żeby przedmioty toczyły się pod górę.

W niektórych miejscach, gdzie obserwuje się anomalie związane z siłą ciężkości, na przykład w Polsce i w Niemczech, przeprowadzono już dokładne pomiary za pomocą precyzyjnych systemów GPS, wspieranych przez satelity. Fizycy fundacji naukowej Göde z Waldschaff w Bawarii dokonali pomiarów profili wysokościowych na odcinku drogi pomiędzy miejscowościami Hausen a Butzbach w Hesji. Pomiary wykazały przeciwieństwo tego, co postrzegało oko: lekkie wzniesienie okazało się w rzeczywistości wyraźnie pochyłą drogą. Takie same wyniki badań uzyskano w polskim kurorcie, Karpaczu Górnym, gdzie ulica Strażacka przyciąga turystów miejscem występowania zaburzeń grawitacyjnych, znajdującym się w pobliżu wodospadu Łomnica. Z powodu cienia drzew, poszczególne pomiary mogą dawać nieco odmienne wyniki, jednak większość naukowców wychodzi na podstawie dotychczasowych wyników badań z założenia, że wszystkie anomalie grawitacyjne na Ziemi to nic innego, jak „złudzenia optyczne”.

Do przeciwnych wniosków doszła para badaczy z Berlina – Grażyna Fosar oraz Fran Bludorf. Podczas badań w Rocca di Pappa stwierdzili, że zjawisko nie występuje liniowo do ulicy, lecz ukośnie do niej w kierunku środka drogi. Podobnie tajemniczo wygląda fakt, że toczące się przedmioty wykazują podczas eksperymentów takie cechy, jakby żyły własnym życiem. Zaczynają się toczyć w jednym miejscu, ale za kilka

minut przestają lub zaczynają się znowu poruszać na innym kawałku ulicy. Czy siła ciężkości działa tam z opóźnieniem? Byłoby to zjawisko sensacyjne, zarówno pod względem matematycznym, jak i fizycznym. Kolejne badania klasycznym wahadłem potwierdzają rozbieżności w przyśpieszeniu grawitacji. Krytycy mają jednak wątpliwości, czy można w ten sposób prawidłowo potwierdzić występowanie anomalii. Fosar i Bludorf pozostają przekonani o „cudzie grawitacyjnym". Ich doraźne wnioski brzmią następująco: „Fizyka nie zna na razie pulsujących pól grawitacyjnych. Pod ulicą musi znajdować się coś, co powoduje takie tajemnicze działanie. Nie może to być materiał znany na Ziemi ani znana nam technika. Dużo nam jeszcze brakuje, abyśmy mogli wyjaśnić istnienie tej interesującej anomalii grawitacyjnej".

Odkąd usłyszałem o tych dziwnych zajściach, chciałem pojechać do Rocca di Pappa. Okazja ku temu nadarzyła się dopiero kilka lat temu. Będąc w Rzymie, udałem się na wycieczkę na południe Włoch, oczywiście jak zwykle bez auta. Z Rzymu do Marino podróż pociągiem trwa tylko pół godziny. Gdy dotarłem tam w południe, miasto wyglądało jak wymarłe. Gdy ujrzałem jakiegoś miejscowego, zapytałem go uprzejmie, jak najlepiej dotrzeć do Via del Laghi. Wskazał na budkę telefoniczną, w której za jego radą wybrałem numer, by szofer pojawił się „pronto" na miejscu. No chyba żebym zadzwonił akurat podczas sjesty. Oczywiście była to pora sjesty. Podczas tradycyjnej włoskiej przerwy południowej do godziny 15 nie można nic zrobić. Wreszcie jakiś człowiek w tamtejszej

kawiarni zlitował się nade mną, widząc moje zniecierpliwienie. Zaprzyjaźniony z właścicielką taksówkarz zawiózł mnie drogą prowadzącą obok wygasłego krateru wulkanu, gdzie dziś leży jezioro Albano, do oddalonego o 5 kilometrów zagadkowego odcinka drogi.

Nieco dalej na południowy wschód od tego miejsca znajduje się małe jezioro wulkaniczne Nemi. Nazywają je także „zwierciadłem Diany". W pobliskiej miejscowości stoi w cyprysowym gaju prastara świątynia bogini Diany, którą porównywano z grecką boginią Artemidą. Początki kultu Diany sięgają prawdopodobnie antycznego miasta Efez, gdzie zgodnie z legendą bogini miała zejść z nieba na ziemię, gdzie w świątyni otaczano ją uwielbieniem. Jeszcze w późnych chrześcijańskich czasach składano tej bogini nocami ofiary w jaskiniach i wierzono, że jej kapłanki dosiadają wraz z nią zwierząt o upiornym wyglądzie i mkną wraz z nimi w powietrzu. Legendy stanowiły dla inkwizytorów argument, by urządzać polowania na czarownice.

W bezpośrednim sąsiedztwie, na wysokości 950 metrów, wznosi się góra Monte Caco, którą starożytni Rzymianie zwali „mons albanus" i czcili jako siedzibę Jowisza – najwyższego ze swych bogów. Po świątyni, która niegdyś znajdowała się na samym szczycie, dziś nie pozostały prawie żadne ślady. Cała okolica w promieniu około 60 kilometrów została zniszczona przez gigantyczny wybuch wulkanu. Czy to przypadek, czy też zjawisko grawitacyjne może mieć coś wspólnego z miejscem swojego położenia – dokładnie pośrodku dwóch jezior

kraterowych pochodzenia wulkanicznego? Mój szofer nie wiedział, co odpowiedzieć na ten argument. Choć w tym momencie jeszcze nie wiedziałem, jak dotrę z powrotem, dałem kierowcy do zrozumienia, żeby na mnie nie czekał.

W tej okolicy jeździ naprawdę dużo aut. Prawie nie ma tu pieszych. A jednak przede mną musiało tam dotrzeć wielu zwiedzających. Przemawiały za tym sterty plastikowych butelek i puszek, niedbale pozostawionych na poboczu ulicy. W miejscu, gdzie zjawisko zaczyna działać, gdzie odnosimy wrażenie, że teren się wznosi, zrobiłem eksperyment. Podobnie jak moi poprzednicy, posłużyłem się butelką wody mineralnej, którą zabrałem w podróż. I faktycznie, butelka potoczyła się pod górkę. Ale jak to już zaobserwowali Fosar i Bludorf, działo się tak nie w każdym miejscu i nie za każdym razem. Butelka w pewnych miejscach toczyła się sama, potem stawała, potem w innym miejscu zaczynała się poruszać dalej. Gdy kilka minut później chciałem wszystko powtórzyć, nie wydarzyło się absolutnie nic. Kiedy szedłem z powrotem w stronę kopy, towarzyszyło mi dziwne uczucie – szło się nadzwyczaj lekko. Nieważne, czy to złudzenie optyczne, czy nie, dla każdego odwiedzającego miejsce zjawiska w Rocca di Pappa pozostanie niezapomnianym przeżyciem.

A więc – w drogę, sprawdźcie to sami!

Spadkobiercy Galileusza i „kamienie posłuszeństwa”

Wśród malowniczych krajobrazów Gór Albańskich kryją się także inne tajemnice. Niektóre z nich można połączyć z tematem siły ciężkości – na przykład historyczne wydarzenia w miasteczku Castel Gandolfo, położonym po zachodniej stronie jeziora Albano. Ta idylliczna miejscowość, w której mieści się letnia rezydencja Ojca Świętego, znajduje się w odległości około 6 kilometrów od miejsca występowania anomalii grawitacyjnych. To w tym miejscu w XVII wieku papież Urban VIII skazał Galileusza (1564–1642) na uwięzienie. Okoliczności towarzyszące temu wydarzeniu były dość osobliwe. Mimo że Galileusz uzyskał pozwolenie od papieża Urbana VIII, będącego jednocześnie jego przyjacielem, na opublikowanie wyników badań, które miały poruszyć Ziemię, papież pod groźbą tortur nakazał mu milczeć na ten temat. Heliocentryczna nauka Galileusza opierająca się na teorii Kopernika, która mówiła, że nie Ziemia, lecz Słońce znajduje się w centrum układu, została okrzyknięta wrogą Kościołowi herezją. Przez 350 lat Kościół nie wymyślił nic bardziej błyskotliwego na temat tego błędnego wyroku. Dopiero 2 listopada 1992 roku twórca nowoczesnych nauk przyrodniczych został oficjalnie zrehabilitowany przez Kościół rzymskokatolicki.

Wielki włoski filozof Giordano Bruno (1548–1600) wciąż jeszcze oczekuje na rehabilitację. Został spalony na stosie w

Rzymie. Jego „śmiertelny grzech” polegał na sformułowaniu tezy, którą ogłosił w dziele *Del’Infinito, Universo e Mondi*, a która dowodziła, że gwiazdy to takie same ciała niebieskie jak nasze Słońce, że istnieją inne planety, że wszechświat jest nieskończony, że istnieje niezliczona liczba światów i mogą być zamieszkane przez inteligentne stworzenia. Niepokorny Włoch wyprzedzał swoim otwartym sposobem myślenia współczesnych mu ludzi. Dla Kościoła wyobrażenia o innych planetach były jednak zatrważające. Takie założenia nie zostawiają miejsca dla wyjątkowości stworzenia, objawienia i ofiarnej śmierci Jezusa Chrystusa. Obecnie Kościół stał się bardziej otwarty. Pomimo to trudno pojąć, że dzieła Bruna znalazły się na katolickiej liście pism zakazanych i pozostały tam do 1966 roku. Dopiero kilkanaście lat temu Rada Kurii Papieskiej uznała egzekucję Bruno za niesłuszną. Do dziś brak prawdziwych przeprosin, które by go zrehabilitowały.

Fascynujące pisma prowadzą w każdym razie do obserwatorium astronomicznego Specona, znajdującego się we wschodnim skrzydle papieskiej rezydencji letniej. W historycznym miejscu znajduje się 22 000 tomów najbardziej wartościowych książek, w tym rękopisy i oryginalne dzieła największych umysłów, takich jak Kopernik, Galileusz, Newton czy Kepler. Heretyk Bruno uśmiechnąłby się, gdyby wiedział, że w Castel Gandolfo nikt się już nie boi kontaktów z Obcymi. „Nie możemy wykluczyć”, jak szczerze zapewnia naczelny astronom obserwatorium papieskiego, ojciec José Gabriel Funes, „że na innych planetach także rozwinęło się życie”. Obcy byliby takimi

samymi stworzeniami boskimi, stąd potencjalny kontakt z istotami z kosmosu nie stałby w sprzeczności z teologią.

W tym obserwatorium astronomicznym znalazły się już pozaziemskie odłamki: nie są to wprawdzie części pojazdów UFO, ale pokaźne meteoryty, które mogłyby dostarczyć informacji o początkach istnienia Układu Słonecznego. Jeszcze w XIX wieku zaprzeczano tym faktom, twierdząc, że to bujdy, ponieważ kamienie nie mogły spaść z nieba. A to przecież w Castel Gandolfo spadał deszcz kamieni. Nie wiadomo, czy były to asteroidy, czy coś innego. Jednak źródła historyczne i wykopaliska udowodniają, że letnia rezydencja papieska została wzniesiona dokładnie w miejscu, gdzie od 1152 roku p.n.e. mieściło się antyczne miasto Alba Longa.

Metropolię Latynów zniszczyły około 665 roku p.n.e. wojska trzeciego władcy Rzymu, króla Tullusa Hostiliusa (710–640 p.n.e.). Kronikarz Tytus Liwiusz (59 rok p.n.e.–17 rok n.e.) opisywał, jak wojowniczy władca zaniedbywał oddawanie czci bogom, wskutek czego wysłali mu w gniewie z jasnego nieba deszcz kamieni, który spadł z ich rozkazu na Góry Albańskie. Aby wyjednać sobie przebaczenie, król zarządził dziewięciodniowe święto pokutne. Niektórzy historycy utrzymują, że zagadkowe zjawisko było tak naprawdę wybuchem wulkanu, a „głos” był w rzeczywistości odgłosem wybuchu. Już wspomniałem, że Góry Albańskie to pozostałości po niegdysiejszym kraterze wulkanicznym, który był aktywny jeszcze około 1100 roku p.n.e., uniemożliwiając osiedlanie się

na tym terenie. Jednak król Hostilius żył dopiero 400 lat później. Czy więc był to meteoryt? Czy coś zupełnie innego?

To nie jest jedyna zagadka związana z latającymi kamieniami w okolicy. Podczas kontynuowania wycieczki krajoznawczej moim celem były „ruiny papieskiej fortecy" w Rocca di Pappa. To tylko kilka kilometrów od miejsca występowania anomalii grawitacyjnych, ale ciężko tam dotrzeć na piechotę. Prawie wczołgałem się stromą Via Ariccia, dochodząc do kościoła, na którym widniała tabliczka z napisem „Maria de Tufo". Napis „Tufo" wzbudził moją ciekawość, ponieważ brzmi podobnie do skrótu „UFO", niezidentyfikowany obiekt latający.

Wnętrze kościoła mnie zaskoczyło. Na ołtarzu znajdował się skromny czarny krzyż, a na cokole tuż za nim ogromna bryła skalna ważąca około 15 ton. W skale wykuto wgłębienie, w którego wnętrzu umieszczono wielki obraz przedstawiający Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus. Czy ma przedstawiać ukazanie się Maryi w grocie? Czy w Rocca di Papa wydarzyło się to, co w 1858 roku w Lourdes we Francji, w miejscu, do którego obecnie zmierzają pielgrzymki? Legenda z czasów wznoszenia tego kościoła nic o tym nie mówi. Opowiada raczej o fenomenie związanym z grawitacją. Według legendy w 1490 roku olbrzymi blok skalny oderwał się od Monte Cavo i spadając, zagroził życiu rycerza oraz jego konia. Gdy wydawało się już, że nie zdołają uniknąć śmierci, mężczyzna wezwał w ostatniej chwili imię Dziewicy Maryi. Modlitwa została wysłuchana i jakby za jednym skinieniem dłoni głaz zatrzymał się w powietrzu o włos od głowy mężczyzny.

Nieprawdopodobne ocalenie przypisuje się Matce Boskiej. Jako skromne podziękowanie wzniesiono dla niej świątynię. Powiadają, że ołtarz znajduje się dokładnie w tym miejscu, gdzie zatrzymał się nagle głaz. Historia tłumaczy także nazwę kościoła: Maria de Tufo. Tufo to tuf wulkaniczny, czyli czerwonobrązowy kamień, który powstaje ze skamieniałej lawy. Już Rzymianie wykorzystywali go do budowania swoich willi. Maria de Tufo w Rocca di Papa to więc Matka Boska Tufowska.

Rocca di Papa, 1490 rok: z Monto Cavo miał osunąć się potężny fragment skały i nagle – dzięki tajemniczym siłom – zatrzymać się tuż przed jeźdźcem. Cud maryjny, fenomen grawitacyjny, a może po prostu łut szczęścia? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Czy to jedna z tych sympatycznych historii, których nie należy brać zbyt poważnie? Całkiem możliwe. Jednak nadal zdumiewa, że głaz, który wydawał się żyć własnym życiem i w XVI wieku spowodował powstanie wielu pogłosek, znajduje się w

odległości jedynie 3 kilometrów od miejsca występowania anomalii grawitacyjnych. O podobnych wydarzeniach opowiadają także mieszkańcy miejscowości Volders w Tyrolu. Niedaleko autostrady stoi tam kościół św. Karola z zakonu serwitów. Jego oryginalna architektura nie ma sobie równej. Opiera się na cyfrze 3 oraz kolistym kształcie. Uwagę zwracają także czerwonobrązowe kolory tego klejnotu sztuki barokowej. Ukrywa się tam pewien niezwykły przedmiot: z przodu wnętrza kościoła wierni oraz miłośnicy sztuki mogą podziwiać ciemnoszary odłamek skalny umieszczony w jednej z wnęk nad konfesjonałem. W kronice klasztornej znajdziemy wyjaśnienie powstania tej osobliwej dekoracji. Nad placem kościelnym znajdował się kamieniołom, z którego robotnicy wydobywali materiał do budowy kościoła. Nagle masy kamienia poluzowały się, o mało nie miażdżąc pojazdu konnego, który wiózł robotników na budowę. Zapiski podają dokładną datę tego zdarzenia: 24 lipca 1620 roku. Jeden z pracowników na budowie, Hippolyt Guarinoni (1571–1654), którego pozostałe źródła nazywają wszechstronnym uczonym i mistrzem budownictwa, miał w panice wydać z siebie okrzyk: „Zatrzymaj się, w imię Boga!”, na co kamienna bryła nagle stanęła w powietrzu, ocalając pojazd wraz z pasażerami. Na pamiątkę tego boskiego cudu umieszczono kawałek skały z napisem „kamień posłuszeństwa” w symbolicznej wnęce okiennej. Większe odłamki głazu tworzą dziś kawałek muru kościelnego pod amboną.

Dziwny „kamień posłuszeństwa”, kościół św. Karola w Volders w Tyrolu. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Stygmaty ojca Pio i latające pomidory

Gdy ludziom uda się uniknąć nieszczęścia, przypisują to działaniu sił nadprzyrodzonych. Czy szczęśliwcy mieli po prostu niezwykły fart? Czy przypadek może wytłumaczyć wszystko, co się przydarza? Osoby wierzące mają na ten temat inne zdanie. Czasem wiara może prowadzić do występowania dziwnych zjawisk. Przykład znajdziemy ponownie w Rocca di Papa. Podczas dalszej wędrówki pod górę spotkałem starszego mężczyznę, który zbierał śmieci porozrzucane na ulicy oraz na zboczu góry. Zdziwiłem się, gdy przyjacielsko mnie przywitał

po niemiecku. Zaczęliśmy rozmowę. Nie był pracownikiem zakładu gospodarki komunalnej, lecz od lat w wolnym czasie zajmował się usuwaniem śmieci w okolicy – z czystej radości, że może zrobić coś dobrego. Musiał lubić tę syzyfową pracę, bo śmieci pozostawianych codziennie przez tubylców i turystów wcale nie było mało. Zdradził mi, że jest potomkiem żołnierza garnizonu cesarza Ludwika (1281–1347). Gdy Ludwik Bawarski udał się wraz ze swoją armią przez Alpy na koronację cesarską w 1328 roku, zdobył twierdzę Rocca di Papa, którą zburzono w XVI wieku. Jej ruiny można do dziś zwiedzać nad starym miastem. Po zajęciu okolicy niektórzy Niemcy pozostali w podbitym kraju i tak powstała »quartiere dei Bavarese«, czyli „dzielnica bawarska", która istnieje do dziś. Związek z Bawarią jest widoczny po dziś dzień w barwach miasta – to biały i niebieski.

Pedantyczny Włoch o niemieckich korzeniach nalegał, żebym koniecznie zwiedził Chiesa del Crocifisso, kościół Ukrzyżowania Pańskiego. Na zewnętrznej ścianie miałem zobaczyć coś kuriozalnego, czego nawet on przy swojej fiksacji na punkcie czystości nie potrafiłby usunąć. Pożegnał się ze mną słowami: „niech Bóg ma cię w swojej opiece", a ja odpowiedziałem mu: „Cześć!" Droga prowadziła przez wzniesienie. Gdy dotarłem do kościoła, dostrzegłem na dłuższej stronie fasady statuę naturalnej wielkości, która przedstawiała popularnego świętego, ojca Pio (1887–1968). Pozostawił po sobie ślady w każdym włoskim kościele. Zasłużył sobie na to, ponieważ

zagadkowe życie kapucyna było usłane cudami, które do dziś zadziwiają wiernych i naukowców.

Ojciec Pio napisał w jednym z listów do swojego doradcy duchowego z klasztoru San Giovanni Rotondo w Apulii: „W zeszłym miesiącu, a było to rankiem 20 sierpnia 1918 roku, stałem po mszy na balkonie chóralnym. Ogarnął mnie spokój, niby słodki sen, podczas którego zobaczyłem przede mną tajemniczą postać, którą widziałem już 5 sierpnia. Różniła się od tamtej postaci jedynie tym, że jej dłonie, stopy i bok krwawiły. Widok ten mnie przeraził... Postać zniknęła i zauważyłem, że moje dłonie, stopy i klatka piersiowa zostały przebite i zaczęły krwawić. Zważ proszę na ból, który przy tym odczuwałem i który odczuwam nieustannie aż do po dziś dzień. Z rany w sercu wciąż sączy się krew, szczególnie intensywnie od czwartku do soboty".

Stygmaty Chrystusa stały się widoczne u ojca Pio. Było to najbardziej doniosłe wydarzenie w jego życiu. Mnisi z klasztoru opisywali pojawienie się stygmatów następująco. Jeden z braci zakonnych wszedł na chór kościelny, na którym ojciec Pio miał wizję, i dostrzegł, jak leży na ziemi pod krzyżem, nieprzytomny, z rozpostartymi ramionami. Jego oczy były szeroko otwarte, jego habit i ręce zabrudzone krwią. Gdy ojciec Pio odzyskał przytomność, brat go zapytał, czy się zranił. Zakonnik wystraszył się, widząc swoje zakrwawione dłonie. Przywołani bracia zanieśli go do jego celi. Pomimo pomocy lekarskiej, rany nie goiły się, pozostały otwarte, a z rąk, stóp i z piersi codziennie sączyła się krew. Ojciec Pio musiał znosić straszne

bóle i prawie codziennie tracił krew o objętości filiżanki. Na początku próbował ukryć rany i nosił rękawiczki bez palców. Nadaremno. Wieść o ranach Chrystusowych rozniosła się szybko po całym regionie San Giovanni Rotondo i stała się tematem rozmów w całych Włoszech. Para rękawiczek ze śladami krwi, w których ojciec Pio wygłaszał kazania, znajduje się dziś w Rzymie w kościele San Salwatore in Lauro, wraz z popiersiem ze śladami krwi ze stygmatów.

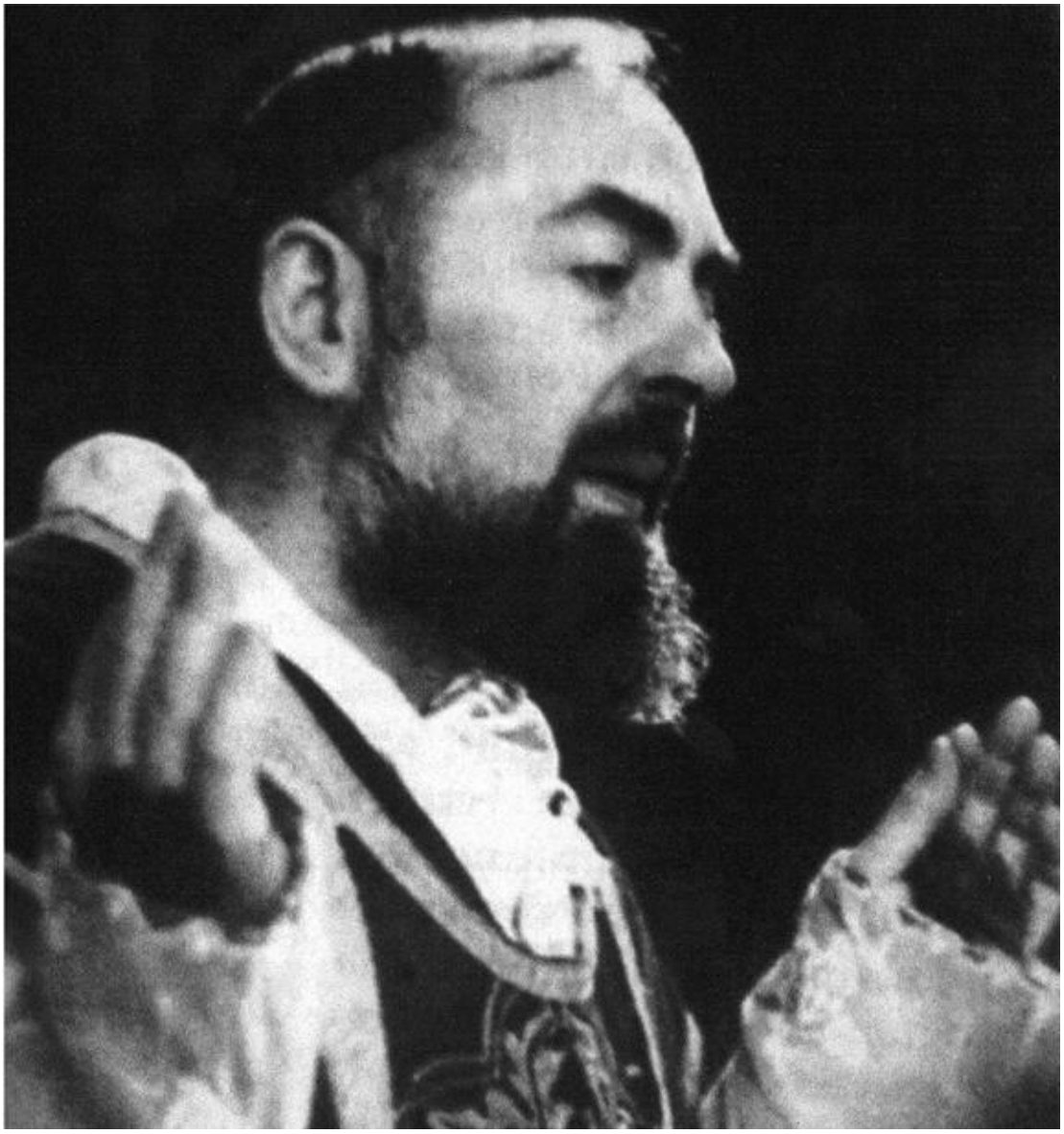

Włoski święty narodowy ojciec Pio nosił na dłoniach krwawe rany Chrystusa niemal do śmierci w 1968 roku. Czym jest fenomen stygmatów? (Zdjęcie: Bawarskie Archiwum Ojców Kapucynów)

Jak można wytłumaczyć powstanie stygmatów, które pojawiają się u niektórych ludzi? Historia Kościoła zna około 300 takich przypadków. Do najbardziej znanych stygmatyków

należą Franciszek z Asyżu (†1226), Veronica Guiliani (†1727), Anna Katarzyna Emmerich († 1824), Therese Neumann z Konnersreuth († 1962) i Marta Robin († 1981). Najstarszą wzmiankę o mistycznych stygmatach można znaleźć w Nowym Testamencie, gdzie apostoł Paweł pisze w liście do Galatów z Antalii Środkowej: „Na ciele swoim noszę blizny, znamię przynależności do Jezusa". Cechą charakterystyczną stygmatów u wszystkich cudotwórców chrześcijańskich jest to, że stygmaty znajdują się najczęściej po wewnętrznej stronie lub na grzbiecie dłoni. Historycy są jednak zgodni co do faktu, że podczas ukrzyżowania gwoździe były wbijane w okolicy nadgarstka pomiędzy kość łokciową a promieniową – ślady na Całunie Turyńskim są także widoczne właśnie w tych miejscach.

Oczywiście nauki ścisłe oraz władze kościelne w Watykanie mają swoje powody, aby pozostawać sceptykami, jeżeli chodzi o cuda. Także w przypadku ojca Pio pojawiły się spodziewane wątpliwości. Czy duchowny sam zadawał sobie rany Chrystusowe? Czy tylko udawał wielkie cierpienie? W zasadzie byłoby to możliwe, jeżeli założyć ekstremalną formę masochizmu. Włoski historyk Sergio Luzzatto sądzi, że jest to prawdopodobne, i przypuszcza, że dochodziło do samookaleczeń. Zakłada, że rany powstawały na skutek użycia kwasu karbolowego. Stolica Apostolska nie wiedziała, jakie ma stanowisko zająć wobec kontrowersyjnego duchownego. Był dziwakiem i już od dłuższego czasu wydawał się Watykanowi dość podejrzany, dlatego do San Giovanni Rotondo wysłano

lekarza Agostino Gemelliego. Wyrok wydano dość szybko, bez dokładniejszych badań lekarskich. Sprawę wyjaśniono rzekomym występowaniem zaburzeń psychicznych lub wywoływaniem złudzeń. Przełożeni zabronili więc ojcu Pio wykonywania posługi duszpasterskiej. Otrzymał także zakaz odprawiania mszy. Jednak na jego krwawiących ranach zakazy nie zrobiły żadnego wrażenia, rany nie zniknęły.

Włoski medyk Luigi Romanelli, ordynator szpitala w miejscowości Barietta, kilkakrotnie badał ojca Pio przez ponad rok i doszedł do wniosków, które były zupełnie odmienne od wyroku sądu watykańskiego: „Nie należy traktować ran ojca Pio jak ran normalnych, ponieważ mają odmienny zarówno charakter, jak i przebieg kliniczny. Mają inne pochodzenie, które pozostaje dla mnie nieznane". Wykonywano także testy medyczne. Rany posmarowano maścią leczniczą, a następnie na opatrunku umieszczono pieczęć. Kilka dni później usunięto pieczęć i lekarze ze zdumieniem stwierdzili, że rany się w ogóle nie zmieniły. Pomimo wielu badań nie udało się wyjaśnić, dlaczego nie można zatrzymać ciągłego krwawienia. Ojciec Pio przez dwanaście lat nie mógł odprawiać mszy świętej. W 1934 roku Rzym zmienił rozporządzenie. Mnich odzyskał prawa kapłańskie. Dopiero po 50 latach, krótko przed śmiercią ojca Pio, jego stygmaty zniknęły samoistnie. Papież w 1997 roku ogłosił ojca Pio czcigodnym sługą Bożym, w 1999 roku – błogosławionym, a w 2002 roku ojciec Pio wszedł w poczet katolickich świętych.

W zjawisku stygmatów nie da się określić, jaka siła prowadzi do ich powstania. I dlaczego rany nie ulegają zapaleniom ani nie ropieją. Niemiecka siostra zakonna i mistyczka Anna Katarzyna Emmerich doświadczała dodatkowego fenomenu – strumień krwi płynął u niej w kierunku odwrotnym, niż nakazywała siła ciężkości. Czy było to zjawisko nadprzyrodzone? Psychologowie zaprzeczają. Jeżeli wyklucza się manipulację, większość lekarzy doszukuje się podłoża stygmatów w psychosomatyce, autosugestii lub histerii. Siła ducha może naprawdę dużo zdziałać. Ale czy energia duchowa może faktycznie sprawić, że określone miejsca na ciele zaczną krwawić? Czy to by oznaczało, że osoba, której śnią się róże i ukłucie się ich kolcem, rano się budzi i stwierdza, że krwawi jej ręka? Choć to brzmi nieprawdopodobnie, to wielka pobożność łącznie z duchowym wyciszeniem i koncentracją może faktycznie aktywować nieznaną siłę w mózgu, która nie została jeszcze zbadana. Amerykański neurolog Richard Davidson z uniwersytetu w Wisconsin badał w 2006 roku za pomocą tomografu komputerowego i rezonansu magnetycznego fale mózgowe mnichów tybetańskich. Davidson stwierdził u nich niezwykle długą aktywność fal gamma. Te fale mózgowe nie są wprawdzie niczym niezwykłym podczas intensywnej koncentracji, ale czas ich występowania ogranicza się zaledwie do kilku sekund. Natomiast intensywność fal gamma w mózgu mnichów przebiła wszelkie dotychczasowe wartości na skali. Dla badaczy medytacji wciąż pozostaje zagadką, jak jest możliwe istnienie tego typu akrobatyki mózgowej i jak może to

powodować zmiany w komórkach organizmu. Czy ojciec Pio też miewał takie nadzwyczajne przebłyski umysłu, które doprowadziły do powstania stygmatów?

Kapucyn wydawał się człowiekiem o wielu szczególnych zdolnościach. Za jego życia nie tylko stygmaty wywoływały sensację. Żywił się niewielkimi porcjami warzyw, pił małe ilości wody i spał jedynie dwie godziny na dobę. Przypisuje mu się cudowne uzdrowienia z dolegliwości fizycznych. Ponoć mógł także przewidywać przyszłość – podobno przepowiedział Karolowi Wojtyle (1920–2005), gdy ten był jeszcze młodym księdzem, że zostanie papieżem, oraz zamach na papieża w 1981 roku. Podobno wykazywał także zdolność bilokacji, dzięki czemu mógł jednocześnie przebywać w dwóch różnych miejscach. Taką zdolnością byli obdarzeni także inni katoliccy święci, na przykład franciszkanin Antoni z Padwy (1195–1231). Parapsychologia zna to zjawisko, na przykład u szwedzkiego teologa i mistyka Emmanuela Swedenborga (1688–1772) czy indyjskiego guru, Sathya Sai Baby.

Ojciec Pio wzbudzał emocje jeszcze po swojej śmierci 23 września 1968 roku. Niektórzy zawdzięczają podobno swoje uzdrowienie modlitwom do ojca Pio o wstawiennictwo i spełnienie modlitw. Prawdopodobnie ostatni z cudów zdarzył się w marcu 2008 roku, kiedy Kościół katolicki zarządził otwarcie grobu w krypcie znajdującej się w kościele Santa Maria delle Grazie. Zdumieni duchowni stwierdzili w obecności przedstawicieli telewizji i prasy, że zwłoki prawie nie uległy rozkładowi. „Paznokcie u dłoni ojca Pio wyglądają, jak gdyby

właśnie zrobiono manicure”, stwierdził biskup Domenico D'Ambrosio obecny przy ekshumacji w San Giovanni Rotondo.

Miejsce ostatniego spoczynku ogłoszonego świętym ojca Pio, zalicza się dziś wraz z Guadalupe w Meksyku, Fatimą w Portugalii, Lourdes we Francji oraz „wiecznym miastem” Rzymem do najczęściej odwiedzanych przez chrześcijańskich pielgrzymów. Liczba wiernych zmierzających corocznie do grobu cudotwórcy, któremu zabroniono niegdyś odprawiania mszy świętych, dochodzi do 7 milionów. Zakaz został wydany przez kontrowersyjnego papieża Piusa XII, który zmarł w 1958 roku w Castel Gandolfo. Castel Gandolfo? Tak, racja, w pobliżu Rocca di Papa, a więc dotarliśmy do punktu wyjścia. Uważny czytelnik być może zada sobie teraz pytanie, co to ma wspólnego z ojcem Pio. Wiadomo, że handel dewocjonaliami przybiera monstrualne wręcz rozmiary. Obrazki przedstawiające mnicha z brodą można znaleźć w wielu sklepach, autach i mieszkaniach na terenie całych Włoch. Programy telewizyjne na temat ojca Pio emitowane w najlepszym czasie antenowym przyciągają widzów jak magnes. Sensację wzbudziła krwawa bójka „duchowych cór”, które troszczyły się o ojca Pio. Nie mogły dojść do porozumienia, do kogo należała poduszka, na której kiedyś miał klęczeć ojciec Pio.

Na ścianie w kościele Ukrzyżowania w Rocca di Papa, za statuą świętego, widać dziwne ślady kultu Pio – cała fasada została „ozdobiona” ciemnymi kleksami i liniami spływającymi do ziemi. To zaschnięte ślady po pomidorach, które podczas

określonych dni świątecznych są rzucane na mury kościelne, aby uczcić pamięć ojca Pio. Widok, którego nigdy nie zapomnę.

Poszedłem wąskimi ścieżkami i schodami na dół do starego miasta, gdzie sam przeżyłem cud w Rocca di Papa. Zapadł już zmrok i zapytałem miejscowych przy Piazza della Repubblica, jak najszybciej dotrzeć do Rzymu. Dworzec w Marino, gdzie rozpocząłem podróż od podziwiania anomalii grawitacyjnych, był oddalony o całonocną wędrówkę.

Mieszkańcy Rocca di Papa wskazali mi przystanek autobusowy, na ulicy. Za kilka minut miał odjechać ostatni autobus. Udałem się więc na domniemany przystanek i czekałem. Po krótkim czasie mieszkańcy zaczęli do mnie machać. W mojej głowie pojawiły się pytania – czy chcieli mnie w ten sposób uprzejmie pożegnać? A może podziękować, tak dla pewności, że ja, obcy turysta, faktycznie za chwilę opuszczę ich święte miejsce? Nie, okazało się, że miejscowi tylko mi chcieli pokazać, że autobus stał 30 metrów dalej za rogiem, a kierowca już uruchamia silnik. A więc pobiegłem, zatrzymałem autobus i kierowca wpuścił mnie do środka. Zapytał o bilet. Dałem mu do zrozumienia, że „non capisco", bo byłem pewien, że bilety mogę kupić u niego. Niestety nie we Włoszech. Mężczyzna pokazał mi restaurację, gdzie mogłem kupić bilety. Jednocześnie wiedział, że trwałoby to co najmniej kilka minut, a on się śpieszył. Na szczęście, żywo gestykulując, pozwolił mi zająć miejsce z tyłu pojazdu i w miarę możliwości nie rzucać się w oczy. Po długich wędrówkach po Górach Albańskich i tak nie byłem w stanie robić nic innego! Wykończony, ale w dobrym

humorze, cieszyłem się powrotem do Wiecznego Miasta jako pasażer na gapę i pomyślałem sobie: cuda się jednak zdarzają!

Rycerze z zaświatów na straży?

Kiedy możemy mówić o prawdziwym cudzie? Zawsze wtedy, gdy dzieje się coś, czego nie potrafimy wyjaśnić prawami natury. Jeżeli spadochron nie otworzy się podczas skoku z samolotu z wysokości kilku tysięcy metrów, spadochroniarz podczas zderzenia z ziemią nie ma szans na przeżycie. Zgodnie z logiką jest to pewne jak amen w pacierzu. Mimo to zdarzają się przypadki, że ludzie przeżywają upadki z dużej wysokości, prawie nie doznając uszczerbku na zdrowiu.

Doświadczył tego brytyjski skoczek spadochronowy Michael Holmes. Doświadczony weteran spadochroniarstwa wykonał około 7000 skoków i brał udział w wielu zawodach. W grudniu 2006 roku skoczył nad Nową Zelandią z samolotu znajdującego się na wysokości 3600 metrów. To, co się potem wydarzyło, było najgorszym koszmarem, jaki może się przytrafić skoczkowi – spadochron zaciął się, linki zaplątały i nie dał się otworzyć. Gdy spadochron rezerwowy także się nie otworzył, skoczek stracił nadzieję na przeżycie. Kamera na jego kasku nagrywała te dramatyczne chwile. Jego przyjaciel, który skoczył z tego samego samolotu, także filmował te chwile pełne grozy. Mając śmierć przed oczami, Holmes zbliżał się do ziemi z prędkością

130 kilometrów na godzinę. A potem wydarzyło się coś niewiarygodnego: Holmes spadł na krzaki jeżyn w pobliżu jeziora Taupo i doznał jedynie złamania kostki oraz lekkich obrażeń płuc. Już kilka dni po zdarzeniu szczęśliwiec mógł opuścić szpital. Jak to możliwe?

Znane są przypadki zgonu po złamaniu karku, gdy człowiek potknął się o krawężnik wysokości kilku centymetrów. W obliczu takich zdarzeń przeżycie upadku z wysokości 3600 metrów to prawdziwy cud, w który trudno uwierzyć. A takie cuda zdarzają się częściej, niż nam się wydaje. Dowodzą tego inne przykłady z najnowszych czasów. Latem 2009 roku spadochroniarz Paul Lewis przeżył upadek z wysokości 3000 metrów w Whitchurch w Anglii. Podobnie jak w przypadku Holmesa, nie mógł otworzyć spadochronu głównego ani rezerwowego. Ratownicy znaleźli mężczyznę, gdy leżał na dachu hangaru lotniczego. Lewis doznał obrażeń karku i głowy, ale przeżył.

Ursuli Silvester z Dolnej Austrii udało się dwukrotnie umknąć śmierci. W 2005 roku zdiagnozowano u niej białaczkę w końcowym stadium. Poddano ją wyczerpującej chemioterapii i transplantacji szpiku kostnego, podczas której doszło do zakażenia krwi, na skutek czego o mało nie umarła. Kobieta przeżyła śmierć kliniczną, udało się ją jednak uratować i dzielnie pokonała chorobę. Odtąd nie chciała odkładać na później realizacji swoich marzeń i wzięła podarowane jej „drugie” życie w swoje ręce. Od dawna marzyła o nauce skoków ze spadochronem i zaczęła realizować to marzenie. Po 20

skokach ćwiczebnych 25 lipca 2009 roku sprawy przybrały ponownie poważny obrót. Śmiertelnie poważny. Ursula Silvester rozpoczęła podróż samolotem Dornier DO28 na lądowisku zachodnim w wiedeńskim Neustadt. Na wysokości 3000 metrów zaczęła przygotowania do skoku. Włożyła kask. Skoczyła z wysokości 4000 metrów. Po mniej więcej minucie swobodnego spadania znalazła się już na wysokości 3000 metrów i chciała otworzyć spadochron. Nie mogła jednak znaleźć uchwytu. Po dwóch nieudanych próbach należało pociągnąć za linkę spadochronu rezerwowego: 20 sekund do zderzenia z ziemią… 15 sekund… 10 sekund. Tuż przed zbliżającym się końcem udało się jej uruchomić spadochron rezerwowy. Ale automatyka, która miała reagować samoczynnie, zawiodła. Ursula Silvester nie pamięta, co się działo potem. Uderzyła całym ciężarem ciała o ziemię. Podczas wywiadu opowiadała: „Jeszcze tego samego dnia obudziłam się w szpitalu, ale poza złamaniami kostki i kości jarzmowej nie doznałam żadnych innych obrażeń. Nie miałam ani jednego siniaka, nic!”

Słysząc o takich nieprawdopodobnych historiach, mawia się, że przy tej osobie czuwał anioł stróż. Górnolotne słowa określające niewidzialnych towarzyszy? Czy faktycznie istnieją tacy pomocnicy w nagłych potrzebach? A może to „przyjaciele z zaświatów”? Czy działa siła wyższa, tak zwany los, który chroni nas w pewnych momentach przed nieszczęściem? Głęboko zakorzenioną wiarę w osobistych aniołów stróżów pojawiających się u naszego boku, gdy zajdzie taka potrzeba,

mają nie tylko chrześcijanie. Rozważania na temat aniołów strzegących ludzi znajdziemy także w islamie, judaizmie, a nawet w buddyzmie, gdzie „duchy przebudzenia”, czyli bodhisattwy, niosą pomoc poszukującym. Nie inaczej jest w pogańskich mitologiach nordyckich, gdzie fylgie, podobne do słoni, pomagały i towarzyszyły ludziom w życiu.

Wielu ludzi twierdzi, że ma kontakt ze swoimi aniołami stróżami, że widzieli ich świetlistą postać lub przynajmniej czuli ich obecność. Obojętnie, czy twierdzimy, że to możliwe, czy też nie, myśl o niebiańskich istotach, które się nami opiekują, ma w sobie coś dodającego otuchy. W Bretten w Badenii-Wirtembergii jest muzeum poświęcone w całości tym niebiańskim pomocnikom. Zawiera eksponaty z kilkuset lat. Są tam sławne obrazy aniołów z końca XIX wieku, które do dziś wiesza się jako ozdobę na ścianach w pokojach dziecięcych. Zwłaszcza małe dzieci i młodzież są podopiecznymi niebiańskich pomocników. Często słyszy się historie o cudownym ocaleniu podczas śmiertelnych upadków. Niekoniecznie podczas spadania z samolotu, ale historie o wypadnięciu przez okno wieżowca lub upadku z klifu nie należą do rzadkości. W grudniu 2009 roku, dwa dni przed wigilią, wydarzył się we Francji taki „cud bożonarodzeniowy”. W uzdrowisku nadmorskim Étretat w regionie Hawru dwuletnia dziewczynka przeżyła upadek ze skały z wysokości 80 metrów przy kanale La Manche. Tragiczne tło wydarzeń: 25-letnia samobójczyni w depresji skoczyła z klifu, trzymając w ręku córkę. Wezwani sanitariusze dostrzegli pod skałami obok

martwej matki leżące dziecko. Przeżyło upadek, doznając kilku złamań i urazu wewnątrzczaszkowego. Dla lekarzy pozostaje zagadką, jak to możliwe. W niektórych miejscach na kuli ziemskiej stale dochodzi do ocalenia podczas fatalnych upadków, co zostało nawet udokumentowane. Jedno z takich miejsc znajduje się na terenie szwajcarskiego kantonu Solura, kilka kilometrów na południowy zachód od Bazylei. Daleko od zgiełku wielkiego świata, wśród idyllicznych krajobrazów zachęcających do medytacji i wypoczynku, znajduje się barokowy klasztor Benedyktynów w Mariastein – miejsce kultu, poświęcone w 1655 roku, które wraz z Czarną Madonną z Einsiedeln w kantonie Schwyz należy do najważniejszych miejsc tego typu w Szwajcarii. Właściwy cel pielgrzymek ukrywa się jednak pod kościołem klasztornym. Gdy w 2009 roku udałem się tam, schodząc do podziemi, miałem wrażenie, że schodzę do lochów średniowiecznych; 56 stopni, które wykuto w skale i obudowano drewnem, prowadzi w dół do ołtarza Matki Boskiej Pocieszenia. Przypisuje się jej dokonanie 266 cudów, o których można przeczytać na 680 stronach Księgi Cudów w Mariastein. Ojciec Dominikus Gnick zaczął prowadzić tę kronikę w 1693 roku. W otoczonej kultem grocie można podziwiać niezliczone wota dziękczynne za wysłuchanie modlitw i cudowne ocalenia, które dowodzą, że Madonna ciągle udziela pomocy wiernym. Na skale nad grotą naturalnego pochodzenia do dziś stoi opactwo z kościołem klasztornym. Archeolodzy i etnolodzy przypuszczają, że grota mogła być

miejscem kultu jeszcze w czasach prehistorycznych, na długo przed chrześcijaństwem.

W szwajcarskim klasztorze benedyktyńskim Mariastein wielokrotnie miał zdarzyć się cud. Anomalia pogodowa, anioł stróż, a może przypadek? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Ten, kto wchodzi do wnętrza skalnego sanktuarium, które z czasem zostało przekształcone w kapliczkę, nie może oderwać wzroku od tego mistycznego widoku. Są tam dwa ołtarze maryjne umieszczone we wnęce skały i odgrodzone żelazną kratą. Jeden z nich ma charakter barokowy, na drugim – pośrodku ściany skalnej – stoi sławna statuetka Matki Bożej Pocieszenia. Jest to kolorowa kamienna rzeźba wznosząca się na złotym obłoku. W prawej dłoni Maryja trzyma uśmiechające się Dzieciątko Jezus z kulą ziemską, w drugiej – berło. Dzisiejsza statuetka Madonny pochodzi z początków XVII wieku. Nic obecnie nie wiadomo na temat wyglądu i miejsca przechowywania jej poprzedniczki z gotyku. Pierwotna figurka kamienna mogła zostać zniszczona około 1530 roku podczas aktów obrazoburstwa w trakcie ruchów reformatorskich w Kościele. Krzewiciele reform odrzucali czczenie Boga i Marii w postaci obrazów, uznawali to za bałwochwalstwo. Fanatyzm doprowadził do zniszczenia skarbów sztuki, znajdujących się w klasztorach i kościołach. Niektórzy historycy sądzą jednak, że pierwotną świętą figurkę z kapliczki w grocie zdołano zawczasu ukryć w bezpiecznym miejscu w twierdzy Dornach. Faktycznie, istnieje kamienna rzeźba z XIV wieku, która stamtąd pochodzi. Wygląda bardzo podobnie do dzisiejszej Madonny z Mariastein i znajduje się w muzeum Blumenstein w Solurze.

Pielgrzymki do Mariastein zaczęły się w XIV wieku. Z tego okresu pochodzi także przekaz o pierwszym mającym tam miejsce cudzie. Opowiada o wieśniaczce, która w palącym słońcu wraz z synkiem pasła owce. Oboje szukali miejsca w

cieniu i weszli do groty skalnej. Matka usnęła, zmęczona. Gdy się obudziła, zauważyła, że w pobliżu nie ma dziecka. Najprawdopodobniej podczas zabawy dziecko spadło ze stromego zbocza. Zrozpaczona matka pobiegła do doliny i tam, ku swojej radości, znalazła synka spokojnie zbierającego kwiatki. Dziecko nie odniosło podczas upadku żadnych ran. Zdumiona matka zapytała, co się stało. Chłopiec odpowiedział, że gdy spadał, pochwyciła go „piękna jasna pani, która świeciła jak słońce, a otaczały ją anioły". Świetlista postać pozostawiła go na łące, a następnie „uniosła się w blasku do nieba i zniknęła".

Istnieje kilka wersji tej opowieści, ich szczegóły różnią się między sobą. Jedna z nich mówi, że gdy ojciec dziecka dowiedział się o jego cudownym ocaleniu, przypisał je Matce Bożej. W podziękowaniu kazał wznieść na jej cześć w grocie pierwszą kapliczkę. Inna wersja podaje, że niebiańska świetlista postać w towarzystwie aniołów nazwała sama siebie „królową niebios". Jeszcze inna wersja mówi, że wybrała jaskinię na swą siedzibę i wyraziła życzenie, żeby ją w niej czczono, aby mogła tu „okazywać łaskę i pomoc upadającym oraz tym, którzy doznali upadku".

Ponieważ przekaz nie podaje jednak ani dokładnej daty, ani nazwisk czy miejsca pochodzenia matki, brak dowodów na prawdziwość historii. Jednak jest ona podobna do wielu innych tajemniczych wydarzeń i mogłaby uzasadniać genezę wszystkich cudów w Mariastein i okolicy. A może jednak do pierwszego cudownego ocalenia doszło już dużo wcześniej, a

nazwiska i daty zatarły się z biegiem lat? Można by zapomnieć tę historię, jak zapomina się niektóre legendy, gdyby nie wydarzyło się tyle innych cudów, które są udowodnione.

Jeden z nich nastąpił w 1541 roku, gdy na ogromnych obszarach Europy szalała dżuma. Kroniki opowiadają, że Hans Thüring Reich von Reichenstein uciekł wraz ze swoją rodziną do Mariastein, żeby pooddychać czystym powietrzem. Młody szlachcic zamieszkał w „domu Brata", czyli w domu Jakoba Augsburgera, księdza opiekującego się pielgrzymami. Jak podają księgi, 13 grudnia, cała rodzina udała się na spacer po ogrodach przy skale. Hans Thüring oddalił się od reszty towarzystwa i poszedł w kierunku pobliskiej groty. Opierając się o konar drzewa, pochylił się, by spojrzeć w dolinę. Konar odłamał się i mężczyzna spadł kilkadziesiąt metrów w dół. Ocalał, jednak nie bez szwanku. Złamał szczękę, ale nie doznał obrażeń zagrażających jego życiu. Zaniesiono go do pobliskiego młyna. Tu Hans Thürig otrzymał pierwszą pomoc, a następnie przeniesiono go do zamku Landskron, gdzie wkrótce zupełnie wyzdrowiał. Z podartego sukna, które nosił podczas upadku, uszyto później w Mariastein ornat. Cud ocalenia wywołał wielkie poruszenie i zaczął przyciągać tłumy pielgrzymów do Mariastein. Hans Thüring Reich von Reichenstein był zatem nie tylko wielkim szczęściarzem, ale także zapoczątkował tradycję pielgrzymek do Mariastein.

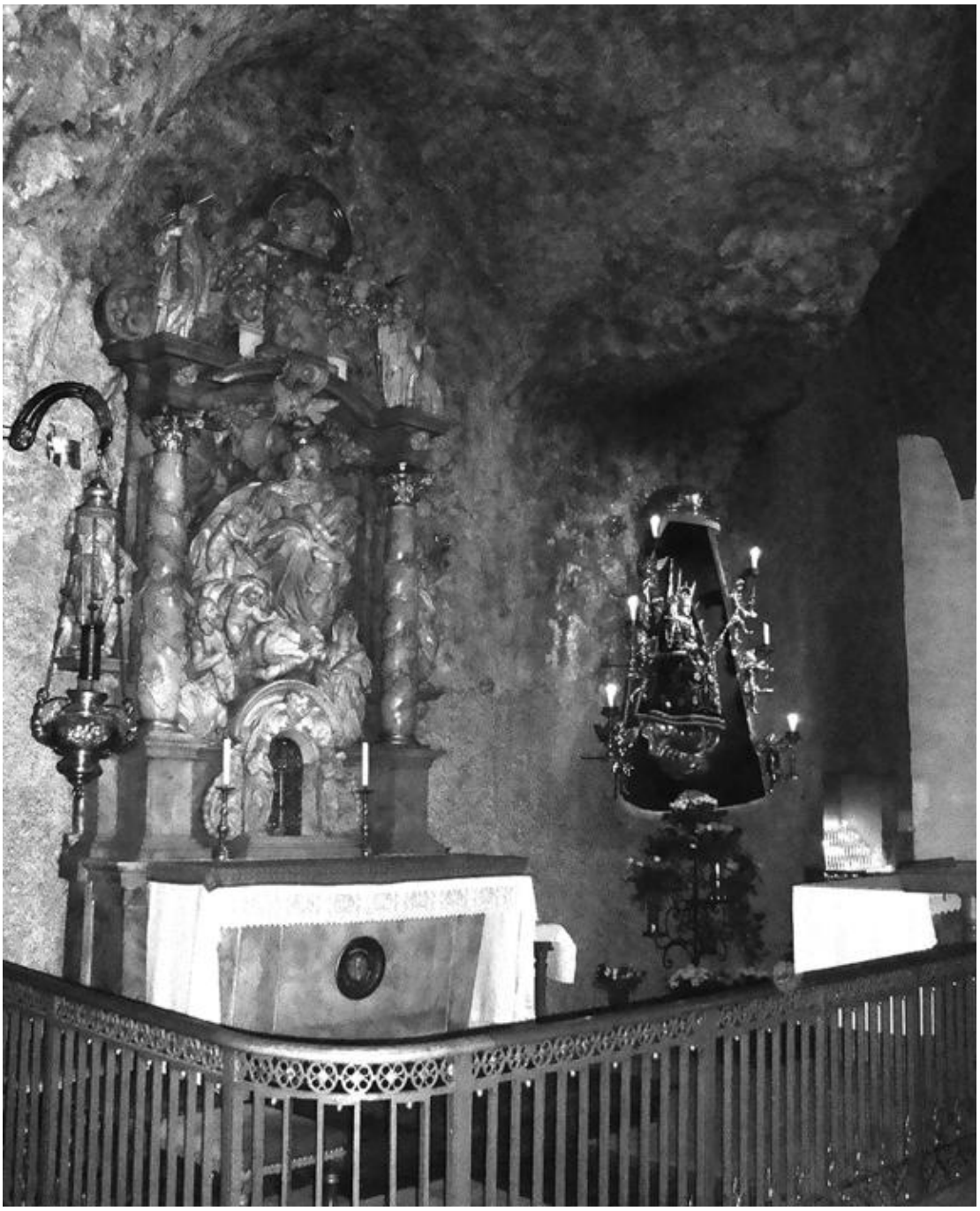

Grota kultu i Madonna Pocieszycielka w Mariastein (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

I jeszcze jeden fakt związany z Mariastein – w tyrolskim Unnerinntal, na zachód od Wörgl, jest drugie sanktuarium, które nosi tę samą nazwę. W małej austriackiej gminie Mariastein żyje teraz zaledwie 300 mieszkańców. Ten niezwykły cel pielgrzymek z XIV wieku stoi na wysokim bloku skalnym. Jest 42-metrowa wieża zamkowa, która na starych drogach rzymskich służyła niegdyś celom obronnym. W szwajcarskim Mariastein Matka Pocieszenia znajduje się w grocie, a w Tyrolu dokładnie odwrotnie, na skale. Kapliczka z wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem znajduje się nie w grocie, lecz na najwyższym piętrze wieży, do którego prowadzi 150 stopni wąskich krętych schodów.

Zbieżność nazw jest przypadkowa. Nie da się jednak zaprzeczyć, że oba miejsca są tak samo imponujące i pielgrzymi zmierzający do obu miejsc są tak samo przekonani, że Matka Boża pomogła wielu ludziom podczas niebezpiecznych wypadków. Bogobojność? Anioły? Czy też po prostu niewyobrażalny łut szczęścia?

Dziwne deszcze ryb i tajemnicze pioruny kuliste

O ludziach, którzy bez szwanku przeżyli upadek z wysokości, można powiedzieć, że ocalił ich cud lub mieli szczęście – interpretacja zależy od światopoglądu danej osoby. Lecz jak wyjaśnić zjawiska, w których myszy, węże, żółwie, ryby czy

inne żyjące stworzenia spadają z nieba? Od średniowiecza opowiada się o takich dziwnych anomaliach pogodowych. Najnowszy przypadek wydarzył się w Lajamanu w regionie Northern Territory w pobliżu pustyni Tanami w Australii. W nocy z 25 na 26 lutego 2010 roku na wioskę spadł deszcz w postaci kilkuset ryb. Jeżeli wierzyć relacjom naocznych świadków, ryby jeszcze podczas spadania były żywe. Nie był to pierwszy taki przypadek w tym miejscu. Już w latach 2004 i 1974 dochodziło do podobnych opadów z ryb. Najbliższe jeziora Argyle i Elliot są oddalone o setki kilometrów, podobnie jak wybrzeże morskie. Jak więc dochodzi do tych incydentów?

Meteorolodzy utrzymują, że przyczyną są ekstremalnie silne trąby powietrzne, które unoszą z wody ryby do góry i zrzucają je w innych miejscach. Wyjaśnienie wydaje się na pierwszy rzut oka logiczne, jednak nie daje wyczerpującej odpowiedzi. Tornada zazwyczaj nie są wybiórcze, unoszą w powietrze wszystko, co im stanie na drodze. Dlaczego więc są to deszcze tylko ryb? I dlaczego nigdy nie znajduje się roślin lub osadów ze stawów i jezior, z których ryby są porywane gwałtownym wiatrem? W Lajamanu deszcz ryb spadł podczas burzy. Lokalna stacja meteorologiczna oświadczyła, że panowały wówczas warunki meteorologiczne korzystne dla powstania trąby powietrznej. Jednak stacja w tym czasie nie zaobserwowała żadnej tak potężnej burzy. Czy jest możliwe, żeby takie zjawiska miały pochodzenie pozaziemskie? Chyba nie. Wiele faktów przemawia za tym, że jest to zjawisko przyrodnicze, które jeszcze czeka na pełne wyjaśnienie.

Czy mogą mieć z nimi coś wspólnego pola elektryczne chmur? Różnorodne anomalie atmosferyczne mogą wywoływać naprawdę niesamowite efekty. Ponad 20 lat temu naukowcy z NASA odkryli nieznane dotąd olbrzymie pioruny kuliste. Tak zwane „red sprites” (czerwone chochliki) występują na wysokościach do 100 kilometrów nad chmurami burzowymi i wywołują reakcje chemiczne, które oddziałują negatywnie na warstwę ozonową. Niektórzy naukowcy obawiają się, że mogą poważnie zagrażać samolotom. Niektóre z tych aktywności elektrycznych można wyjaśnić, ale inne, na przykład pioruny emitujące promienie gamma lub „blue jets”, które pozostawiają za sobą niebieskie smugi, pozostają zagadkami. Mogą wystrzelić w postaci białych świetlistych fontann z górnych warstw burzowych na wysokość 80 kilometrów. Pierwsze dowody istnienia tych potężnych wyładowań pochodzą z 1989 roku. Kolorowe zjawy świetlne obserwowano wprawdzie już dużo wcześniej, ale sądzono, że należy je sklasyfikować jako bajki o UFO. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu udało się sfilmować zjawisko specjalnymi kamerami, które potrafią nagrać superbłyski widoczne tylko przez dziesiętne części sekundy.

Historyczna rycina przedstawiająca piorun kulisty. Istnienie tego fenomenu nie jest już dziś podawane w wątpliwość. Jednak jak powstają świecące kule i w jaki sposób unoszą się nad ziemią? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Zagadkowe zjawisko przyrodnicze występuje oczywiście nie tylko na wysokościach nad chmurami, lecz także w pobliżu ziemi. W porównaniu z olbrzymimi błyskawicami te zjawy świetlne są wprawdzie karzełkami, ale z pewnością nie brak im tajemniczości. Klasykiem wśród nich są upiorne „pioruny kuliste", które – podobnie jak pioruny liniowe, pioruny przypominające kształtem sznur pereł lub ognie świętego Elma – mogą występować na skutek burzy. Nauka długo

utrzymywała, że wiara w ich istnienie to przesądy lub fantazja. Zagorzali sceptycy ciągle jeszcze uważają je za wynik halucynacji. Jest to spowodowane niezwykłą rzadkością ich występowania i naprawdę dziwnymi właściwościami. Naoczni świadkowie opisują je jako unoszące się w powietrzu kule świetlne średnicy poniżej metra. Najczęściej nie mają więcej niż 30 centymetrów, są nieprzezroczyste i emitują światło, zwykle czerwono-żółtawe. Mogą stać w miejscu, unosić się w powietrzu lub latać bezładnie w różnych kierunkach. Czasem wydają też syczące odgłosy lub wystrzeliwują z nich świetliste iskry. Niektórzy opowiadają, że pioruny kuliste dostały się do wnętrza budynku przez kominek, lub tocząc się przez kuchnię, znikały po kilku chwilach.

Choć pioruny kuliste pojawiają się zazwyczaj tuż nad ziemią, kilka razy zaobserwowano je na pokładzie samolotów. Rosyjska agencja prasowa TASS podała informację o incydencie, który wydarzył się 15 stycznia 1984 roku nad Morzem Czarnym. Samolot Ił-18 przelatywał właśnie w pobliżu frontu burzowego, gdy nagle w kadłubie przed kokpitem pojawiła się błyszcząca kula wielkości nieco ponad 10 centymetrów. „Zniknęła z ogłuszającym hałasem, po kilku sekundach powróciła do kabiny pasażerów, przeniknąwszy w tajemniczy sposób przez hermetyczną obudowę samolotu”, jak podaje TASS. „Świetlista kula unosiła się powoli nad głowami zdumionych pasażerów. W tylnej części samolotu podzieliła się na świetliste połówki, które się następnie połączyły i bezszelestnie opuściły samolot”.

Podczas tej kolizji radar i instrumenty pokładowe zostały uszkodzone, ale żaden z pasażerów nie doznał obrażeń.

Kuliste pioruny nie są tak groźne, jak się sądzi. W podaniach ludowych wzbudzają strach, ale rzadko można się spotkać z dowodami, że dokonały zniszczeń lub kogoś zraniły. Pioruny kuliste, które opisuje się także jako „gaworzące kule", zazwyczaj znikają cicho po kilku sekundach lub pękają z głośnym hukiem, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Krótki czas życia jest powodem, dla którego tak trudno je sfotografować. Jedno z takich rzadkich zdjęć pochodzi z 1978 roku i zostało wykonane przez Wernera Burgera, mieszkańca miejscowości Vorarlberg w Austrii. Gdy pewnego późnego wieczora fotografował w St. Gallenkirchen nadchodzący front burzowy, udało mu się zrobić spektakularne krótkie ujęcie pioruna kulistego.

Od setek lat opowiadano o tych małych świetlistych kulach. W średniowieczu uznano je za „dzieło czarownic" i gardzono tymi „świetlistymi kulami diabła". Dziś wprawdzie nikt nie wątpi w istnienie świetlnych kul, ale ciężko je poddać badaniom naukowym z powodu ich krótkotrwałości i nieprzewidywalności występowania. Między innymi dlatego jedynie nieliczni naukowcy starali się pogłębić wiedzę na ich temat, dokonać analizy istniejących opracowań czy zająć się czasochłonnym badaniem tego obszaru nauki i sprawdzać wiarygodność zeznań naocznych świadków. Wyjątek stanowi Alexander Keul, sympatyczny asystent profesora oraz psycholog środowiskowy z Salzburga, uznany na arenie międzynarodowej ekspert, który w ciągu ostatnich 30 lat poddał analizie około 500

relacji osób niespodziewanie skonfrontowanych z tym zjawiskiem. „Te obserwacje na pewno nie są modą”, stwierdza Keul. „Opisy doświadczeń z 1900 roku pokrywają się z dzisiejszymi doświadczeniami. Fantazja nie gra tu żadnej roli. Człowiek nigdy nie zapomni spotkania z piorunem kulistym, wspomnienie o nim pozostaje przez dziesiątki lat”.

Potwierdza to Renate Urbanek, nauczycielka z Bawarii, która przejechała swoim sportowym samochodem po piorunie kulistym. „Ciężko pojąć, co się właściwie dokładnie stało pod względem fizycznym”, przyznaje otwarcie Alexander Keul po dokładnym zbadaniu tego niezwykłego przypadku. Choć cała historia przypomina horror, naukowiec traktuje jej opowieść całkiem poważnie.

Renate Urbanek przywołuje w pamięci dramatyczne wydarzenia z lata 1991 roku: „Podróżowałam wraz z przyjacielem w okolicach Traunstein w południowej Bawarii. On jechał minibusem, a ja moim samochodem około 150 metrów za nim. Za mną także jechał rząd aut. Padał deszcz, błyskało się i grzmiało. Jechaliśmy po prostej drodze bez zakrętów. Tuż obok, po prawej stronie, prowadziła ścieżka rowerowa, a za nią znajdowało się duże pole. Nagle dostrzegłam jasnozieloną fosforyzującą kulę, rozmiarów piłki medycznej. Spadła na ziemię tuż za minibusem przede mną i toczyła się drogą wprost na mnie. Pomyślałam od razu, że to musi być piorun kulisty. Nie bałam się, ponieważ pamiętałam z lekcji fizyki, że auto zachowuje się jak klatka Faradaya i ochroni mnie przed piorunem. Trzymałam nogi na wycieraczce i mocno

zakleszczyłam oba ramiona na kierownicy. Po około 3–5 sekundach świecąca kula zetknęła się z moim autem. Zmierzała ku mnie po prawie idealnie prostej linii. Gdy dotarła do prawego przodu auta (patrząc od strony kierowcy), poczułam silne szarpnięcie, tak jakbym wjechała na jakąś przeszkodę. Potem jasne turkusowe światło rozświetliło pokrywę chłodnicy, przednią szybę i tablicę rozdzielczą, a nawet tapicerkę na siedzeniu pasażera. Kula była cicha, nie wydzielała ciepła ani zapachu, ani nie działała elektrostatycznie. Zobaczyłam we wstecznym lusterku, że opuściła drogę za moim autem. Toczyła się jeszcze około 50 metrów po ścieżce rowerowej, potem po polu i po pokonaniu około 100 metrów nagle rozprysła się jak bańka mydlana. Kierowcy za mną musieli widzieć to całe zjawisko, ponieważ odległość pomiędzy nami wyraźnie się zwiększyła, co zauważyłam w lusterku wstecznym. Świecąca kula nie miała wyraźnych konturów, sprawiała wrażenie, jakby jej brzegi były poszarpane, wyglądała jak kula z siana. Nie latała, tylko toczyła się drogą, niezbyt szybko – podobnie jak silnie kopnięta piłka, lecąca prosto nad boiskiem. Rzuciło mi się w oczy, że piorun wytwarzał podczas toczenia się po mokrej nawierzchni coś w rodzaju pary czy też zostawiał po sobie liniowe ślady pary wodnej”.

Rekonstrukcja sceny spektakularnego fenomenu pioruna kulistego z 1991 roku: świecący obiekt wielkości piłki lekarskiej zderza się z samochodem, dostaje się do jego wnętrza i wydostaje się z powrotem na drogę, toczy na pole i pęka. (Zdjęcie: Alexander Keul)

Profesor Keul poddał to zdarzenie analizie naukowej, podczas której wspierało go dwóch specjalistów – ekspert od ochrony odgromowej oraz fizyk. W dniu 21 lipca 1997 roku zbadali miejsce, w którym wydarzyły się opisane wyżej przypadki. Wykonano pomiary magnetyczne, zbadano auto w poszukiwaniu śladów, które na nim mógł pozostawić piorun, i odtworzono całe wydarzenie. Przyjechała także Renate Urbanek. Alexander Keul potwierdził podczas badania jej wiarygodność: „Na wszystkie pytania odpowiadała krótko i klarownie, bez wahania, nie starała się interpretować faktów". Psycholog wyklucza możliwość, że Urbanek doznała halucynacji, ale pomimo to wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi.

Keul streszcza wyniki swojego dochodzenia: „Była wtedy gwałtowna burza, ale bez wyładowań pomiędzy chmurami a ziemią. Potwierdziły to zarejestrowane w tym czasie obserwacje danych pogodowych. Niestety nie działał wtedy

jeszcze system monitoringu wyładowań ALDIS (Austrian Lightening Detection & Information System). Zainstalowano go dopiero w 1992 roku, a więc rok po zdarzeniu w Traunstein. System obrazuje wyładowania elektrostatyczne na terenie całej Austrii i mógłby dostarczyć wielu wartościowych danych. Wspomniane auto, Volkswagen Corrado G60 Sport, nie ma żadnych widocznych uszkodzeń. Pomiar magnetyczny nie potwierdził hipotezy o remanencji, czyli namagnesowaniu szczątkowym. Główne zdarzenie, czyli zderzenie pioruna z autem, pozostaje zagadką. Pewne jest, że mechaniczna, akustyczna i optyczna energia pioruna kulistego została przeniesiona w kierunku auta oraz prawdopodobnie do jego wnętrza, ale w jaki sposób? Jeżeli piorun emitowałby słabą energię, jak na przykład naelektryzowana bańka mydlana, nie mógłby wytwarzać tak mocnych efektów, jak szarpnięcie podczas zderzenia. Jeżeli było odwrotnie i piorun emitował silną energię, to jak wytłumaczyć brak śladów fizycznych, które musiałby zostawić po kolizji każdy przedmiot znajdujący się w stanie stałym? Dlaczego kula nie została zniszczona w momencie zderzenia z autem jadącym z prędkością ponad 100 kilometrów na godzinę? Jak to możliwe, że przetrwała zderzenie bez uszczerbków fizycznych? Przedni błotnik jest umieszczony na wysokości 18 centymetrów nad ziemią. Pozostaje niewyjaśnione, jak kula średnicy 60–70 centymetrów mogła przelecieć przez jadące auto bez zmiany swego kształtu. Renate Urbanek opowiadała o „zielonym świetle”, które widziała wtedy w aucie. Mogłaby to być wskazówka

przemawiająca za wyładowaniem koronowym. Ta interpretacja traci jednak sens w przypadku braku jakichkolwiek śladów po zderzeniu z innym obiektem w ruchu. Gdy zapytałem Renate Urbanek, czy chce pozostać anonimowa ze względu na wykonywany zawód, odpowiedziała wprost, że raport nie jest w żaden sposób powiązany z jej pracą urzędnika publicznego. Może się więc pod raportem o tajemniczym wydarzeniu podpisać swoim nazwiskiem, ponieważ stało się dokładnie tak, jak opowiedziała".

Eksperci szacują, że tylko jedna osoba na 10 000 może kiedyś w swoim życiu zobaczyć piorun kulisty. W ciągu ostatnich 300 lat udało się jednak na całym świecie zaprotokołować 2000 zeznań świadków. Najważniejsze pytania nasuwające się podczas wszystkich obserwacji to: jak powstają pioruny kuliste? Co im nadaje typowy kulisty kształt? Jaka siła pozwala im unosić się w powietrzu? I jak to możliwe, że wiązka energii może pozostać stabilna do 10 sekund, a nawet czasem do 30 sekund? Fizycy i meteorolodzy wysunęli szereg tez, ale nie udzielili ani jednej wiarygodnej odpowiedzi na te pytania. Niektóre z naukowych wyjaśnień tego zjawiska wydają się zbyt zagmatwane, jak na przykład przypuszczenie, że w przypadku piorunów kulistych chodzi o ptaki, które trafił piorun.

Angielski badacz Geoffrey Edean z Uniwersytetu Durham traktuje ten fenomen trochę bardziej poważnie i wierzy, że są to ładunki wirujące w powietrzu, które zostają zamknięte w dużo większym, niewidzialnym polu elektrycznym. „Gdy ładunki się odpowiednio ustawiają, podobnie jak magnesy, a energia

pomiędzy nimi będzie mogła przepływać w różnych kierunkach, utworzy się święcąca kula", twierdzi naukowiec. Podobnie uważa japoński profesor fizyki, Yoshihiko Ohtsuki, który już w latach 90. ubiegłego wieku tworzył w warunkach laboratoryjnych ogniste plazmatyczne kule za pomocą mikrofal. Fizyka rozumie pod pojęciem plazmy konglomerację gorącego najonizowanego powietrza w polu magnetycznym. Zachowanie kul energetycznych przypomina opisy naocznych świadków. Kule przenikały nawet przez płyty ceramiczne, co mogłoby wyjaśniać, dlaczego pioruny kuliste przechodzą czasem przez ściany i inne przeszkody. Niestety brakuje przekonujących dowodów na istnienie takich skoncentrowanych mikrofal w przyrodzie.

Całkiem inny scenariusz przedstawiają nowozelandzcy naukowcy John Abrahamson i James Dinniss. Są pewni, że pioruny kuliste powstają przez uderzenie normalnego pioruna w ziemię. Wysoka temperatura powoduje, że ziemia uwalnia wówczas krzem, który zostaje rozproszony na mikroskopijne cząsteczki. Teza naukowców mówi, że w tym stanie materia przybiera kulisty kształt. Na powierzchni kul krzem reaguje z tlenem znajdującym się w atmosferze i dochodzi do utleniania, co powoduje efekt płonącej kuli. Podczas eksperymentów, w których naukowcy stworzyli unoszące się kule świetlne wielkości piłki tenisowej, udało się odtworzyć to zjawisko. Naukowcy świętują swój sukces: „Nareszcie rozwiązaliśmy zagadkę piorunów kulistych!" Do wyjaśnienia pozostaje jednak drobna sprawa: Świadkowie opowiadają o świetlistych kulach,

które latają w powietrzu, spadają z nieba czy też widziano je w samolocie. A przecież zgodnie z teorią o krzemie, ogniste kule mogłyby przecież powstawać, tylko eksplodując z ziemi.

Moja prognoza na przyszłość wygląda następująco: pioruny kuliste są i pozostaną niepojęte. Dalej będą nas trzymały w napięciu. Czy to możliwe, że energetyczne kule są bardziej inteligentne, niż nam się wydaje? Zjawisko opiera się wszystkim naukowym próbom wyjaśnienia. Co należy zrobić, gdy pewnego dnia napotkamy taki piorun? Jak trzeba zareagować? Alexander Keul uśmiecha się tajemniczo i daje dobrą radę wszystkim przyszłym świadkom świetlistych kul: „Najlepiej nie robić nic. W ciągu 5 sekund nie zdąży się przecież uciec. Najlepiej zachować spokój i obserwować, co się dzieje, aby później móc na ten temat zdać szczegółową relację – to nam pomoże dalej badać to zjawisko”.

Dowcipnisie oraz kręgi w zbożu, w trawie i na lodzie

Kuliste pioruny nie są jedynymi świetlistymi kulami, przy których nauka jeszcze raczkuje podczas prób ich wyjaśnienia. Podobne zjawiska to „foo-fighters”, czyli świetliste kule, które poprzednio były interpretowane jako statki UFO. To tańczące świetliste kule, które obserwowano podczas drugiej wojny

światowej nad terytorium Niemiec, a także na terenach działań wojennych we wschodniej Azji. Czy była to jedynie amunicja smugowa, której wygląd niewłaściwie zinterpretowano? To samo pytanie nasuwa się w przypadku „kul ognia", które wykazują podobne cechy, ale nie całkiem pasują do klasycznego obrazu piorunów kulistych poruszających się raczej spokojnie w płaszczyźnie poziomej. Płonące kule wydają się dużo bardziej niebezpieczne. Spadają czasem podczas załamania pogody z chmur, podpalają domy i niszczą sieci elektryczne. Istnieją wprawdzie dokumentacje na ich temat, które uwzględniają wyrządzone przez nie szkody, ale eksperci zajmujący się badaniem piorunów pozostają bezradni. W 1984 roku taka kula ognia uderzyła w lampę uliczną w Armley, miasteczku położonym w północnej Anglii, po czym zniknęła pod gruntem, gdzie spowodowała wybuch instalacji gazowej. Ten z kolei doprowadził do pęknięcia rur wodociągowych. Jaka była przyczyna tej niesamowitej i destrukcyjnej siły? Ani normalne uderzenie pioruna, ani nawet uderzenie meteorytu nie wywołałoby takiego spustoszenia. Czy istnieją różne rodzaje tego samego zjawiska przyrodniczego? Czy tajemnicze światła mogą mieć takie samo źródło?

Problem podczas poszukiwania prawdy wygląda następująco. Istnieją jedynie nieliczne dokumentacje na ich temat. Niespodziewane i krótkotrwałe pojawianie się tych zjawisk utrudnia prowadzenie systematycznych badań nad nimi. Naukowcy są zdani głównie na relacje naocznych świadków, w których wiarygodność sceptycy mają prawo powątpiewać. W

przypadku świetlnych zjawisk nocnych, błędnych ogników, rzecz ma się nie inaczej. Ogniki pojawiają się rzadko, ale słyszał o nich cały świat. Występują wszędzie tam, gdzie są bagniska. W wierzeniach ludowych pojawiają się jako duchy natury lub błądzące dusze zmarłych. Badacze przyrody udowodnili jednak, że ulotne światełka powstają w wyniku samozapłonu gazów błotnych lub wytwarzają je świecące owady.

Inna tajemnica zaprząta głowy badaczy – olbrzymie geometryczne geoglify, które pojawiają się nocami w miesiącach letnich na polach zbóż w południowej Anglii. Większość została stworzona przez ludzi, którym udało się za pomocą drewnianych desek i walców położyć zboża na ziemi. Niewinne popisy fałszerzy, które powstały dla zabawy, utrudniają niestety prowadzenie prac naukowych. Faktem jest, że żarty nie wyjaśniają bogactwa matematycznie perfekcyjnych zjawisk, których pojawienie się udokumentowano po raz pierwszy na piśmie w XVI wieku. Choćby dlatego, że wiele z tych skomplikowanych i ogromnych wzorów powstało w czasie, gdy pola były pilnie strzeżone. Musi więc istnieć jeszcze inne wyjaśnienie niż płatanie figli.

Wynika to także wyraźnie z szeregu niezwykłych anomalii towarzyszących tym zjawiskom, które nie pasują do hipotezy o fałszerzach. Są to różnice we wzroście zbóż wewnątrz i na zewnątrz kręgów, nieprawidłowe działanie urządzeń elektrycznych pośrodku kręgów, różnice magnetyczne, doznania pozazmysłowe lub nagle pojawiające się świecące kule. Często widziano kule energetyczne, które latały tuż nad

zbożem. Udało się sfotografować oraz sfilmować te manewry, nikt jednak nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, skąd kule pochodzą. Niektórzy badacze przypuszczają nawet, że to świetliste kule odpowiadają za stworzenie skomplikowanych piktogramów. Musiałyby to być faktycznie superinteligentne kule. Niewiarygodne? A kto może być całkowicie pewien, że nie jest to prawda? Nie trzeba we wszystko wierzyć, ale można wiele spraw uznać za możliwe.

Kim więc są genialni i anonimowi twórcy wzorów w zbożach? Jeżeli wykluczyć ludzkie oszustwo i uformowanie wzorów przez naturę, pozostaje niewiele możliwości. Nawet jeżeli racjonalistom byłoby ciężko przyznać tu rację: kto poza obcą inteligencją wchodzi jeszcze w rachubę jako ich twórca? Mieszkańcy planety, którzy swoimi statkami kosmicznymi wyczarowują fantazyjne i szczegółowe kształty, obrazy i znaki tworzące wrażenie trójwymiarowości. Takie tezy mogliby wysuwać tylko naiwni fanatycy UFO. Niezmordowani badacze kręgów, którzy pojmują „pozaziemskość” w szerszym znaczeniu, mają na myśli raczej wyżej rozwinięte istoty z nieznanych poziomów istnienia, nadprzestrzeni lub innych wymiarów, które za pomocą niepojętej dla nas technologii zostawiają w zbożu ślady swego istnienia. Ale dlaczego? Jako międzygalaktyczny test inteligencji? Czy mamy do czynienia z pozaziemską próbą kontaktu, aby sprawdzić, czy my, mieszkańcy Ziemi, jesteśmy gotowi i chętni na międzyplanetarną komunikację?

Angielski biofizyk Rupert Scheldrake stworzył inny, ezoteryczny model wyjaśniający to zjawisko, opierający się na zjawisku pól morfogenetycznych. Zgodnie z jego tezą istnieją niewidzialne wzory wydarzeń, które uwolnione od materii i energii działają poza przestrzenią i czasem. Kolektywna nieświadoma pamięć całego świata może je materializować w formie symboli w zbożu. Okręgi powstawałyby przez pewien rodzaj duchowego sprzężenia, zwanego morficznym rezonansem. Jest jednak jedno „ale": nie udowodniono naukowo istnienia pól morfogenetycznych. Są wprawdzie badacze zajmujący się kręgami, którzy twierdzą, że kierowali siłę myśli na określony wygląd zboża, a na następny dzień powstawał dokładnie taki wzór w miejscu, o którym myśleli. Można także wziąć pod uwagę hipotezę Gai (nazwaną tak na cześć bogini Ziemi-Matki z mitologii greckiej), opublikowaną w latach 60. ubiegłego wieku przez mikrobiolog Lynn Margulis oraz biofizyka Jamesa Lovelocka. Według tych naukowców nasza planeta jest swego rodzaju żywą istotą. Zgodnie z tą teorią wzory w zbożu stworzyła sama Ziemia.

W ostatnich latach sławne stały się także inne zjawiska związane z kręgami – to kręgi w trawie mające średnicę 1–6 metrów. Znaleziono kilka takich miejsc. W styczniu 2003 roku powstało kilka kręgów różnej wielkości na polu obok drogi z Meckesheim do Dielheim, w pobliżu Horrenbergu w Badenii-Wirtembergii. W kwietniu 2005 roku kilka wzorów pojawiło się niedaleko Hoeven w Holandii, na zdjęciach wzorów w trawie widać także świetliste kule. W czerwcu 2006 roku powstały trzy

kręgi na drodze krajowej w gminie Brenner w Tyrolu. W kwietniu 2008 roku pojawiło się kilka okrągłych i półokrągłych wzorów różnej wielkości w trawie przy Wendemark w Brandenburgii. Czy te struktury wskazują na skarby archeologiczne znajdujące się pod ziemią? Czy może to jacyś dowcipnisie stroją sobie żarty, rozsypując w tych miejscach sztuczny nawóz? A może to ślady po lądowaniu statków UFO? Czy też brały w tym udział duchy żywiołów?

O występowaniu kręgów w zbożach można się dowiedzieć z podań o gnomach, w których nazywano je kręgami wróżek lub czarownic. Szwajcarski biolog Samuel Gerber wyjaśnia, jak mogło dochodzić do powstania tych zaczarowanych kręgów: „Są typowym zjawiskiem występującym w przyrodzie, przede wszystkim w lasach. Grzyby rozmnażają się tam na butwiejącym podłożu, rozkładając materię organiczną. Teren, na którym rosną grzyby, także rozrasta się w formie coraz większych kręgów, ponieważ w pierwotnym miejscu grzybom zaczyna brakować pokarmu”. Czy można w ten sposób faktycznie wyjaśnić powstanie kręgów w trawie? Dlaczego powstają nie tylko same kontury okręgu, ale i całe koła? Dlaczego pojawiają się one nie tylko w sezonie grzybowym? I dlaczego niektóre trawy są dociśnięte do ziemi, podczas gdy inne wykazują nadmierny wzrost?

Za zagadkowe kręgi uformowane z lodu, bo i takie, owszem, istnieją, odpowiadają z pewnością zupełnie inni psotnicy. Chodzi o okrągłe kry lub kręgi lodowe pojawiające się na zamarzniętych wodach. Ich średnica może wynosić 1–3 metry,

jak to wydarzyło się zimą 2009 roku na rzeczce Otter w angielskim hrabstwie Devon. Mogą jednak przybierać gigantyczne rozmiary, osiągając średnicę do kilkuset metrów, a nawet kilku kilometrów. Relacje na temat takich kręgów pojawiały się na całym świecie, szczególnie często w Skandynawii, Rosji, Kanadzie i w USA. Istnienie lodowych formacji udokumentowano po raz pierwszy pod koniec XIX wieku, co udowadnia ilustrowane sprawozdanie na łamach czasopisma „Scientific American" z 1895 roku.

Naukowcy próbują wyjaśnić ten niezwykły fenomen różnicami temperatury oraz prądami podwodnymi. Gdy wiosną 2003 roku odkryto na zdjęciach satelitarnych olbrzymie kręgi lodowe na zamarzniętym jeziorze Bajkał na Syberii, ciężko było uwierzyć w ich istnienie. Badanie przeprowadzone na miejscu miało wyjaśnić to zjawisko. Geolog Nikołaj Granin oraz jego współpracownicy z Instytutu Limnologicznego w Irkucku umieścili w kręgach nowoczesne wiertarki. Pomiary wykazały, że lód na brzegach kręgów był znacznie cieńszy niż w środku. Wyjaśnienia upatruje się w obecności gazów. Za pomocą echolokacji znaleziono na dnie jeziora wulkany błotne, które oprócz namułu ilastego wyrzucają z siebie także fontanny gazu. Te groźne podwodne tornada mogą wybuchać z głębokości 900 metrów na powierzchnię i tworzyć z lodu okrągłe kształty. To tłumaczenie wydaje się bardziej prawdopodobne niż przyjęcie, że kształty uformowały istoty pozaziemskie. Ale niektóre szczegóły nie pasują do tej hipotezy. Dlaczego kręgi występują także w rzekach i jeziorach, które nie mają głębokości nawet 1

metra i gdzie nie występuje naturalna aktywność ziemi pod powierzchnią wody?

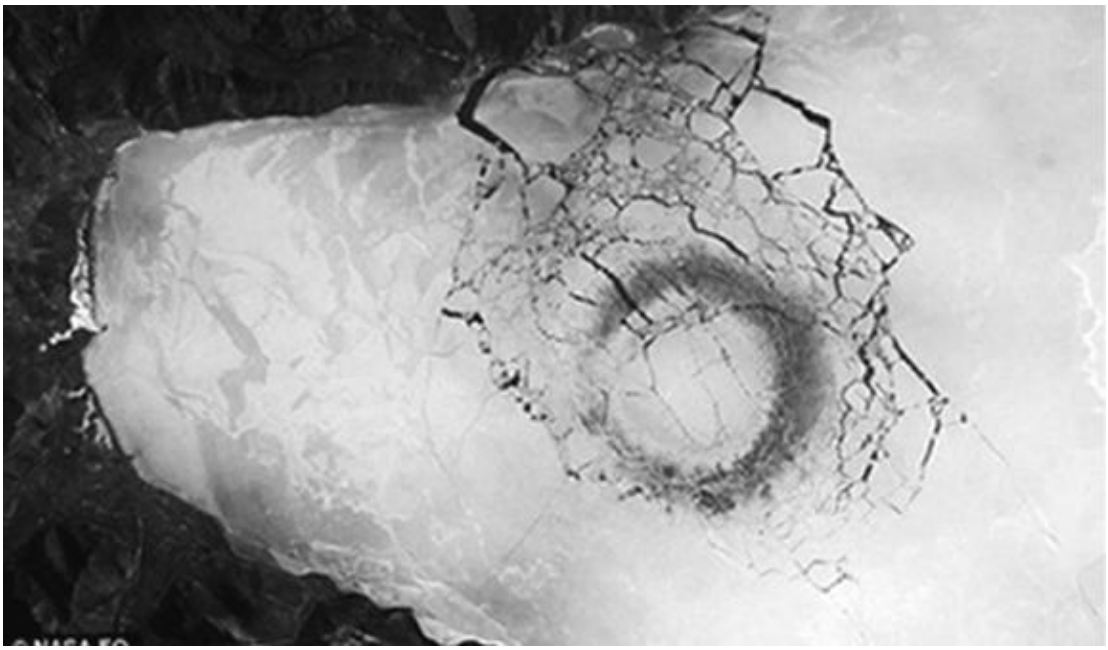

Po okręgach w zbożu i w trawie coraz częściej pojawiają się dziś okręgi na lodzie, niektóre nie mają więcej niż metr średnicy, inne (jak ten z 2003 roku na syberyjskim jeziorze Bajkał) mają średnicę do nawet kilku kilometrów. Jako przyczynę geofizycy podejrzewają podziemne tornada. (Zdjęcie: NASA/Rex Features/picturedesk.com)

Istnieje jeszcze coś, co nas zadziwia, choć nie wiadomo, czy to przypadek, czy niezależne zjawisko. Tam, gdzie pojawiają się lodowe kręgi, czasami obserwuje się także zjawiska świetlne. Na przykład w 1995 roku, kiedy Rosjanin Aleksiej Jusupow odkrył na rzece Machra, oddalonej o około 120 kilometrów od Moskwy, wielki krąg lodowy. Mieszkanka pobliskiej miejscowości zapewniała podczas wywiadu, że najpierw

pojawił się w tym miejscu piorun kulisty. Podobne świetlne efekty towarzyszyły także powstawaniu kręgów lodowych na rzece Hemlock w amerykańskim stanie Michigan w grudniu 2006 roku. Mieszkańcy pobliskiej miejscowości Omasa oświadczyli badaczom, że wieczorem przed pojawieniem się kręgów lodowych obserwowali pulsujące kule świetlne.

Załóżmy mimo wszystko, że przyczyna tych zjawisk leży po stronie natury. Absurdalność takiego założenia ujawnia się dopiero wtedy, gdy pojawiają się lodowe kwadraty i trójkątne piktogramy. Kompletny bezsens? Przypomnijmy sobie – gdy w południowej Anglii w latach 80. XX wieku pierwsze wzory w zbożu zasiały zamęt w mediach, były to jeszcze niewinne kręgi. Wyjaśnienie naukowe tego zjawiska brzmiało wówczas – wzory powstały na skutek działania ekstremalnych wirów powietrznych. Były też jednak wyjaśnienia, które brzmiały bardziej fantastycznie. Kopulujące jeże, hiperaktywne krety, dzikie zwierzęta podczas rui miały kręcić się jak szalone, wydeptując w zbożach kręgi. Wraz z pojawieniem się bardziej skomplikowanych kształtów wszystkie tezy o jeżach i inne śmieszne wyjaśnienia wylądowały zasłużenie w koszu. Pomysłowi twórcy kręgów ukrywają się odtąd w sferach niewidzialnych. Archimedes (287–212 p.n.e.) mógłby być ich pomysłodawcą. Wielki grecki matematyk postulował swego czasu: „Nie psuj moich kół!”

Poszukiwacze promieniowania z Bürserberg

Całe mnóstwo zadziwiających dowodów potwierdza istnienie tajemniczego promieniowania ziemskiego. Znajdziemy je w alpejskim regionie Bürserberg w austriackim kraju związkowym Vorarlberg. Zainteresowałyby z pewnością Paula Devereux, który chętnie wyrusza na wędrówki z licznikiem Geigera, żeby dokonywać pomiarów promieniowania w megalitycznych budowlach. Jeszcze 10 lat temu nikt by się nie odważył nawet śnić o tym, co odkryto tu na górze Tschengla na wysokości 1300 metrów: to masywne bloki skalne, poukładane niczym sznury pereł. Obok nich znajdują się kamienne kręgi, których układ geometryczny oraz towarzyszące im tajemnicze pola siłowe stanowią temat gorących dyskusji już od momentu ich odkrycia przez Gerharda Pirchla – austriackiego różdżkarza z Bludenz.

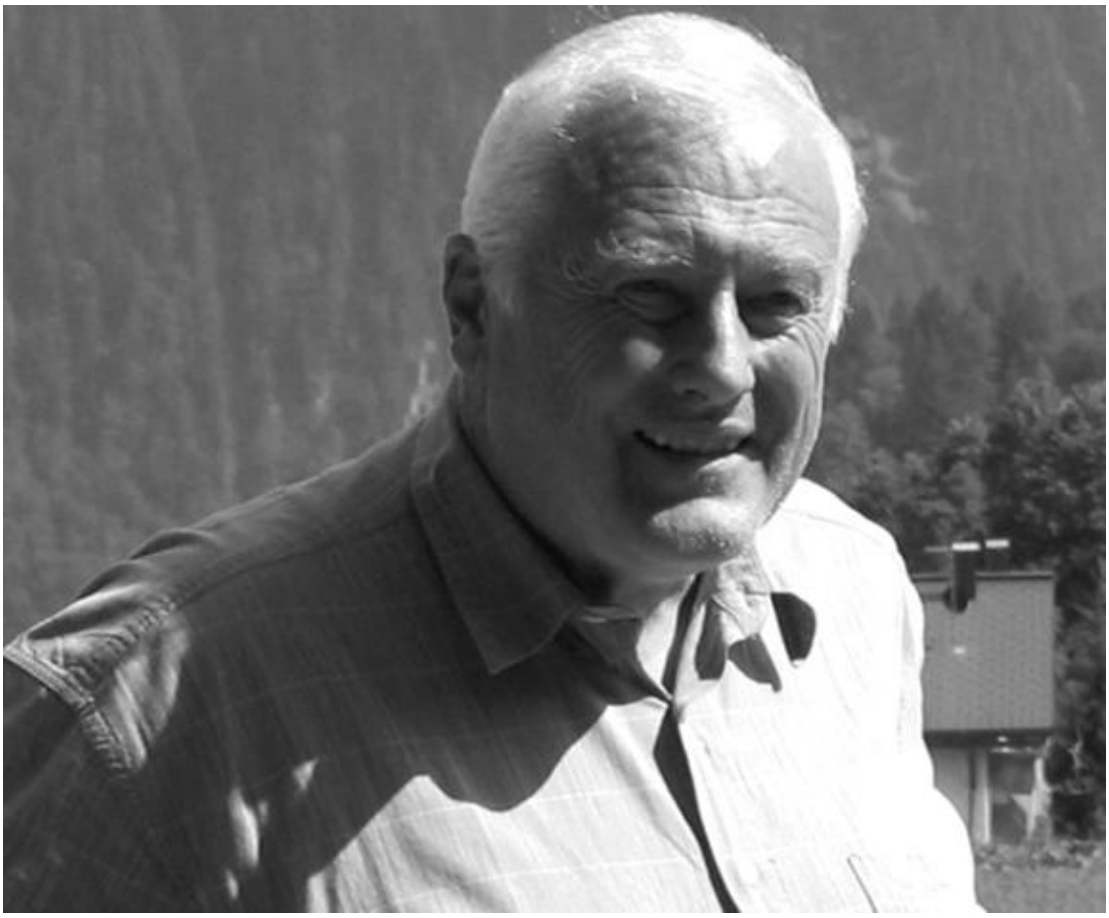

Radiesteta z Vorarlbergu Gerhard Pirchl odkrył w regionie Bürserberg podziemne żyły siłowe i orientacyjne z czasów prehistorycznych. (Zdjęcie: Gerhard Pirchl)

W odkryciu pomógł mu przypadek. Gdy w 2002 roku szukał żył wodnych, odkrył linie pola siłowego, które przecinały się około 56 razy w jednym określonym punkcie. Nazwał te wielokrotne skrzyżowania „gwiazdami arterii", nie mógł jednak znaleźć wyjaśnienia, dlaczego koncentrują się w określonych punktach. Badacz oniemiał z wrażenia, gdy spoglądając na przewrócone rośliny w okolicy, dostrzegł leżące tam małe żółte kamienie, które były ułożone w jednej linii. Nadał im nazwę

„kamienie Recji”, mając na myśli Recję – przedchrześcijańską boginię Ziemi i matkę boga. Kamienie znajdowały się także w innych mitycznych miejscach i leżały uporządkowane zgodnie z jakimś planem linii, jak niegdyś w Stonehenge, Carnac oraz na Malcie. Pojawiło się zaskakujące wyjaśnienie „gwiezdnych arterii”. Nie były to żadne żyły wodne, lecz podziemne linie pola siłowego, stanowiące punkty orientacyjne. Prowadziły do menhirów oraz prastarych kręgów kamiennych, które dawni geniusze umieścili niegdyś dokładnie w punktach przecięcia się linii – stanowiło to pewnego rodzaju pradawny system nawigacyjny.

Pirchl natrafił w rejonie Bürserberg na niezwykłe nagromadzenie takich arterii. Zdany początkowo wyłącznie na samego siebie, Pirchl znalazł w Karlu Fritsche, byłym burmistrzu, który także zajmował się radiestezją, równego mu pomocnika. Zbadali wspólnie tajemnicze rzędy kamieni oraz pozostałości po kamiennych kręgach. Oczyścili kamienie, już częściowo zarosłe, a te, które były przewrócone, poustawiali w ich pierwotnych pozycjach. W sumie kamieni było dokładnie 200. Znaleźli przy tym dużo nowych kamieni Recji stanowiących źródła energii, które poprowadziły ich do występujących pod ziemią „arterii” kamiennych kręgów.

Tradycyjna nauka nie uznała dotychczas tego odkrycia. Archeolodzy szukali na obszarze o powierzchni 3 metrów kwadratowych kości, grobów czy śladów osad, lecz nic nie znaleźli i zaniechali dalszych badań. Dziwne, bo z łatwością można znaleźć wskazówki, które pozostawiły wcześniejsze

kultury. Należy do nich kamienny mur ciągnący się przez kilometr na terenie lasu oraz 60-centymetrowa kamienna płyta z geometrycznymi grawerunkami. Jakie mają znaczenie? Wygląda na to, że nikt się nimi specjalnie nie interesuje. Czy publiczne instytuty badawcze odstrasza sposób ich odkrycia – za pomocą wahadła i różdżki? Wielu uczonym te „prehistoryczne linie orientacyjne" wydają się podejrzane. To jest pozbawione sensu, szydzą krytycy odkrycia. Nowi przedstawiciele władz gminnych wydają się także wątpić w wartość historyczną kamiennych kręgów. W 2009 roku w najpiękniejszym punkcie na wyżynie wzniesiono wioskę wypoczynkową oferującą 100 apartamentów i domów. Okolica wokół kamiennych kręgów służyła jako wysypisko podczas budowy. Stary burmistrz Karl Fritsche nie może pojąć tej bezwzględności i niezrozumienia.

Jego badania pokazują, że można pójść inną drogą, taką, którą poszedł wraz z Gerhardem Pirchlem i pracownikami grupy badawczej Steinspur (Kamienny Ślad). Idealistycznie nastawiona ekipa nie ma wprawdzie zbyt wielu środków, ale otrzymuje wsparcie od otwartych na świat astronomów, fizyków, inżynierów, lekarzy, etnologów oraz geobiologów. Przeprowadzono kilka naukowych badań, które tworzą „kosmiczną podstawę" kamieni z Bürserberg.

Kamienna płyta z figurami geometrycznymi, Bürserberg. Nowożytne dzieło sztuki czy pozostałość prehistorycznej kultury? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Już podczas wykopalisk i ustawiania pierwszych kręgów kamiennych badacze dokonali zaskakującego odkrycia: Jeden z układów ukazuje wschód słońca podczas przesilenia letniego, natomiast inny – podczas przesilenia zimowego.

Ponadto w każdym kręgu widać zgodne ukierunkowanie osi północ–południe. Jeden z menhirów ma u góry płaską powierzchnię z charakterystycznym małym szpicem wskazującym na nocne niebo. Test wykazał, że wskazuje dokładnie na Gwiazdę Polarną. Szwajcarski badacz przyrody i astronom Martin Kerner nie ma wątpliwości, że duży krąg kamienny na górze Tschengli jest „świadkiem istnienia dawnej kultury".

W centrum tego charakterystycznego kręgu kamiennego znajduje się olbrzymi menhir, który przy odrobinie fantazji przypomina postać matki z dzieckiem. Podczas pewnej konferencji, w której brało udział grono najbardziej sceptycznych naukowców, jeden z nich wykonał pewne niezwykłe zdjęcie aparatem cyfrowym. Czas zrobienia zdjęcia to dokładnie 2 września 2004 roku, godzina 15.20. Na zdjęciu są widoczni uczestnicy obrad zgromadzeni wokół kamiennego kolosa. Z wnętrza kamienia wznosi się na wysokość 15–20 metrów świetlna fontanna z niebieskofioletową aurą. Czy jest jakieś proste wyjaśnienie tego zjawiska? Czy też szczęśliwym zbiegiem okoliczności uwidoczniono promieniowanie ziemskie wznoszące się ku górze?

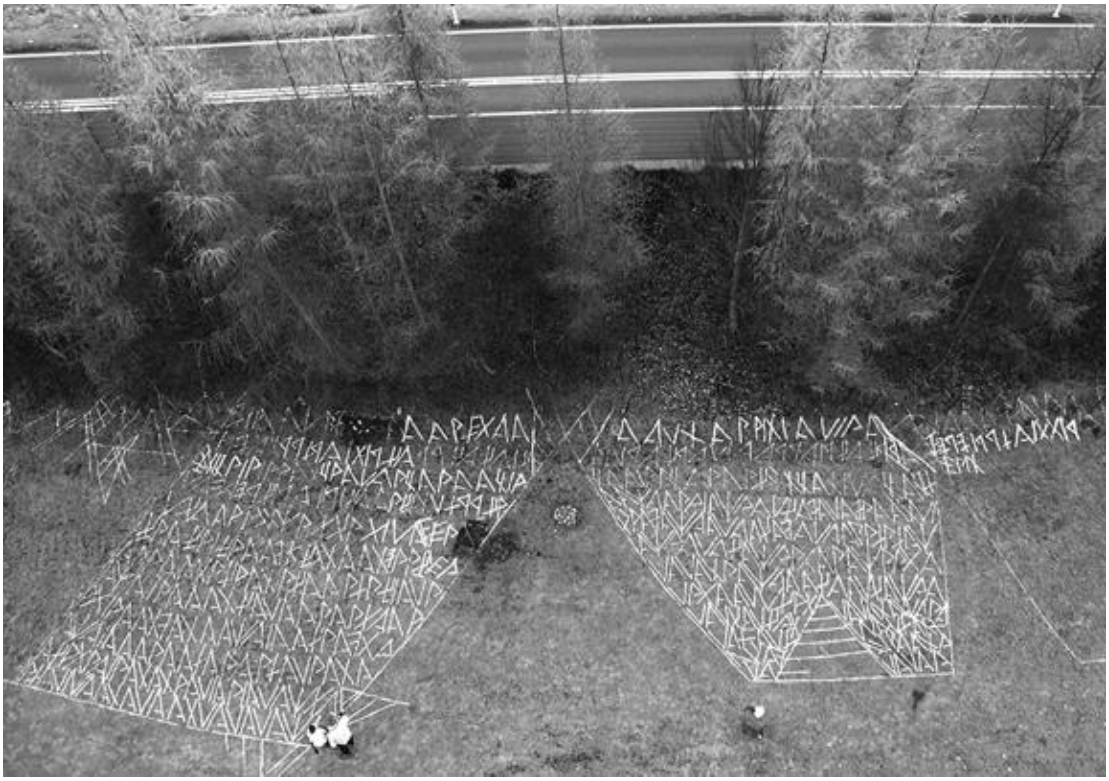

Ogromne fragmenty pisma przy Arlbergstraße niedaleko Braz.
(Zdjęcie: Gerhard Pirchl)

Karl Fritsche i jego koledzy zapewniają, że nie manipulowano przy zdjęciu z „płomieniami świetlnymi”. Jaka jest więc przyczyna ich powstania? Meteorolog i badacz piorunów Alexander Keul, któremu zadałem to pytanie, wyraził następujące przekonanie: „Wnioskując z innych doświadczeń ze zdjęciami cyfrowymi piorunów kulistych wykonanych podczas ostatnich lat, wiem, że nowoczesne kompaktowe cyfrowe aparaty fotograficzne mogą sprawiać problemy, dokładnie tak samo jak stare dobre aparaty analogowe. Podczas robienia zdjęć mogą powstawać flary, podwójne obrazy itp. W tym konkretnym przypadku zdjęcie zostało wykonane po południu

w kierunku Słońca, co potwierdza cień kamienia oraz niewyraźny krajobraz na dalszym planie. Należy więc rozważyć możliwość, że niebieskie światło to odbicie promieni południowego słońca. Dopiero wykonanie serii zdjęć tą samą kamerą w podobnych warunkach i pod światło mogłoby dać ostateczne wyjaśnienie tej zagadki. Musiałby wystąpić podobny efekt. Jeżeli nie wystąpiłby, to faktycznie można by uznać to zdjęcie jako coś niezwykłego".

Zawodowy fotograf Bernhard Moestl nie jest przekonany o słuszności tezy o mirażu: „Zdjęcie wygląda niezwykle. Możliwe, że kamień faktycznie emituje taką energię i chip na to zareagował. W końcu światło to nic innego jak energia, a film czy chip reagują na określone długości fal. Gwoli wyjaśnienia: w zasadzie światło i fale radiowe są tym samym, ale mają inną długość fal. Na jedne z nich reaguje radio, na drugie chip. Filmy wykonane w podczerwieni także czynią widzialnym to, czego oko nie może zobaczyć. Efekt nie robi wrażenia mirażu, tym bardziej że kształt świetlnego słupa raczej przypomina płomienie. Jeżeli te światła były widoczne tylko na zdjęciu, nie może to być miraż. Po prostu światło znajdowało się w zakresie drgań, które zarejestrował tylko chip".

Karl Fritsche i jego koledzy próbowali ponownie uzyskać ten efekt, robiąc wiele zdjęć. Dotychczas nie odnieśli sukcesu, lecz „łowcy promieni" z Bürserberg tak łatwo się nie poddają. Fritsche wyznaje: „Gerhard Pirchl odkrył, podczas których dni mamy największe szanse odnieść sukces. Nie ma to nic

wspólnego z pozycją Słońca, lecz z aktywnością pola, która podczas pewnych dni jest silniejsza”.

Burmistrz Bürserberg opowiada o jeszcze jednym fenomenie odkrytym w trakcie badań radiestezyjnych: „Zlokalizowaliśmy wznoszące się i opadające pola siłowe przy kamiennych kręgach. Podczas pomiarów okazało się, że prawie każdy środkowy kamień ma sektor, w którym pole siłowe się wznosi, podczas gdy po przeciwnej stronie tego kamienia jakaś siła ciągnie go w dół. Testowaliśmy to i wyniki są frapujące. Człowiek stojący z wyprostowanymi ramionami w unoszącym się polu siłowym może opuścić ramię dopiero po pokonaniu oporu własnego ciała. Po przeciwnej stronie zaobserwowaliśmy odwrotny efekt. Tam ramię samo opada po zaledwie lekkim dotknięciu”.

Ciekawe wyniki przyniosły eksperymenty z prądem elektrycznym wysokich częstotliwości za pomocą fotografii kirlianowskiej, która utrwala wyładowania koronowe na obrzeżach fotografowanych przedmiotów. Proces wykonywania takich fotografii został odkryty w 1937 roku przez parę małżeńską – Siemiona i Walentynę Kirlian. Dziś znajduje zastosowanie przede wszystkim w medycynie alternatywnej i badaniach parapsychologicznych. Dzięki zastosowaniu tej fotografii w badaniach promieniowania w Bürserberg wykazano, że w polu wznoszącym ludzie prawie nie wykazywali spadku energii. W opadającym polu siłowym zdjęcia pokazywały bardzo duży spadek energii.

Wyjaśnienie zagadki mogłyby przynieść dopiero kolejne badania. Dotyczy to także prawdopodobnie największego cudu przyrodniczego w tym regionie. Kilka kilometrów od tajemniczych kręgów kamiennych, w pobliżu drogi szybkiego ruchu S16, Gerhard Pirchl natknął się na silną wiązkę przebiegających pod ziemią linii pól siłowych. Pokazano promienie tego pola za pomocą rozsypanego na ziemi barwnika spożywczego. Promienie stworzyły monumentalne obrazy, które ze względu na ich rozmiar najlepiej obserwować z lotu ptaka, podobnie jak w przypadku kręgów w zbożach. Gdy na terenie, który miejscowi nazywają „przy wiszącym kamieniu", spadnie śnieg, można zaobserwować pojawienie się wzorów na ziemi, które przedstawiają rośliny gigantycznych rozmiarów. Jeszcze bardziej tajemniczo wyglądają olbrzymie fragmenty pisma, które wykazują pewne podobieństwo do retyckich grawerunków naskalnych oraz do alfabetu etruskiego. Zapisane pola obejmują powierzchnię 1000 kilometrów kwadratowych! Ich odkrywca, Gerhard Pirchl, stara się je przetłumaczyć z pomocą lingwistów. Kto wykonał te „promieniujące piktogramy"? Kiedy i jak je wykonano w Alpach? Na razie brak przekonującego wyjaśnienia tego fascynującego zjawiska. W każdym razie wystarczająco dużo powodów przemawia za przeprowadzeniem interdyscyplinarnych badań, także z finansowym wsparciem publicznych instytutów badawczych.

Jakby „promienne wzory” nie były wystarczająco tajemnicze: podczas uwidaczniania linii w ziemi znaleziono małe kamienie energetyczne w geometrycznym ułożeniu. Dlaczego, kiedy i kto je tam ułożył? (Zdjęcie: Gerhard Pirchl)

W 2007 roku zamieściłem w mojej książce *Wundersame Plätze in Österreich* (Cudowne miejsca w Austrii) zdjęcie jednego z tych „energetycznych piktogramów”. Otrzymałem później list od jednego z czytelników, Heima N. Nemeca, który opisał mi pewną sytuację. Gdy pokazał to zdjęcie swojemu 7-letniemu synowi, chciał się od chłopca w żartach dowiedzieć, co to może być. Chłopiec odpowiedział, że to proste pytanie, tylko że tata trzyma książkę do góry nogami. Rzeczywiście, po odwróceniu książki wyraźnie zobaczono sylwetkę ptaka. Można

było dokładnie rozpoznać jego głowę, dziób, skrzydła i pazury. Wszystkie części jego ciała mają prawidłowe proporcje. A więc wzór nie jest przypadkowy, lecz – podobnie jak w przypadku olbrzymich liter – stanowi gigantyczny rysunek. Zaskakujące odkrycie ucznia, które umknęło nawet uwagi łowcom promieni w Vorarlbergu. Od kreatywnego dziecka, mającego odwagę patrzenia na świat z otwartym sercem, niejeden krytyk i nadgorliwy pogromca mitów o zjawiskach pozazmysłowych mógłby się jeszcze dużo nauczyć. Angielski pisarz Aldous Huxley (1894–1963) podsumował to kiedyś trafnie: „Nie usuniemy faktów z powierzchni świata, ignorując je”.

Czar piramid i pierwowzór boskiego oka

Uzdrawiające siły, ukryte moce, energia kosmiczna – wszystkie te zjawiska kojarzymy z tajemnicami piramid. Piramidy to spektakularne arcydzieła antycznej architektury, o których duchowym znaczeniu nie wiemy jeszcze zbyt dużo. Piramidy wznoszono nie tylko w kraju faraonów. Obojętnie, czy w Ameryce Środkowej, w Chinach czy w Mongolii – piramidy znano w wielu wcześniejszych kulturach i stanowiły one symboliczne połączenie ziemi z niebem. Nawet w nietypowych miejscach, w których nikt by się nie spodziewał piramid, można znaleźć ich ruiny – na przykład w Grecji, we Włoszech, w Austrii, Francji oraz na Wyspach Kanaryjskich. Czy są

świadectwem międzykontynentalnych kontaktów kulturowych? Czy też praforma symboliki trójkąta była zapisana jako archetyp w naszych genach już od wszech czasów? Na uwagę zasługuje fakt, że większość komórek mózgowych ma strukturę podobną do piramid. Czy tu leży tajny klucz do zrozumienia wszystkich sekretów?

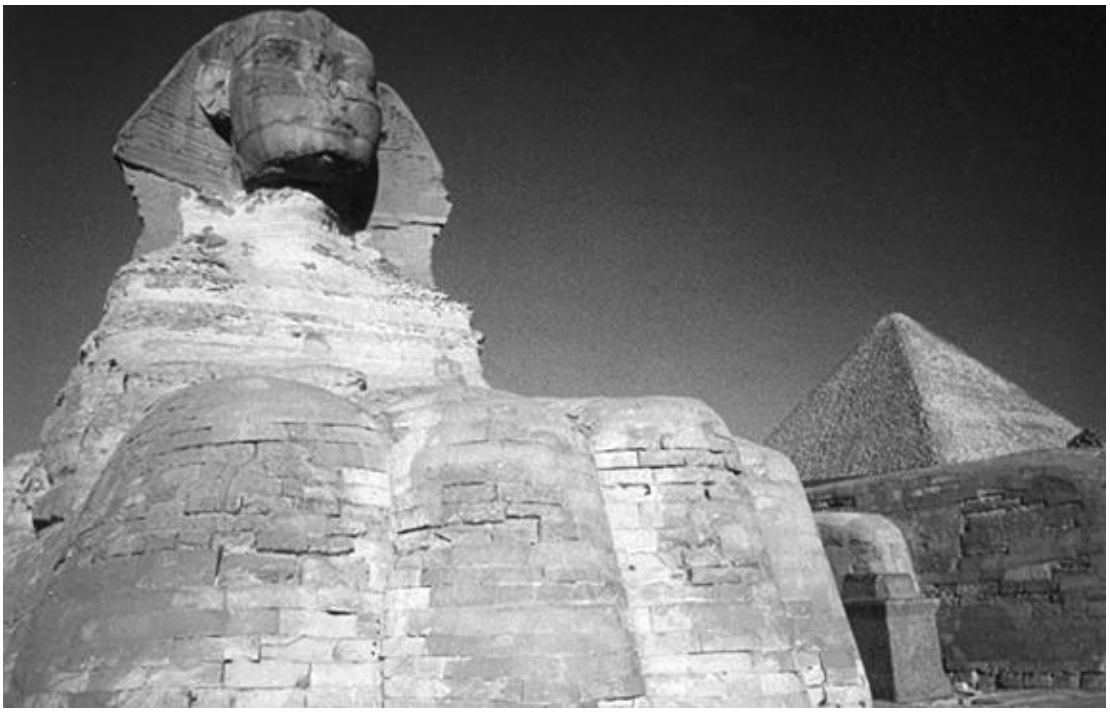

Sfinks i Cheops wciąż stanowią wielką tajemnicę. Czy piramidy naprawdę służyły jako królewskie grobowce? A może miały inną funkcję? W jaki sposób je budowano? Czy w ich wnętrzu od tysiącleci działają ukryte energie? Dlaczego piramidy powstawały na całym świecie? Czy wcześniejsze kultury czerpały wiedzę ze wspólnego źródła? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Bądź co bądź zarówno badacze promieniowania, jak i specjaliści medycyny naturalnej oraz okultyści zapewniają, że każdą piramidę otacza pole magnetyczne. Charakterystyczna forma trójkąta, szeroka na dole i zwężająca się ku górze, tak jak ukierunkowanie przekątnych piramid dokładnie w kierunkach wschód–zachód i północ–południe, pozwala połączyć energię kosmiczną z ziemskim polem magnetycznym, a co za tym idzie, piramidy pozyskują delikatną energię świetlną i przestrzenną, wiążą ją i emitują tę energię jak akumulator w pobliską przestrzeń, gdzie oddziałują pozytywnie na każdą molekułę i na każdą materię. Jeżeli tak doskonale to wszystko funkcjonuje, skąd starożytni Egipcjanie mogli o tym wiedzieć?

Sklepy ezoteryczne, targi New Age i portale internetowe odkryły tę lukę na rynku i oferują gotowe modele piramid do medytacji. Można dostać piramidy wykonane z najróżniejszych materiałów i w najróżniejszych rozmiarach. Chore zwierzęta mają z ich pomocą zdrowieć, rośliny lepiej rosnąć, owoce i warzywa dłużej zachowywać świeżość, a woda nie tracić swego smaku nawet po kilku miesiącach. Czy piramidy naprawdę kryją w sobie uzdrawiające moce? Jak można potwierdzić istnienie ich tajemniczej energii?

Te pytania zadawał sobie także Antoine Bovis (1871–1947), francuski radiesteta. Podczas zwiedzania piramidy Cheopsa zwrócił uwagę na leżące ciała martwych kotów i innych małych zwierząt w komnacie królewskiej. Zwierzęta zapewne zgubiły się w olbrzymim labiryncie, dokonały swego żywota i wylądowały na końcu w śmieciach. Bovis zauważył ze

zdumieniem, że zwłoki prawie wcale nie uległy rozkładowi. Badania wykazały, że były w naturalny sposób zasuszone i zmumifikowane. Bovis szukał przyczyny i doszedł do wniosku, że to „automatyczne" zabalsamowanie można przypisać piramidalnemu kształtowi grobu.

Po powrocie do domu zaczął sprawdzać to zjawisko eksperymentalnie. Wykonał z drewna model piramidy, który był dokładną kopią piramidy Cheopsa (w odpowiednio zmniejszonej skali). Skierował szczyt na północ i umieścił w swoim modelu jeszcze świeże zwłoki kota (na dokładnie tej samej wysokości, na której w oryginalnej piramidzie znajdowała się komnata królewska). Umieścił tam też lekko nadpsute artykuły spożywcze. Stało się dokładnie to, czego Francuz się spodziewał: Martwe ciało kota przez długi czas nie ulegało rozpadowi i nie gniło. Podobnie rzecz się miała z artykułami spożywczymi – pozostały świeże dłużej, niż to się dzieje zazwyczaj. To wystarczyło badaczowi piramid za dowód, że kształt piramidy Cheopsa hamuje rozkład materii organicznej lub że przynajmniej opóźnia ten proces.

Gdy inżynier radiowy Karel Drbal z Pragi dowiedział się o tym, rozpoczął własne eksperymenty z małymi modelami piramid wykonanymi z papy i drewna. Czech doszedł do podobnych wyników jak Bovis, i zauważył, że „bez wątpienia istnieje związek pomiędzy wnętrzem takiej piramidy a procesami fizycznymi, chemicznymi i biologicznymi, które w nim zachodzą". Jego kontrowersyjne eksperymenty z tępymi żyletkami wywołały poruszenie. Po tygodniu przechowywania

w piramidzie żyletki ponownie stały się ostre, jak gdyby nigdy nie były używane. Drbal otrzymał w 1959 roku patent numer 91 304 na „urządzenie do utrzymywania ostrości żyletek i brzytew”.

Niestety nie udało się tego naukowo udowodnić. Stosowne eksperymenty przeprowadzono w latach 80. XX wieku na Uniwersytecie Technicznym w Monachium. Początkowo doświadczenia wykazały poprawę ostrości żyletek. Jednak fachowcy wyjaśnili, że przyczyniło się do tego żelazo zawarte w ostrzu. Cząstki żelaza oderwały się niezależnie od kształtu piramidy. Małym pocieszeniem dla osób wierzących w cuda może być fakt, że wielka piramida w Gizie z pewnością i tak nie została wzniesiona w celu ostrzenia żyletek. W sferze spekulacji pozostaje teza, czy mimo to kształt piramidy mógł jednak w jakikolwiek sposób przyczynić się do konserwacji materii organicznej. Wskazówką mogłyby być określenia, których starożytni Egipcjanie używali jako synonimów słowa piramida – „niebiańska izba” oraz „dom wieczności”.

Dla oficjalnej egiptologii to krypta faraona Cheopsa (2551–2528 p.n.e.) była jedynym zachowanym cudem z siedmiu antycznych cudów świata. Może tak było faktycznie, ale nie zdołano tego udowodnić. Nie tylko z tego powodu, że granitowy sarkofag w piramidzie Cheopsa podczas odkrycia był pusty, a mumii nie znaleziono do dziś, lecz także dlatego, że są niezgodności w datowaniu. Nieco tajemniczo wygląda też fakt, że Cheops, jako najprawdopodobniej najpotężniejszy faraon w starożytnym Egipcie, nie miał prawie nic do przekazania

potomności. W egipskim Muzeum Narodowym w Kairze ciężkie pancerne szkło chroni jego 7,6-centymetrową statuetkę. To jedyna zachowana rzeźba, która bez wątpienia przedstawia jego postać – to trochę mało, zważywszy na fakt, że był królem-bogiem, którego uważa się za budowniczego tej piramidy. Czy kamienny cud był tylko pomnikiem, postawionym dla zarozumiałego władcy?

Przeciwko takiej interpretacji przemawia wiele związanych z astronomią faktów, które odkryto podczas badań. Pierwotnie piramida Cheopsa miała wysokość 146,6 metra (dziś brak jej wierzchołka, dlatego mierzy 138,8 metra), liczba, która odpowiada odległości Ziemi od Słońca w milionach kilometrów. Po podzieleniu jej podstawy przez kwadrat wysokości uzyskujemy liczbę pi (= 3,141592654). Liczba ta wyraża w geometrii stosunek obwodu koła do jego średnicy. Wielkość obwodu piramidy Cheopsa do kwadratu odpowiada minucie kątowej równika: 1842,9 metra. Jest to odległość, którą obiekt pokonuje na równiku w ciągu jednej minuty, uwzględniając obrót Ziemi. Dla tradycyjnej egiptologii to wszystko przypadkowe zabawy liczbowe, podobnie jak zaskakujące odkrycie inżyniera budownictwa Roberta Bauvala, który komputerowo zrekonstruował starożytne niebo i odkrył zaskakujące zgodności pomiędzy gwiazdozbiorem Oriona (staroegipskim Ozyrysem) a punktem umiejscowienia piramid. Obserwując nieboskłon, można wyraźnie zauważyć coś, co zainteresuje nawet laików w dziedzinie astronomii – trzy gwiazdy na Pasie Oriona z lekko wygiętą osią mają identyczny

układ jak piramidy Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. Jeżeli układ monumentalnych budowli w Gizie był faktycznie wzorowany na gwiazdozbiorze Oriona, nasuwa się pytanie, jaki geniusz mógł w tamtych czasach stworzyć coś takiego? Skąd starożytni architekci czerpali tak głęboką wiedzę?

Naukowcy do dziś się głowią, jaką metodę stosowano podczas wznoszenia piramid. Jak zostały stworzone piramidy w Gizie? Sama piramida Cheopsa składa się z 3 milionów bloków skalnych o przeciętnej wadze 2,5 tony. Pomysły egiptologów utknęły na idei, że starożytni Egipcjanie postawili przy budowanej piramidzie prostą, spiralną lub zygzakowatą rampę. Materiał sprowadzony i użyty w tym celu musiałby mieć podobnie gigantyczną objętość jak sama piramida. Jak robotnicy zdołali przesuwać na długich linach kamienne bloki ważące tony? Za pomocą jakich narzędzi transportowali taki ciężar na krawędzie piramid? Jak wnosili ten ciężar na górę i dopasowali wyciosane kamienie w przeznaczonym dla nich miejscu z dokładnością co do milimetra? Dotychczasowe eksperymenty, które przeprowadzano na modelach, nie były zbyt przekonujące. Prawdopodobnie głazów nie transportowano pojazdami z kołami, ponieważ w owym czasie nie znano jeszcze koła. Jak to się ma do wiedzy matematycznej, zaszyfrowanej w wymiarach piramidy Cheopsa?

Niektóre fantastycznie brzmiące podania mówią o lewitacji. Ludzie i przedmioty unoszące się w powietrzu, jak gdyby nie istniała siła ciężkości? Znamy to z pokazów iluzjonistów. Czy nadprzyrodzone siły mogą wywołać ten sam efekt? Jest 230

katolickich świętych, którym przypisuje się zdolność lewitacji. Technikę tę mieli także opanować dzięki specjalnemu sposobowi oddychania tybetańscy mnisi. Dla kapłanów w kraju faraonów zagadki grawitacji prawdopodobnie również nie były czymś nadzwyczajnym. Według jednej z legend, gdy król kazał wybudować piramidy, kamienie miały ożyć. Magicznymi zaklęciami na blokach ułożono liście papirusu. Następnie jeden z wtajemniczonych uderzył kamienie laską, a te poruszyły się i zaczęły podążać tam, gdzie dziś stoją piramidy. Egipska baśń? Możliwe. Jednak za niezrozumiałymi zaklęciami może stać coś więcej, niż potrafimy pojąć. Przecież jeszcze nie tak dawno wysyłanie e-maila, który w ciągu sekundy przemierza tajemnicze kanały cyberprzestrzeni, traktowaliśmy jak niedorzeczny hokus-pokus.

Wielu ezoteryków wierzy, że za strukturą piramid i symboliką trójkąta kryje się nieodgadniona formuła świata, pewnego rodzaju kosmiczna wiedza, która stanowi przesłanie jakiejś upadłej cywilizacji dla potomnych. Jej praźródło jest głęboko zakorzenione w mitach i religiach na całym świecie. Symbol trójkąta znajdziemy na grawerunkach naskalnych z epoki paleolitu – trójkąt zwrócony wierzchołkiem ku górze symbolizuje męską potencję, zaś odwrócony trójkąt to żeński element świata, łono zdolne do rozmnażania. Trójkąt ma także znaczenie w filozofii alchemicznej. Tu męski symbol trójkąta odpowiada ogniowi, a trójkąt z wierzchołkiem na dole to symbol wody. Po nałożeniu obu symboli na siebie otrzymujemy znak oznaczający w nauce indyjskiej „boskie zjednoczenie, z

którego wszystko powstaje aż po wieczność". W Europie ten symbol kojarzy się przede wszystkim z żydowską gwiazdą Dawida, zwaną także pieczęcią Salomona. W wierzeniach ludowych to także symbol sztuki czarodziejskiej, ale i heksagram.

Obraz boga jako istoty podzielonej na trzy, czyli trójcy świętej, także odgrywa ważną rolę w symbolice piramid. Może się wydawać, że ma znaczenie ograniczone do wiary chrześcijańskiej, lecz trójca istnieje także w hinduizmie, w mitach starożytnej Grecji oraz religii staroegipskiej. W hymnie na cześć boga Amona z XIV wieku p.n.e. czytamy: „Jako trójca są wszyscy bogowie: Amon, Re i Ptah, nie istnieje nikt im równy. Ukryte jest jego imię jako Amon, jego twarzą jest Re, jego ciałem jest Ptah".

Najbardziej popularnym wizerunkiem piramid jest piramida z „wszystkowidzącym okiem boga". Jej pochodzenie odnajdujemy ponownie w mitologii egipskiej. Istnieją analogie do wizerunku „słonecznego oka boga Re". Wolnomularze posługiwali się często symbolem wszystkowidzącego oka, aby na jego podstawie nauczać, że wszechmocny budowniczy wszystkich światów przenika wszystkie tajemnice życia. Zagorzali wyznawcy teorii spiskowych, jak na przykład Dan Brown, przyczynili się do rozpoznawalności piramidy z okiem jako symbolu owianych tajemnicami iluminatów z XVIII wieku. Nie udowodniono wprawdzie, że symbol ma coś wspólnego z zakonem, ale na pewno można powiedzieć, że tajne stowarzyszenie wybrało na swój symbol sowę Minerwy.

Najbardziej charakterystyczny wizerunek piramidy to ten z okiem widniejący na amerykańskim banknocie jednodolarowym. Właśnie dlatego symbol ten jest często łączony z posiadaniem wpływów i zysków materialnych. Brak tu wprawdzie niezbitego dowodu na jego związek z wolnomularstwem i iluminatami, ale banknot skrywa sporo symboli liczbowych i obrazowych, które wzbudzają podejrzenia. Czy to przypadek, że na banknocie widnieje pieczęć z trzema symbolami – wagą, kątomierzem i kluczem? A rzymska liczba u podstawy piramidy, MDCCLXXVI, czyli 1776, oficjalny rok powstania stowarzyszenia Iluminatów w Bawarii? I dlaczego w górnym prawym rogu banknotu przy cyfrze 1 ukrywa się malutka sowa, którą można zobaczyć dopiero pod lupą?

Piramida z wszystkowidzącym okiem na rewersie banknotu o nominale jednego dolara. Ukryte symbole wolnomularzy i iluminatów? (Zdjęcie: Archiwum Reinharda Habecka)

Niektóre z tych historii są tak niedorzeczne, że muszą być prawdziwe, bo nawet autor scenariuszy z największą wyobraźnią nie byłby w stanie ich napisać, tylko prawdziwe życie potrafi je stworzyć.

Przykład takiej szalonej historii prowadzi nas do dżungli w Ekwadorze. Dwie godziny jazdy autem od wybrzeża Pacyfiku znajduje się tam stare terytorium poszukiwaczy złota, zwane La Mana. Pokłady złota już dawno zostały wyczerpane, większość sztolni została opuszczona. W jednym z korytarzy kopalni Guillermo Sotomayor, ekwadorski inżynier, dokonał w 1984 roku niewiarygodnego odkrycia: Dziesięć metrów pod ziemią odnalazł pojemnik, w którym znajdowało się 350 groteskowo wyglądających artefaktów z ceramiki, kamienia i metalu. Każdy z tych eksponatów stanowi zagadkę sam w sobie i ma cechy, które są nietypowe dla Ekwadoru: obco wyglądające rzeźby bogów w pozycjach jogi, kamienie z wygrawerowanymi symbolami piramid, spirale i inne geometryczne wzory, wypolerowane kamienne płyty i puchary ozdobione kryształami, których układ jest wzorowany na konstelacjach gwiazd, metalowy kask, obiekty z zaznaczonymi punktami odpowiadającymi ułożeniu czakr u człowieka oraz całe masy innych archeologicznych anomalii. Sotomayor odkrył, że większa część kuriozalnego zbioru daje zapierające dech w piersiach efekty pod wpływem promieniowania ultrafioletowego, emitując fosforyzujące czerwono-niebieskie światło.

Dotyczy to szczególnie najbardziej znamienitego eksponatu kolekcji: kamienia w kształcie piramidy wysokości 21 centymetrów, szerokości 24 centymetrów i głębokości 7 centymetrów, w którym wygrawerowano 13 stopni z fluorescencyjnymi elementami, a nad wszystkim umieszczono oko ze źrenicą. Gdy uniesiemy kamień i zajrzymy pod jego spód, ukaże się kolejna osobliwość: symbole przypominające pismo i punkty umieszczone zgodnie z układem gwiazdozbioru Oriona. Unikatowy eksponat wygląda dokładnie jak sławny rysunek na rewersie jednodolarówki. Czy znalezisko z Ekwadoru stanowiło pierwowzór motywu na amerykańskim banknocie? Byłaby to ogromna sensacja. Ale ile lat liczy tak naprawdę kamień? Jak ten artefakt dostał się wraz z innymi obcymi obiektami do centrum Andów? Czy jakiś utalentowany artysta pozwolił sobie na żart? Kto zadał sobie tyle trudu, przemyślał w tak wyrafinowany sposób symbolikę okultystyczną, stworzył z mozołem świetliste kamienie, żeby potem złożyć wszystko w tajemnicy w podziemnej sztolni i po prostu tam pozostawić?

Dziwne przedmioty są znane od ćwierćwiecza. Pomimo to nie poddano ich żadnym analizom naukowym. Skomplikowane badania są kosztowne. Publiczne instytuty badawcze nie są wystarczająco ambitne, by zająć się datowaniem i pochodzeniem tych niesamowitych znalezisk, ponieważ nie mają one cech łączących je z kulturą prekolumbijską. Nie możemy też zadać żadnych pytań ich znalazcy – Guillermo Sotomayorowi, ponieważ zmarł po ciężkiej chorobie w 2005

roku. Dziś tych osobliwych skarbów strzeże German Villamar, miejscowy rolnik z zamiłowaniem do ezoteryki.

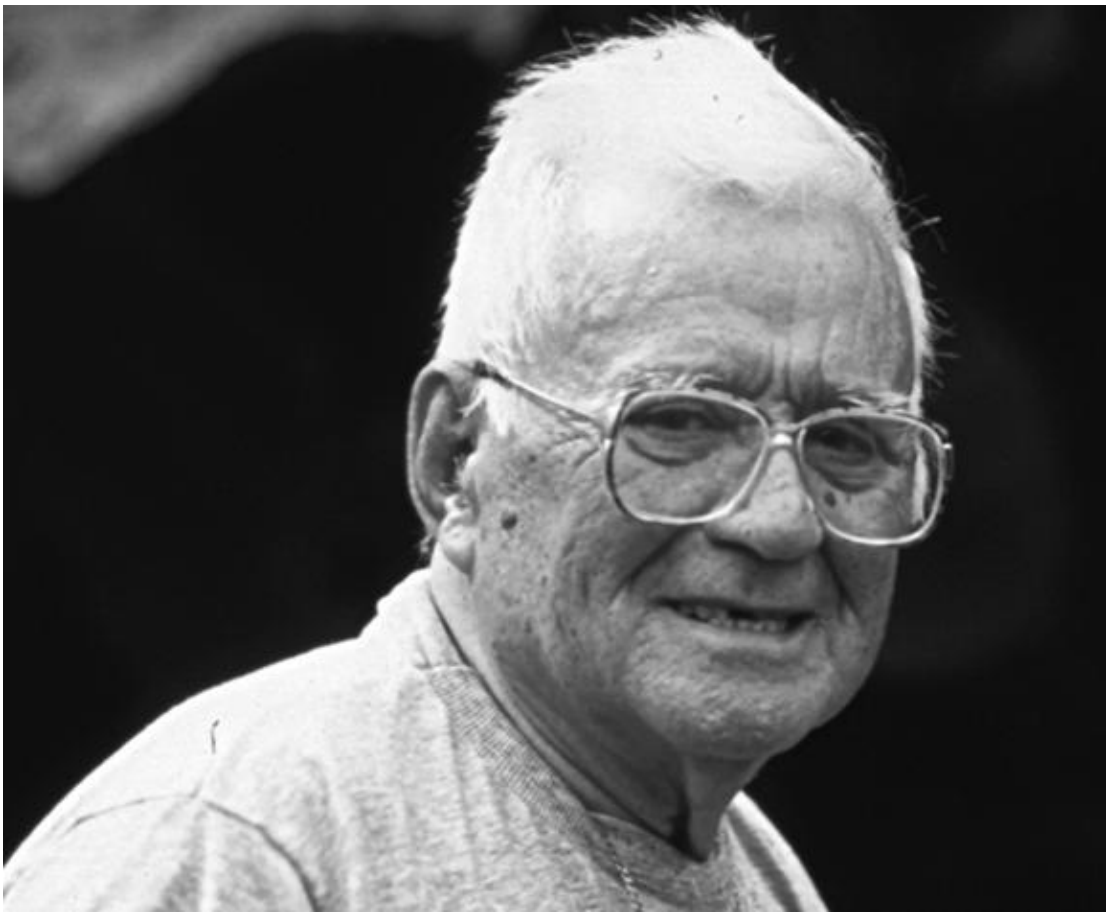

W 1984 roku Guillermo Sotomayor dokonał w opuszczonej kopalni złota niewiarygodnego odkrycia: w wielu naczyniach ceramicznych znajdowały się setki dziwnych artefaktów. Do dziś nie udało się ustalić, kto i dlaczego je tam pozostawił. (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

Rozwiązanie zagadki artefaktów może mieć coś wspólnego z La Maną – miejscem ich odkrycia. Nazwa miejscowości przypomina brzmienie pojęć znanych z innych kultur. Na

przykład w staroindyjskich tekstach w sanskrycie „mana” oznacza tyle co duch lub ciało mentalne. Polinezyjczycy i Malezyjczycy także znają pojęcie many. Łączą je z magiczną siłą decydującą o ich życiu. W leksykonie etnologicznym pod hasłem „mana” znajduje się następująca definicja: „Pod tym pojęciem rozumiemy duchowość lub moc tkwiącą w każdym żywym stworzeniu, ale którą można także przenosić na przedmioty i którą pojmujemy jako coś transcendentalnego lub metafizycznego”.

Wejście do dawnej kopalni złota La Mana w Ekwadorze. Tutaj, 10 metrów pod powierzchnią ziemi, odkryto tajemnicze świecące obiekty, których pochodzenie wciąż pozostaje zagadką. (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

To dokładnie te same cechy, które przypisuje się uzdrawiającej cudownej mocy piramid. Ktokolwiek wykonał te świetliste obiekty, musiał mieć ważki powód, by je złożyć w opuszczonej kopalni złota w La Mana. Co było powodem? Skąd pochodzą te niesamowite eksponaty? Kto, kiedy i w jakim celu je wykonał? Te tajemnice trzymają nas w napięciu jak kryminalno-archeologiczna powieść. I tylko jedno pozostaje jasne jak słońce: ostatni rozdział nie został jeszcze napisany...

Nauka i wiara

Dla ludzi, którzy szukają cudów, zwyczajny świat jest pełen zadziwiających rzeczy. Jednak jeżeli chodzi o udowodnienie ponadzmysłowych fenomenów, które działają wbrew wszelkim zasadom, musimy przyznać, że jest to dość mozolny proces. Oceny istniejących dowodów dokonuje się zazwyczaj w sposób kontrowersyjny. Ale właśnie to jest ciekawe i fascynujące w tej tematyce. Rozwiązane problemy już nas nie interesują, to właśnie te nierozwikłane są najbardziej ciekawe, te, które do rozwikłania angażują nasz mózg. Zjawiska paranormalne nie zachodzą o określonych porach dnia – występują nagle i niespodziewanie. Bardzo ciężko uchwycić zarówno zjawiska metafizyczne, jak i zdolności parapsychologiczne, ukrytą energię Ziemi czy zjawy duchowe. Jednak jedna z zasad przyrodniczych brzmi, że eksperymenty mają moc dowodową

tylko wówczas, gdy inny badacz może dojść do takiego samego wyniku, stosując identyczną metodę wykonania doświadczenia. W jaki sposób zachęcić ducha, piorun kulisty czy Dziewicę Maryję, aby pojawili się o określonej porze i pozostawili po sobie ślady, które można będzie zmierzyć pod względem fizykalnym?

Dla nauk ścisłych liczy się tylko to, co spełnia naukowe kryteria i co potrafimy dostrzec naszymi zmysłami. Zjawiska na pograniczu nauki rządzą się swoimi prawami. Dlatego jedynie nieliczni uczeni znamienitych szkół dostrzegą w zjawiskach występujących spontanicznie opłacalny cel badań. Podobne obawy wzbudzają inne nieprawdopodobne zjawiska, jak tajemnice UFO, symbole w zbożu, praktyki okultystyczne czy enigmatyczne stwory. Dla krytycznego umysłu nie będą niczym innym jak iluzją, zabobonem lub oszustwem. Pomijając brukowce, nadnaturalne zjawiska pozostają tematem tabu dla mediów naukowych i audycji telewizyjnych. Najwidoczniej groźba narażenia się na wyśmianie, jak to się często zdarza, odstrasza przed podjęciem tematu nieprawdopodobnych historii. Jeżeli zjawiska paranormalne stają się tematem nagłówków gazet, dzieje się to pod lupą naukowych stróżów, którzy wszędzie węszą oszustwa, herezje i fałszerstwa.

Nie można zaprzeczyć, że większość spektakularnych zjawisk pozazmysłowych okazała się figlami, spłatanymi przez pomysłowych iluzjonistów, szarlatanów i błaznów. Nikt nie zaprzeczy, że nasze subiektywne postrzeganie może nam czasem spłatać figla i stajemy się ofiarami złudzeń własnych

zmysłów. Najbardziej przekonujący argument sceptyków brzmi: dotychczasowe badania wykazały, że nie da się w kontrolowanych warunkach naukowo udowodnić istnienia wrażeń pozazmysłowych. A co, jeżeli pewnego dnia by się to udało? Czy byłoby wtedy w dalszym ciągu zaliczane do zjawisk paranormalnych? Snucie takich rozważań prowadzi do szeroko rozpowszechnionego poglądu, że zjawiska, których się nie da udowodnić ani wyjaśnić, po prostu nie istnieją.

Urojenia zamiast rzeczywistości? Czy można dopuścić twierdzenie, że wszystko jest złudzeniem? Przecież tak samo brak jest dowodu naukowego, że inne rzeczywistości NIE istnieją. Wynikiem jest zacięta walka poglądów pomiędzy nauką a ezoteryką. Przeciwnikom teorii o zjawiskach paranormalnych wydaje się, że człowiek wierzy w zjawiska pozazmysłowe, ponieważ ta wiara zaspokaja jego potrzeby religijne. Chce wierzyć w nierealne zjawiska, choć jego logika temu zaprzecza. Ja sądzę, że istnieje tak samo silna potrzeba braku wiary. Założenie, że Mars przybiera czerwony kolor dopiero wtedy, gdy ktoś na niego spojrzy, może wzbudzać chęć zaprzeczenia, a nawet agresję. Ta oczywista postawa obronna ma też coś wspólnego ze strachem przed zjawiskami nowymi i nieznanymi, które postawiłyby na głowie wszystkie dogmaty, które dotychczas uznawano za jedynie właściwe. Moja teza brzmi następująco: za niedowierzaniem lub nawet wrogością wobec zjawisk, których nie można wyjaśnić, nie kryje się prawdopodobnie nic innego jak skrywany strach. Ale kto boi się czegoś, o czym i tak myśli, że to nonsens? Z drugiej strony: kto

się nie boi czegoś, co mogłoby zmienić podstawę jego widzenia świata, a co mogłoby nie być całkowitym nonsensem?

Nowe rewolucyjne idee, które przeczą dotychczasowej nauce, zawsze wywołują przerażenie i opór. Świadczy o tym cała historia nauki. Jej ścieżka jest długa, wyboista i wybrukowana błędami. Nie istnieje jedna niezbita prawda. Gdyby tak było, jeszcze dziś wierzylibyśmy, że Ziemia jest płaska i znajduje się w centrum wszechświata. Nie wiedzielibyśmy nic o tym, że wśród dróg mlecznych istnieją gigantyczne czarne dziury, tak gęste, że nawet światło nie może im umknąć. Nie wiedzielibyśmy też nic o dziwnych cząstkach neutrino, które mogą pędzić między planetami tak szybko, jak gdyby ich wcale nie było. Środki komunikacji, jak na przykład kolej żelazna, pozostałyby w sferze utopii, gdyby nadal wierzono wyjaśnieniom naukowym z XIX wieku. Nadal istniałyby obawy, że „błyskawiczne przemieszczanie się wagonów wywoływałoby u pasażerów wstrząs mózgu, a u widzów zawroty głowy i inne przypadłości nerwowe, dlatego szyby trzeba by otaczać grubymi ścianami z drewna, aby chronić publiczność przed widokiem kolei”.

Takie obawy wywołują dziś jedynie uśmiech, podobnie jak przyszłe pokolenia będą się uśmiechać na wspomnienie o obecnych zdobyczach high-tech, takich jak Internet, telefony komórkowe czy skanowanie ciała. A gdyby się potwierdziły wyobrażenia o rzeczywistości ponadzmysłowej? Jakie by to mogło mieć konsekwencje? Jedno pozostaje pewne – zburzyłoby to gruntownie nasz racjonalny obraz świata.

Jednym z ludzi, którzy wierzą w możliwość istnienia zjawisk dziś traktowanych jako niemożliwe, jest Anton Zeilinger, dociekliwy fizyk eksperymentalny. Jako profesor Uniwersytetu Wiedeńskiego intensywnie bada wraz ze swoimi pracownikami dziwne zachowania najmniejszych cząstek.

Jego badania toczą się wokół eksperymentów z nierealnie brzmiącą teleportacją przez wykorzystanie tak zwanego stanu splątanego cząstek światła. Można sobie to wyobrazić w następujący sposób – dwie kostki do gry, które rzucimy w tym samym czasie, dadzą zawsze ten sam wynik. Brzmi to trochę jak czary, ale jest rzeczywistością w świecie kwantów, w którym mamy do czynienia nie z kostkami do gry, tylko z atomami, elektronami i fotonami. Albert Einstein (1879–1955) nazwał to zjawisko „widmowym działaniem na odległość". Istnieje przy tym pewna fizyczna zagadka: dwie cząstki zachowują się tak, jakby stanowiły jedność, pomimo dużej odległości pomiędzy nimi. Gdy jeden z bliźniaków zmienia swój stan, drugi to wyczuwa i zmienia się wraz z pierwszym. Nie wiadomo, jak działa ta telepatyczna wymiana informacji. Ale działa, co Zeilinger udowodnił w 2003 roku po raz pierwszy podczas eksperymentów, w których teleportował splątane cząstki bez żadnych kabli przez Dunaj.

Jakie możemy stąd wyciągnąć wnioski dla naszej tak zwanej rzeczywistości? „Moim zdaniem", filozofuje Zeilinger, „nasz obraz świata – rzeczy, które nazywamy rzeczywistością, drzwiami, stołem, skrzynką, wraz z całokształtem ich cech – nie egzystują zupełnie niezależnie od wiedzy, którą posiadamy na

ich temat. Nie można tego jednak uprościć w ten sposób, żeby sobie móc powiedzieć: Aha, to wszystko jest tylko w naszej głowie. To dużo bardziej skomplikowane. Prawdopodobnie nie potrafimy oddzielić rzeczywistości od wiedzy lub rzeczywistości od informacji. Cały obraz świata jest otwarty. Istnieje dużo więcej możliwości, niż sądzimy lub niż chcielibyśmy do tego dopuścić. Wiedza o tym powoduje, że czujemy się czasem nieswojo – ludzie potrzebują przecież pewności absolutnej, a dostają tylko pewność hipotetyczną".

Czy więc można sobie tak samo wyobrazić, że duch i materia są w przepływie informacji „splątane" w podobny sposób, który pozostaje dla nas jeszcze niewyjaśniony? Tym samym dotarliśmy znowu do świata paranormalnych sił, duchów i zjawisk metafizycznych. Większość badaczy takich zjawisk zauważa dziś zbieżność z zaskakującymi odkryciami teorii kwantowej. Pytanie brzmi: czy zjawy oraz inne podobne efekty można zaliczyć do sfery sugestii lub złudzeń postrzegania, jak twierdzą sceptycy, czy też raczej nasze modele wyobrażenia rzeczywistości są niewystarczające?

Wiele z ludów pierwotnych traktuje pozazmysłowość w sposób bardziej otwarty – bezcielesne niewidzialne stworzenia są częścią rzeczywistości. Z pomocą szamanów, którzy wchodzą w trans lub ekstazę, łączą się z innym światem lub światami duchowymi. Nie jest czymś nadzwyczajnym, że starają się sprowadzić takie istoty do naszego świata. To część przeżywanej przez nich rzeczywistości. Wyobrażenie o wszechobecnym działaniu nadprzyrodzonych duchów i bogów

to taka sama wiara, jak wiara w działanie magicznych sił. Z perspektywy duchowego rozumienia świata przez ludy pierwotne, cały kosmos jest pełen duchowych istot. Co sprawia, że jesteśmy tak pewni, że to właśnie nie jest prawdziwa rzeczywistość?

Włoski badacz zjawisk paranormalnych, Ernesto Bozzano (1862–1943), udokumentował w zrozumiały sposób istnienie takich zjawisk w swojej książce *Popoli Primitivi e Manifestazioni Supernormali* (Zjawiska pozazmysłowe wśród ludów pierwotnych). Bozzano opowiada na przykład o szamańskim rytuale „shaking tent", czyli „trzęsący się namiot", który zaobserwowano w 1939 roku wśród kanadyjskich autochtonów. Podczas rytuału dochodziło do pojawiania się zagadkowej świetlistej postaci, która była widziana przez wielu świadków. Rytuał rozpoczynał się kilkugodzinnym biciem w bęben i tańcami, które trwały do momentu, aż namiot unosił się nad ziemią i „w miejscu, w którym stał, ukazywała się postać postawnego Indianina w białych szatach. Po tym, jak namiot był już tak wysoko, że postać mogła swobodnie stać, ten Indianin dłonią wykonywał powitalny gest, a wszyscy pozostali Indianie zaczynali go gorąco witać. Następnie namiot zaczynał powoli opadać i zanim dotknął ziemi, jeszcze można było widzieć białe mokasyny postaci, po czym mogliśmy obserwować, jak znikają z tego miejsca…"

Czy były to naiwne zabobony prymitywnej naturalnej religii, czy przejaw istnienia ukrytej rzeczywistości, którą musimy dopiero odkryć w naszej erze nowoczesnych komputerów?

Polski poeta i aforysta Stanisław Jerzy Lec (1909–1966) miał pewną proroczą teorię: „W rzeczywistości wszystko wygląda inaczej, niż jest naprawdę”.

LEGENDARNE CZASY

Kto chce odczytać przyszłość, musi poznać przeszłość.

André Malraux (1901–1976)

Skarby z Untersbergu, podziemne moce i niesamowite szczeliny w czasie

Jedno zajmuje nas wszystkich: zjawisko czasu. Każdy jednak używa tego terminu i interpretuje go inaczej. Różnice te znajdują wyraz w zwrotach i powiedzeniach. „Czas jest przeciwko nam”, notuje futurolog Clark. Historyk Willi wzdycha: „Czuję już ząb czasu”. Lekarz Algund pociesza: „Czas leczy wszystkie rany”. Fotograf Bernhard pokazuje na zdjęciach „upływ czasu”. Artysta Udo twierdzi, że: „Jego obrazy są ponadczasowe”. Jednocześnie statystyk Dietmar oblicza „wartość w danym czasie”, aby możliwie szybko i wydajnie opróżnić lodówkę. Nie bacząc na to, teoretyk spisków Victor ostrzega: „Siedzimy na bombie czasowej”. Badaczka Majów Gisela sądziła, że 21 grudnia 2012 roku nastąpi „koniec czasu”. Pastor Walter-Jörg macha na to ręką: „Na apokalipsę nie mam wcale czasu”. Terapeutka Elvira stwierdza: „To mój najpiękniejszy czas”. Pielgrzym Janosch biadoli: „Ucieka mi czas”.

Wypowiedzi takie jak te odnoszą się do upływu nieokreślonego czasu i niejasnych okresów czasu. Czas, w znaczeniu godziny na zegarze, wymaga technicznego

przyrządu pomiaru. Z punktu widzenia fizyki czas jest określany poprzez kolejność zdarzeń. Kierunek jest stały: wczoraj, dziś i jutro. Teraźniejszość wyłania się z przeszłości i zmierza ku przyszłości, która jest przed nami. Nie może zdarzyć się na odwrót, że przyszłość była wczoraj. A może jednak?

„Cudowna góra" wiecznie wabi nas

Miejsce, gdzie na słowa: „Sezamie, otwórz się", aktywuje się portal czasu? Brzmi to utopijnie, ale cały tuzin takich bram można podobno znaleźć całkiem niedaleko – w Alpach Salzburskich, pomiędzy miejscowościami Grödig i Berchtesgaden.

Tu, na pograniczu bawarsko-austriackim, wznosi się majestatycznie, wysoka na prawie 2000 metrów, legendarna góra Untersberg. Osobliwy masyw od zawsze przyciągał swym urokiem krajoznawców, mistyków, ezoteryków i alpinistów. W języku ludowym nosi nazwę „Cudownej góry". To odpowiednie miano, bo związane z wieloma niewiarygodnymi historiami i zagadkowymi zdarzeniami. Najstarszą pisemną wzmiankę odnoszącą się do masywu znaleźć można w dokumencie arcybiskupa Konrada IV z Salzburga, wydanym 28 czerwca 1306 roku. Mowa w nim o „Undarnsperch". Termin ten odnosi się do tego, co „poniżej". Skąd jednak takie określenie? Czy

chodzi w nim o świat podziemny? Miejsce po tamtej stronie, gdzie przebywają nadludzcy bogowie?

Niektórzy historycy rozpoznają w nim jedynie rozpowszechnione w okolicy określenie podwieczorku. Gdy dla patrzących z Salzburga słońce stało ponad górą, był to znak, że już czas na posiłek i odpoczynek. Mnie bardziej przekonuje jednak starsza interpretacja, zgodnie z którą znaczy to „góra niższych" czy „skryci w górze". Określenia te bardzo trafnie oddają zdarzenia związane z „Cudowną górą". Jest bowiem mnóstwo legend i podań, które opisują, jak prostoduszni ludzie nieoczekiwanie napotykali osobliwych mieszkańców góry. Mówi się, że ludzie ci byli uprowadzani przez dziwne istoty w głąb pustego wnętrza masywu. Mieli tam oglądać czarodziejską krainę, o której potem – po powrocie do realnego świata – opowiadali baśniowe wręcz historie.

W większości opowieści karły służą jako przynęta. Opisywane istoty nie odznaczają się urodą, nie są większe od małego dziecka, mają podobną do człowieka postać oraz często szarosiną cerę. Nikt trafniej i bardziej poetycko nie opisał charakteru rodu karłów z Untersbergu niż austriacki literat H.C. Artmann (1921–2000): „Zazwyczaj są one, z nielicznymi wyjątkami, delikatnie niebieskie, piękne jak nienarodzeni synowie, uprzejme, nieobliczalne, brzydkie jak wstrętne ogony węży, pomocne, zmysłowe aż do skrajności, oddane nauce, upiornie przejrzyste jak błędne ogniki, nieuchwytne, ciepłe jak mięso lub krew człowieka albo zwierzęcia, lekkie jak dym na wietrze, ciężkie jak nieprzetopione srebro, malutkie,

różanookie, sięgające poprzez ściany i jaskinie górskie aż do gwiazd, przepastnie złośliwe, bez skazy jak kryształ lub prędkie jak planety we wszechświecie pyłku kurzu”.

Galeria dziwacznych marmurowych karłów z początku XVIII wieku, ogrody Mirabell w Salzburgu. Nie wiadomo, kto je stworzył. Od stuleci ludzie twierdzą, że byli wabieni przez te istoty w głąb Untersbergu. Tylko przesąd czy też coś się za tym kryje? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Wydaje się, że skrzaty są niezwykle utalentowane. To dziwne, ale w ich środowisku czas często wariuje, tak jak to miało miejsce w słynnym podaniu związanym z Untersbergiem – o porwanych nowożeńcach. Opowiada się mianowicie w Ziemi Salzburskiej o zaginionym orszaku ślubnym. Wesele odbywało się najpierw w domu pana młodego, a potem zabawa miała być kontynuowana w sąsiedniej wsi, gdzie mieszkali rodzice panny młodej. Świeżo poślubieni małżonkowie wyruszyli w drogę razem z rozbawionymi gośćmi weselnymi i śpiewającymi muzykantami. Gdy dotarli do Untersbergu, ponoć rozwarła się nagle ściana skalna, jakby poruszona ręką ducha, i stanął przed nimi „szary człowieczek". Zebrani byli zdumieni, ale też na tyle zaciekawieni, aby podążyć za karzełkiem w głąb góry. Grupa przechodziła przez szereg pełnych przepychu pomieszczeń, aż dotarła do komnaty z suto zastawionym stołem. Wszyscy zasiedli do stołu, po czym jedli i pili, ile dusza zapragnie. Być może źle zrobili, bo „zaraz po posiłku zasnęli". Jakie osobliwe jadło spożyli? Czy zostało ono specjalnie przygotowane, by działać jak silny środek nasenny?

Gdy się przebudzili, upiorny karzeł wyprowadził ich z wnętrza góry. Gdy wyszli na powierzchnię, skonsternowani

goście weselni stwierdzili, że znane im otoczenie zmieniło się nie do poznania. Choć słońce jasno świeciło, nie rozpoznawali okolicy. Ludzie, których napotykali, ledwie rozumieli ich język. Długo błądzili, nim doszli do pewnej wioski. Gdy zapytali, jak się ta nazywa, w odpowiedzi usłyszeli nazwę swej rodzinnej wsi. Mimo to mieli wrażenie, jakby znajdowali się w obcym kraju, bo tam, gdzie niegdyś stały ich domy, wznosiły się inne, nowo postawione budynki. Młoda para wraz ze swą świtą poszła po radę do miejscowego proboszcza. Ten otworzył starą kronikę wsi i znalazł w niej zapis, że przed ponad stu laty (inne teksty mówią o pięciuset latach) zniknęła na zawsze młoda para wraz z weselnymi gośćmi.

Oto relacja z zadziwiającej podróży w czasie. Skąd jednak pochodzą tak osobliwe historie? Wiemy, że już w epoce rzymskiej i przedchrześcijańskiej górze przypisywano szczególne znaczenie. Dowodzą tego liczne ślady osadnictwa Celtów, a także eksploatowane tu za panowania Rzymian kamieniołomy, skupione wokół Untersbergu. Jednak dopiero od XVI w. „eksploduje” liczba kuriozalnych opowieści o „duchach kopalń”, „dzikich kobietach” oraz „ludziach uniesionych do wnętrza jaskiń”.

W przekazie o zaginionym orszaku ślubnym nie ma dat i nazwisk wskazanych osób. Wspomniane wsie to prawdopodobnie miejscowości St. Leonhard oraz Grödig. Historycznych dowodów jednak brak, a zatem poważne sprawdzenie opisywanych wydarzeń nie jest możliwe. Ponadto rzuca się w oczy, że opowieść z okolic Untersbergu wykazuje

znaczne podobieństwa do legendy o siedmiu śpiących z Efezu. Przypadek? Czy chodzi o takie same zjawisko przesunięcia w czasie w całkowicie odmiennych lokalizacjach? A może mamy do czynienia z podaniem wędrownym, które w średniowieczu powtarzane było na nowo, w lekko zmienionej formie, w wielu różnych miejscach?

Można by przyjąć tę ostatnią interpretację, gdyby nie podobieństwa, które liczą sobie kilkaset lat i które można znaleźć po obu stronach oceanu. Wystarczy pomyśleć o świętej górze Mount Shasta w Kalifornii. Ten wysoki na 4317 metrów szczyt przecięty jest systemem jaskiń. Legendy głoszą, że w olbrzymim masywie skalnym znajduje się ukryte miasto, a w górze gnieżdżą się „mali ludzie". Mają oni rzekomo mieć zdolność ukazywania się, kiedy sami zechcą, i stawania się w razie potrzeby niewidzialnymi. To samo można znaleźć w podaniach z Untersbergu, a przy tym istnieje mnóstwo dobrze udokumentowanych przypadków, w których aż po dzień dzisiejszy zostały obrazowo opisane anomalie czasowe i ich efekty uboczne.

Najstarszy rękopis odnoszący się do tego zjawiska jest dziełem pisarza miejskiego i jurysty Martina Pegiusa. W jego pismach odkryto dzieło z 1582 roku, które donosi o „cudach w Untersbergu pod Salzburgiem". Warto zauważyć, że Pegius nie tylko powtarza zasłyszane opowieści, lecz także uwzględnia własne przeżycia. Pisze o zagadkowych spotkaniach z „kobietami z Wenus", „karłowatymi istotami", „historycznymi postaciami ze starożytności" i o jaskiniach rozpromienionych

światłem „dużego jasnego karbunkułu”. Wspomniane są także zjawiska czasowe. I tak jego małżonka miała mieć kontakty z podobną do anioła kobietą z Untersbergu, która dała jej się poznać jako „królowa Saby”. Data pierwszego spotkania została dokładnie określona: niedziela 19 lutego 1581 roku. Czarodziejka zażądała od pani Pegius, aby ta na trzy lata „obiecała się” do wnętrza góry. Ta z początku odmówiła, ale potem posłuchała wezwania tajemniczej damy. W efekcie trzy lata skurczyły się do kilku chwil. Gdy żona Pegiusa po niecałej półgodzinie opuściła świat podziemny, opowiedziała o wielu cudach, które miała ujrzeć. Jej mąż z zapałem spisał te przeżycia i pozostawił potomnym pełny przygód utwór literacki.

Lazarus i „kod Untersbergu”

Centralnym mitem związanym z Untersbergiem jest „Historia Lazarusa”. Wydaje się ona jeszcze bardziej tajemnicza. Ponieważ może stanowić klucz do poznania prawdy, warto dokładniej zbadać i przeanalizować przedstawione tam przeżycia. W zależności od charakteru pisma lub rysunków akcja jest przesuwana na pierwszą połowę XVI lub XVII wieku. Dokumenty są przechowywane w Muzeum Salzburskim, Salzburskim Archiwum Krajowym lub znajdują się w posiadaniu prywatnym. O ile wiadomo, istnieje 18 wersji

dokumentu, a wszystkie zostały przepisane dopiero w XVIII wieku. Istota podania jest zawsze ta sama: Mnich prowadzi Lazarusa do wnętrza góry, gdzie objawia mu się ukryte zaczarowane królestwo. We wszystkich wariantach akcja odnosi się do dawno minionych wydarzeń. Mogły zatem istnieć starsze teksty źródłowe, które albo zaginęły, albo nie zostały jeszcze odkryte, albo też zostały zniszczone.

Z zachowanych źródeł jasno wynika, że w historii Lazarusa za każdym razem główną postacią opowiadania jest pomocnik pisarza miejskiego z Bad Reichenhall. Jego imię pozostaje zawsze jednakowe – Lazarus, kłopoty sprawia tylko nazwisko. W zależności od wersji brzmi ono Günzner, Gitschner, Giczmayr, Geuer, Myntzler, Eitzner lub Aigner. Czy te odstępstwa można rzeczywiście wyjaśnić tylko i wyłącznie zmianą w czasie pisowni tego samego nazwiska rodowego? To rozsądnie wytłumaczenie nie jest tak naprawdę przekonujące.

A może jest tak, że imię Lazarus, czyli Łazarz, ma głębokie symboliczne znaczenie w kontekście legendy o Untersbergu? W języku hebrajskim imię to znaczy „Bóg dopomógł”. W Ewangelii według św. Jana Jezus cudownie wskrzesza ze zmarłych pochodzącego z Betanii mężczyznę imieniem Łazarz. Od tego czasu jest on patronem grabarzy. Kryptozoolodzy mówią o „efekcie Łazarza”, kiedy natykają się na przedstawicieli gatunku zwierząt, który uważano za wymarły. W medycynie mówi się o „zjawisku Łazarza”, gdy osoba błędnie uznana za zmarłą w rzeczywistości wciąż żyje i doświadcza pozornego

zmartwychwstania. We francuskim mieście Autun mają spoczywać doczesne szczątki św. Łazarza.

Nikt natomiast nie ma pojęcia, gdzie może znajdować się miejsce pochówku „naszego" Lazarusa z podania o Untersbergu. Wiemy tylko jedno: w wieku 65 lat, na krótko przed śmiercią, Lazarus miał powierzyć spadkobiercom swoje osobiste notatki zawierające opowieść o jego przeżyciach. Niemiecki badacz podań Leander Petzoldt, u którego Lazarus nosi nazwisko Gitschner, zaznacza w tym miejscu: „Pozostawił on syna Johanna (chłopa zamieszkałego w Bergheim pod Salzburgiem), który później wszystkim chętnie opowiadał, co jego ojciec zobaczył na Untersbergu".

Historia o przejściu do innego świata oraz późniejszym powrocie do znanej rzeczywistości jest niezwykła. Przypomina ona powrót z królestwa zmarłych. *Nomen est omen* – imię jest znakiem, ale czy na pewno dobrze je interpretujemy? Z podania o Lazarusie wiemy, że aż po dziś dzień było ono wciąż na nowo powtarzane i językowo dopasowywane do zmieniających się czasów. Z jednej strony to dobrze, bo przeszłość dzięki temu pozostaje w naszej pamięci, z drugiej strony powstaje niebezpieczeństwo, że pierwotna wypowiedź została zniekształcona w trakcie jej powtarzania. Nie musi to być działanie celowe, tak się po prostu dzieje, podobnie jak w dziecięcej grze w głuchy telefon, podczas której wiadomość przekazywana jest szeptem do uszu kolejnych uczestników zabawy, a na końcu otrzymujemy coś niejasnego, przekręconego lub całkowicie bezsensownego.

Niektórzy historycy sądzą, że pierwotnie historia ta została napisana w XVI wieku przez jakiegoś duchownego z klasztoru Kanoników Regularnych św. Augustyna pod wezwaniem św. Zenobiusza w Reichenhall. Pewne motywy opowieści przywodzą na myśl wizję Mechtyldy z Magdeburga (około 1207–1282), która została spisana w XIII wieku. Można także znaleźć podobieństwa do Apokalipsy św. Jana. Czy są przypadkowe zbieżności, czy inspiracje literackie, pozostaje tylko kwestią domysłów.

Trzymajmy się tej relacji, w której niewiarygodne wydarzenia mają najwcześniejszą datę, mianowicie rok 1523. W rękopisie noszącym tytuł *Proroctwo, które wydarzyło się w Undterspergu koło Reichenhall w roku 1523* Lazarus Günzner opowiada w pierwszej osobie. Wbrew innym interpretacjom znaczy to, że autor opisuje wydarzenia z pierwszej ręki, sam jest narratorem i osobiście przedstawia to, co widział na własne oczy i co uznaje za prawdę. Moim zdaniem okoliczności przemawiają za tym, że Lazarus Günzner sam jest autorem tekstu. Nawet więcej: Lazarus wymienia osoby, które razem z nim mogą poświadczyć zaskakujące odkrycie na Untersbergu. Kronika przechowywana jest w Muzeum Salzburskim, nosi numer archiwalny Hs. 2398 i zawiera 21 ilustracji. Obok rękopisu Pegiusa notatki Lazarusa Günznera uchodzą za najstarsze pisemne źródła podania o Untersbergu.

W staroniemieckim oryginalne jest napisane:

> …na Undtersperg koło Salzburga poszedłszy na spacer, wraz z moim panem pisarzem miejskim, proboszczem miejskim panem

> Martinem, panem Pflegerem i jeszcze jednym mieszczaninem z Reichenhall, idąc nad głębokim wądołem, wąską ścieżką, naszliśmy byli jamę, wielką jak hala kościelna, i to przed Wysokim Tronem. W środku był napis, wyryty na ścianie srebrnymi literami, który zatem przeczytaliśmy i obejrzeliśmy, po czym na powrót ruszyliśmy do domu. Gdy już byliśmy w domu, rozmawialiśmy tam o tym napisie, po czym mój pan pisarz miejski i proboszcz pan Martin wysłali mnie na powrót w górę, abym przepisał dla nich ten napis, co też uczyniłem i sam ruszyłem w górę, co działo się ostatniego dnia Najświętszej Panienki na jesieni, często mnie też tak posyłali, a gdy tylko wszedłem na górę, spisałem wszystko, a to właśnie wyryte było srebrnymi literami…

Dowiadujemy się zatem, że Lazarus Günzner maszerował wraz ze swymi kolegami jesienią nad głębokim wąwozem w okolicach Wysokiego Tronu (Hochthron). Czy chodzi tu o górę o tej nazwie w okolicach Salzburga, czy też Berchtesgaden? Z opisu nie wynika to jasno. Można jednak przyjąć, że „głęboki wądół” to określenie najbardziej charakterystycznej formacji skalnej na Untersbergu – przełęczy Mittagsscharte. Leży ona bezpośrednio na granicy między Bawarią a Krajem Salzburskim. Podobno można tam obserwować liczne zjawiska świetlne i słoneczne, a także anomalie czasowe. Ludzie opowiadają, że co kilka lat na Matki Boskiej Zielnej, a więc 15 sierpnia, otwiera się tam portal czasu i możliwy jest przeskok do nieznanego świata równoległego.

W podaniu z Untersbergu Lazarus prowadzony jest przez anonimowego mnicha do wnętrza góry, gdzie objawia mu się czarodziejska kraina. (Ilustracja: R. Freisauff, 1880)

Interesujące, że w bezpośredniej bliskości znajduje się jaskinia nazywana Steinerner Kaser. Przy dobrych warunkach pogodowych dochodzi tutaj do fascynującej gry świateł. Promienie słoneczne przedzierają się przez wąski komin skalny do środka i rozświetlają jej wnętrze. Alpinistka Dzintra Pededze z Łotwy była w roku 2006 naocznym świadkiem tego

czarującego zjawiska natury. Opowiedziała mi potem, jak do tego doszło: „Czytałam, że jaskinia Steinerner Kaser ma się znajdować gdzieś w okolicy Mittagsscharte, ale nikt nie umiał wskazać mi jej dokładnej lokalizacji. Potem jednak 21 czerwca sama przez przypadek znalazłam wejście i to akurat w momencie, gdy promień słońca wpadł do środka korytarza i umożliwił mi zrobienie kilku zdjęć. To, że byłam we właściwym czasie we właściwym miejscu, uznaję za własny mały cud”.

Czy Lazarus Günzner znał tę jaskinię, pozostaje kwestią spekulacji. Niezależnie jednak od tego, gdzie on i jego koledzy wówczas wędrowali, z pewnością nie mogli być zbyt daleko od płaskowyżu. Odkryli tam jamę i zadziwili się tajemniczym napisem, wyrytym srebrnymi literami w skale. Po powrocie do domu dyskutowali nad sensem i zawartością inskrypcji, nie mogli jednak zrozumieć z niej ani słowa. Pomocnik pisarza miejskiego został więc ponownie wysłany w góry, tym razem sam, aby sporządzić na papierze dokładną kopię napisu.

Lazarus odnalazł właściwe miejsce i dokładnie spisał kombinację liter. W najstarszej wersji znaki i symbole przypominają tajny kod komputerowy. Brzmi on:

> S. d. d. occo. x.Satrnrop, 5. a. f. 5. 1. d.P. 6. m. 6. a. t. 5. q. o. t. m. 5. r. u. a. t.m. 519. r. l. v. e. p. 55. a. tt. tt. l. x missmariu. a. o. u st g c x 5. 1. 19. altomvracomic r l y. pymi. l o p m i. v m l t. t g

Co oznaczają te rozsypane litery? Kompletny nonsens czy też klucz do zrozumienia mitu z Untersbergu? W późniejszych ujęciach brakuje kopii tajnych symboli lub są one, zgodnie z

chrześcijańskimi wyobrażeniami religijnymi, zmienione w łacińskie wyrażenie:

S. V. R. G. E. T. S. A. T. U. M.

„Surget satum" znaczy: 'Wzejdzie, co zostało zasiane'. O tym jednak w wariancie Lazarus Günzner nie ma ani słowa. W innej z kolei interpretacji kombinacja liter brzmi:

S. O. R. G. E. I. S. A. T . O. M.

Przyczyny i sens manipulacji tekstem skrywa pomroka dziejów. Z którejkolwiek by jednak strony na to popatrzeć – prawdziwy kod Untersbergu wciąż czeka na swoje odczytanie. Który chętny kryptograf rozgryzie wreszcie ten twardy orzech?

Odkrycie „lustrzanego świata"

Co działo się z Lazarusem, gdy skończył już kopiować inskrypcję? Z rękopisu dowiadujemy się, że było już za późno na powrót do domu. Zapadł zmrok i Lazarus zdecydował się przenocować w wąwozie. Gdy przebudził się następnego dnia, doszło do bardzo niecodziennego spotkania.

Oryginalne słowa rękopisu brzmią:

> I w Zielone Świątki rano, gdy chciałem na powrót iść do domu, spojrzałem w dal i zszedłem trochę w kierunku Pertlsgaden, gdy więc podczas schodzenia rozejrzałem się po okolicy, zobaczyłem przed sobą stojącego bosonogiego mnicha, który czytał brewiarz, a na ramieniu trzymał duży pęk kluczy, pozdrowił mnie i powiedział do mnie: Lazarusie, gdzie byłeś lub dokąd

> zmierzasz, jadłeś czy jesteś głodny, opowiedziałem mu zatem wszystko swoje, a on odezwał się do mnie: Lazarusie, chodź ze mną, chcę ci dać jeść i pić oraz pokazać ci, co tam w górze na jamie czy na ścianie jest wyryte…

Jeśli założymy, że drugie wchodzenie na Untersberg nie zajęło Lazarusowi pół roku, łatwo zauważymy, że coś się tu nie zgadza z określeniami czasu. Gdy we wcześniejszym akapicie przeczytaliśmy, że Lazarus z kolegami wyruszył w góry jesienią, teraz dowiadujemy się, że są Zielone Świątki, czyli Niedziela Zesłania Ducha Świętego. Dokładny moment, w którym wypada to święto, zależy od daty Wielkanocy. Zgodnie ze starą tradycją zesłanie Ducha Świętego miało miejsce pięćdziesiąt dni po zmartwychwstaniu Jezusa, zatem święto to obchodzone jest między 10 maja a 13 czerwca. Dzieje Apostolskie przedstawiają doświadczenie uczniów Jezusa: „Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, nagle dał się słyszeć z nieba szum i wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym”. W Biblii dalej mowa jest o „cudzie zielonoświątkowym”, gdy uczniowie Jezusa zaczęli mówić obcymi językami i rozumieć mowę obcokrajowców. U Lazarusa tym, kto się objawia, nie jest Duch Święty, lecz bosonogi duchowny. Postać w habicie wie, kim jest pomocnik pisarza miejskiego, bo pozdrawia Lazarusa po imieniu, choć tych dwóch nigdy się wcześniej nie spotkało. Następnie Lazarus jest prowadzony przez mnicha na cudowną górę.

Opisuje to oryginał:

> …znów ruszyliśmy razem w górę w kierunku Wysokiego Tronu, tam doszliśmy do wielkich żelaznych drzwi, tam je otworzył

> jednym z kluczy z tego pęku, który nosił, i aż do prawej bramy niczego się nie bałem i nie myślałem o niczym szczególnym, a pod bramą stała kamienna ława, tam powiedział do mnie: Lazarusie, zdejmij swój kapelusz i połóż go tymczasem na ławie, tak możesz znów wyjść na zewnątrz lub jeśli chcesz, pozostać w środku, a tymczasem jesteś tu w środku, nie mów do nikogo ani słowa, niech on mówi, co chce, ale ze mną możesz spokojnie mówić i mnie pytać, ale zapamiętaj wszystko, co usłyszysz lub ujrzysz u nas. Po tych słowach weszliśmy przez bramę do środka, stała tam wielka, mocna, czworokątna wieża, a na niej zegar pokryty złotem, a on powiedział do mnie: Lazarusie, spójrz na zegar, którą godzinę wskazuje, a wskazówka stała na siódmej.

Przed żelaznym portalem nieznajomy polecił Lazarusowi, aby położył on kapelusz na kamiennej ławie, aby potem mógł powrócić bez szkody do swojego dawnego świata. Nakazał mu też wyraźnie, aby podczas pobytu w zamaskowanej podziemnej krainie się nie odzywał, nawet gdyby mieszkańcy wnętrza góry bezpośrednio się do niego zwracali. Wolno mu będzie prowadzić rozmowy z samym tylko mnichem. Wwezwał także Lazarusa, aby dobrze zapamiętał, co ujrzy i usłyszy. Czynnik czasu także tutaj odgrywa istotną rolę, gdyż Lazarus, wchodząc do środka, musi wiedzieć, która dokładnie jest godzina. Dlaczego jest to tak ważne? Gdyby to był fikcyjny, pozbawiony znaczenia tekst bajki, takie surowe polecenie nie byłoby potrzebne, a przynajmniej czytelnik tej historii mógłby oczekiwać od autora, że wyjaśni on sens tego pouczenia.

Lazarus Günzner opisuje, jak był prowadzony przez zakonnika coraz dalej w głąb labiryntu jaskiń ciągnących się pod Untersbergiem. Po chwili dostrzegł okazały budynek, który przypominał mu klasztor o dwóch złotych wieżach. Zobaczył źródło z płynącą wodą, mroczny las, soczyście zielone łąki, a także drzewa obsypane owocami. Obaj przeszli przez bramę klasztorną i nagle stanęli w pomieszczeniu tak dużym, że Lazarus ledwie mógł ujrzeć kraniec kościelnego chóru. Tam został poprowadzony do „sakramentarza", gdzie przy wiodących w dół schodach stało krzesło. Mnich nakazał Lazarusowi, aby tam pozostał i dobrze zapamiętał wszystko, co zobaczy, „aż znów do ciebie wrócę i cię wyprowadzę". Autor dodał też: „Kościół miał ponad 300 ołtarzy i 30 organów".

Zaledwie mnich odszedł, „schodami zeszło 300 mnichów, starych i młodych, w drewniakach". Przechodząc obok, patrzyli surowo na Lazarusa i zaczęli przygotowania do mszy świętej. Dzwony zaczęły bić i wtedy „do kościoła wpłynęły wielkie gromady ludu, odzianych w piękne, weselne ubrania i wówczas zaczęto sprawować msze przy wszystkich ołtarzach, odprawiono też sumę z nabożeństwem i zagrano na wszystkich organach, a także na wszystkich innych instrumentach muzycznych, a brzmiało to dobrze i słodko".

Msza i tłumy ludzkie zadziały na Lazarusa jak projekcja z realnego życia. Wydarzenia jednak nie sprawiły, że poczuł się nieswojo, skoro napisał: „zostałem zanurzony, byłem w niebie". Czy Lazarus zanurzył się w ukrytym „świecie lustrzanym", który istnieje równolegle do postrzegalnej rzeczywistości?

Autor w każdym razie zadziwił się tym, co zobaczył, i relacjonował dalej: „…po błogosławieństwie cały lud wyszedł na zewnątrz, a mnisi wrócili z powrotem schodami na górę”. Lazarus został sam w wielkiej hali kościoła, „aż wybiła dwunasta i na powrót przyszedł ten sam mnich do mnie i poprowadził mnie schodami w górę…” Tak dotarł do sali jadalnej z „szerokimi, nieoszklonymi oknami kościelnymi”, gdzie dostał jedzenie i picie. Dokładnie w „czasie nony”, czyli o godzinie trzeciej po południu, Lazarus został poprowadzony do biblioteki. Znów okna były otwarte, „widziałem przez nie też ludzi idących po placu wiejskim tam i z powrotem, z jednego miejsca lub lasu do innego, i zapytałem mnicha, kim oni są…”

Na co mnich odpowiedział, że są to ludzie „swojego czasu”, a mianowicie dawni „cesarze, królowie, książęta, hrabiowie, baronowie, rycerze i giermkowie, kardynałowie, biskupi, prałaci, prepozyci, przeorzy, proboszczowie i inni dobrzy duchowni lub świeccy ludzie”. Swojego czasu? Dziwne. Co tak naprawdę zobaczył pomocnik pisarza Lazarus Günzner? Mnich dał mu do zrozumienia, że osoby, które rześko sobie spacerują, pochodzą z innego czasu. Czy tkwi w tym rozwiązanie wszelkich sprzeczności?

Przepowiednia z krainy cieni

Podczas pobytu w innym świecie Lazarus mógł zagłębić się w tajne księgi: „które widziałem, te były zrobione z kory drzew i ze skóry oraz spisane najlepszymi starymi literami, niewiele mogłem w nich przeczytać, ale on mi odczytał je na głos i powiedział, co one zawierają w swym rozumie, znalazłem tam też w nich srebrne litery, które przedtem w jamie czy kaplicy były wyryte na ścianie i które spisałem, pokazał mi je mnich i odczytał na głos…”

Były to z pewnością bardzo stare dzieła. Lazarus przejrzał je, jednak znaki pisma były mu obce i ledwie mógł odszyfrować, co było w nich napisane. Mnich odczytał mu je na głos, przetłumaczył i wyjaśnił ich znaczenie. Jedna z ksiąg mądrości zawierała nawet tajemnicę kodu literowego, od którego swój początek wzięła ta niezwykła historia. Szczegółów autor jednak nie zdradził. Czytelnik dowiaduje się tylko, że gdy Lazarus przebywał w sali z księgami, nagle wybiła „godzina nieszporów”, a więc nadszedł czas na wieczorną mszę i kolację.

Następnie obaj powędrowali do wielkiej dzwonnicy ze złotym zegarem. Lazarus rozpoznał wrota, przez które wczesnym rankiem dostał się do wnętrza góry, zdziwił się jednak innymi wejściami, które zobaczył. „Miała ona po obu stronach żelazne drzwi zamknięte, po obu stronach sześć”. Mnich wyjaśnił mu, że za każdymi z dwanaściorga drzwi znajduje się tajne przejście, które prowadzi do jednego ze szczególnych miejsc w okolicy.

W wersji Lazarusa Günznera wymienione i nazwane jest jednak tylko dziesięcioro z nich: „św. Pärtlmee w Pertisgaden”

(kościół św. Bartłomieja nad Königsee w Berchtesgaden), „św. Zenno przy Reichenhall” (klasztor św. Zenobiusza w Bad Reichenhall), „św. Ruprecht w Salzburgu« (katedra w Salzburgu), „św. Michał w Inzel” (kościół św. Michała w Inzell, na zachód od Bad Reichenhall), „kościół polny” (prawdopodobne kaplica polna przy Ainring koło Walserfeldu), „Gmain Najświętszej Panienki w Reichenhall” (kościół Najświętszej Maryi Panny w Großgmain), „Piotr i Paweł w Reichenhall przy mieście” (kościół św. Piotra i Pawła w Bad Reichenhall), „św. Piotr” (prawdopodobnie kościół św. Piotra w Salzburgu), „św. Dionizy” (kościół św. Dionizego w Vigaun koło Hallein) oraz „św. Maksymilian” (kościół św. Maksymiliana w Maxglan, dzisiaj dzielnica Salzburga). Dwa anonimowe portale są w innych kronikach przytaczane w różny sposób. Najczęściej pojawiają się św. Walentyn w Marzoll (kościół św. Walentego w Bad Reichenhall) i dom boży w Seekirchen (Seekirchen nad Wallersee koło Salzburga).

Jeszcze tego samego wieczoru Lazarus został zaproszony na nocną wędrówkę. Brama się otworzyła i zaczął on schodzić razem z mnichem ciemnymi schodami. Mnich udzielił mu wówczas małej wskazówki: „…teraz idziemy głęboko pod jeziorem”. Dotarłszy do celu, Lazarus ponownie wziął udział w mszy świętej i poznał przyszłe wydarzenia. Potem ta dziwna para udała się w drogę powrotną do jaskiń ciągnących się pod Untersbergiem.

W ciągu kolejnych nocy powtarzała się ta oryginalna ceremonia. Lazarus udawał się przez inne jedenaście bram do

kolejnych cudownych miejsc. Tam słyszał proroctwa z „wielkich ksiąg” o tym, co w przyszłości „na świecie się przydarzy i odmieni”. Były to zatrważające przepowiednie, była bowiem mowa o „wojnie, głodzie, drożyźnie, chorobach i kłopotach, strachu i biedzie, straszliwym umieraniu od zarazy i innej, przerażającej, straszliwej śmierci”.

Podczas jednego z obchodów Lazarus ujrzał grupę ludzi w historycznych szatach i „cesarza między ludem, miał on złotą koronę i dzierżył cesarskie berło w dłoni, miał długą, dużą brodę, która spływała mu na klapę spodni…”

Mamy tu nawiązanie do najsłynniejszego podania związanego z Untersbergiem, które opowiada o cesarzu i dworze. Imię samego władcy budzi liczne spory. U Lazarusa Günznera jest to „Cesarz Fryderyk, który został uniesiony”. Ma on oczywiście na myśli Fryderyka I z dynastii Hohenstaufów, zwanego Barbarossą (ok. 1122–1190). Wiemy o nim, że wiele razy zatrzymywał się w Salzburgu. Inna źródła wymieniają frankońskiego władcę Karola Wielkiego (747–814), Fryderyka II (1194–1250), Fryderyka III (1415–1493) lub cesarza Karola V (1500–1558).

Scena, o której mówią przekazy, jest zawsze podobna: W wielkiej sali we wnętrzu góry drzemie cesarz ze swą świtą, pogrążony w podobnym do śmierci śnie. Tylko z rzadka, może raz na sto lat, udaje się jakiemuś śmiertelnikowi ujrzeć oblicze władcy. Mówi się, że gdy długa broda cesarza trzy razy owinie się wokół stojącego przed nim marmurowego stołu, wówczas nadejdzie koniec świata. Gdy zaś 24 kruki trzy razy okrążą całą

górę, cesarz przebudzi się z głębokiego snu. Mimo to będzie musiał dalej pozostać w innym świecie, dopóki nie zostanie znaleziony magiczny „kamień karłów”, dzięki któremu cudowne istoty z Untersbergu będą mogły zamienić się w ludzi. Dopiero gdy to się wydarzy, powiada legenda, cesarz wraz ze swym wojskiem powróci do świata żywych, aby na Walserfeld ruszyć do ostatniej bitwy z niewiernymi świętokradcami.

Historycy rozpoznają w tej legendzie podanie, którego historyczny pierwowzór związany jest z niemiecką górą Kyffhäuser. Wzgórze to o wysokości 473 metrów leży na granicy między Turyngią a Saksonią-Anhalt. Zgodnie z wierzeniem ludowym w jego wnętrzu ma mieszkać cesarz Barbarossa wraz ze swoją świtą, aby pewnego dnia się przebudzić, uratować państwo i poprowadzić je ku nowej potędze. Podobieństwo z podaniem z Untersbergu jest niezaprzeczalne, ale kto od kogo kopiował?

Dopiero od XVI wieku Barbarossa przejmuje rolę śpiącego władcy z podania o górze Kyffhäuser. We wcześniejszych wersjach odnosiło się ono do cesarza Fryderyka II. Istnieje mnóstwo legend o bohaterach, który zostali przeniesieni we wnętrze jakiejś góry i tam przebywają aż do dnia Sądu Ostatecznego. Sięgają one wstecz aż do mitycznego króla Artura. W Cheshire w północno-zachodniej Anglii jest miejsce o nazwie Alderley Edge, gdzie ma się znajdować ukryta jaskinia, w której zgodnie z legendą śpią Artur i rycerze Okrągłego Stołu. Czekają, zupełnie jak cesarz Fryderyk, na ponowne przebudzenie, aby wprowadzić swój kraj w nową erę.

Dawne przedstawienie śpiącego cesarza i jego dworu, który rzekomo co sto lat budzi się ze snu, aby sprawdzić, czy nadszedł czas, aby udał się wraz ze swą armią na ostatnią bitwę z „antychrystami". (Ilustracja: R. Freisauff, 1880)

Nie da się już odszyfrować, gdzie i kiedy miały swój początek te wyobrażenia. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że także związane z Untersbergiem podanie o śpiącym cesarzu „przywędrowało" do kraju Salzburg. Czy podkopuje to tym samym wiarygodność zapisków Lazarusa Günznera? Niekoniecznie. Fragment o Barbarossie mógł zostać dodany przez urzędujących wówczas władców i kościelną władzę zwierzchnią, co tylko przemawia za prawdziwością podania Lazarusa – pomocnik pisarza Günzner wielokrotnie podkreśla, że wszystko, co na polecenie opata przelał na papier, widział na własne oczy i „jest prawdziwe". Potwierdza to ponadto wiele logicznych szczegółów, które autor pomieścił w swoich obserwacjach. Wspomniał on zatem nie tylko dawnego cesarza (którego widzi także, jak spaceruje) i innych zmarłych ludzi, lecz także kilku znajomych, którzy wciąż żyli w realnym świecie, z którego sam pochodził. Lazarus był zmieszany. Nie wiedział, czy mieszkańcy cudownej góry są duchami, czy nie. Jeśli jednak osoby, które widział, nie były martwe, jak mogły jednocześnie chodzić sobie we wnętrzu góry?

Sprzeczność ta nie dawała Lazarusowi spokoju. Intuicyjnie czuł, że coś się tu nie zgadza i drążył temat: „…spytałem zatem mnicha, jakie są ich czyny i działania tu w środku". Było to najwyraźniej nieodpowiednie pytanie, gdyż wówczas „… podniósł on swoją dłoń i wymierzył mi straszliwy policzek z lewej strony, taki, że odczuwałem go do końca dni moich, i z wielką złością mnie zbeształ, powiedział bowiem do mnie, jak możesz pytać o tajemnice Boże, powinieneś tylko pytać o to, co

trzeba wiedzieć, a o nie wolno ci pytać o tajemnice Boże lub jakie są ich czyny tu w środku”.

Ciekawski Lazarus został zatem przez duchownego spoliczkowany. Za co taka kara? Czasami już samo pytanie kryje w sobie odpowiedź. Czyżby sprytny pomocnik pisarza z Bad Reichenhall za bardzo zbliżył się do prawdy?

Powrót do znanego świata

Z rękopisu dowiadujemy się, że Lazarus Günzner spędził we wnętrzu Untersbergu tydzień, tam oglądał zaczarowaną krainę, spotykał często widmowe postacie, a ze starych ksiąg poznawał mroczne przepowiednie przyszłości. Przez cały ten czas nie cierpiał głodu, był bowiem „utrzymywany w zdrowiu dzięki jedzeniu i piciu”, podczas gdy sami mieszkańcy Untersbergu nie odczuwali wcale apetytu. Czyżby postrzegane przez niego istoty były eterycznej natury i dlatego nie potrzebowały pożywienia? Na ile to, co widział, było rzeczywiste? Może Lazarus oglądał tylko projekcje hologramów z hiperprzestrzeni?

Po wielu cudownych przeżyciach mnich oznajmił mu siódmego dnia: „Lazarusie, już czas, abyś na powrót wyszedł na zewnątrz, chyba że chcesz tu pozostać na zawsze, możesz tak bowiem uczynić”. Uwięziony w równoległym świecie? Nie. Młody człowiek nie chciał spędzić w cudownej górze całej wieczności, bo ta, jak wiadomo, trwa bardzo długo, a nawet bez

końca… Lazarus wyjaśnił więc mnichowi: „…powiedziałem, chcę znów na zewnątrz, i on dał mi ponownie jedzenie i picie jak przedtem, w tym samym miejscu i dał mi dwie kromki chleba na drogę…”

Potem Lazarus został zaprowadzony do tych samych tajemnych wrót, przez które tydzień wcześniej wstąpił do podziemnego świata.

Dla mnie to najbardziej ciekawe miejsce w jego relacji:

> …żyjesz, następnie poprowadził mnie z powrotem do bramy, przez którą wszedłem, i powiedział do mnie: włóż swój kapelusz na głowę, a ten wciąż leżał tak, jak go położyłem, i odezwał się do mnie: Lazarusie, spójrz na zegar, a on znów stał na siódmej, tak jak gdy wchodziłem do środka, wyprowadził mnie przez bramę i powiódł aż do miejsca, w którym był do mnie podszedł, w tej godzinie był on jeszcze długo ze mną i mówił mi więcej o tych nędznych czasach, które nastąpią i które się wydarzą, i rozkazał mi, abym pilnie opisał i pilnie zapamiętał, co słyszałem i widziałem w tej cudownej górze, po czym mnie pobłogosławił i odezwał się do mnie, Lazarusie, bacz, abyś tego w ciągu 35 lat nikomu nie powiedział, jeśli ci życie miłe, gdy jednak ten czas upłynie, możesz to swobodnie powiedzieć…

Koło się zamyka, ale kto zrozumie sens tej symboliki? Czy mamy do czynienia z powieścią fantasy, której akcja rozgrywa się na początku XVI wieku i została spisana na początku XVIII wieku? A może jest to sprawozdanie oparte na faktach, które odwołuje się do wcześniejszych źródeł?

Jeśli wykluczyć oszustwo, halucynacje lub przeżycia senne, pozostają trzy hipotezy, jedna bardziej fantastyczna od drugiej.

Po pierwsze, Lazarus Günzner zapukał do bram śmierci, przeżył śmierć kliniczną, wyruszył na wędrówkę dusz, podczas której spotkał się z duchami, a potem znów powrócił do świata żywych.

Po drugie, padł on ofiarą zakrzywienia czasoprzestrzeni, mimowolnie wpadł w „dziurę czasową" i jako swego rodzaju „podróżnik w czasie" znalazł się w innym wymiarze.

Po trzecie, przed jego oczami objawiły się światy równoległe, które istnieją równocześnie z postrzegalną rzeczywistością.

Przypomnijmy sobie: Przed wkroczeniem do innego świata Lazarus usłyszał zakaz rozmawiania z mieszkańcami Untersbergu. Jedynym wyjątkiem miał być jego duchowny odźwierny. Kronika nie daje nam informacji, co by się wydarzyło, gdyby Lazarus złamał ten zakaz. Czy naruszyłby wtedy przyczynowość, jedną z podstawowych zasad fizyki? Czy miałoby to konsekwencje dla biegu dziejów? Tak jak na przykład stało się w zapoczątkowanej w 1985 roku trylogii filmowej *Powrót do przyszłości*.

Film opowiada historię ucznia Marty'ego McFlya, granego przez Michaela J. Foxa, który niechcący wykonuje skok w czasie do roku 1955, kiedy to jeszcze nie było go na świecie. Jego własna matka zakochuje się w nim, co prowadzi do poważnych komplikacji. Młody człowiek próbuje więc przywrócić pierwotny kształt przeszłości. A gdyby mu się nie udało, jakie mogłyby być tego skutki? Czy jego matka nie wyszłaby za mąż za jego ojca, on sam nie narodziłby się? Gdyby jednak nie przyszedł na świat, jak mógłby się sam udać w podróż w czasie?

Wielu naukowców sądzi, że ten paradoks czasu stanowi przeszkodę w realizacji śmiałego pomysłu, aby przenosić się w przeszłość. Jednak nie wszyscy fizycy uważają wycieczki do wczoraj lub przedwczoraj za niemożliwe. Niektórzy twierdzą, że cokolwiek uczyni podróżnik w czasie, może w ten sposób jedynie potwierdzić przebieg wydarzeń. Godziłoby to jednak w wolną wolę ludzi, gdyż w tym modelu przeznaczenie byłoby z góry określone.

Wyjście z tego dylematu oferuje nam jedna z interpretacji fizyki kwantowej, zgodnie z którą nasze uniwersum jest tylko jednym z nieskończonej liczby równoległych światów. „Podróżnik w czasie byłby zatem po prostu wyzwalaczem alternatywnej historii świata, która nie odpowiada tej, z której on sam pochodzi. Rozgrywałaby się ona w innym uniwersum", przyznaje astrofizyk Niels Boeing i dodaje: „Wolna wola byłaby uratowana, ale kto mógłby zapewnić podróżnikowi w czasie, że po powrocie odnajdzie on swój pierwotny świat?"

I właśnie to zagadnienie zostało w podaniu Lazarusa elegancko rozwiązane, wprawdzie tylko symbolicznie, ale wprost genialnie. Powróćmy na chwilę do początku jego historii i przypomnijmy sobie moment, gdy udał mu się przeskok do innego świata. Został wówczas wezwany, aby położył swój kapelusz na ławce przed portalem, gdyż „tak możesz znów wyjść na zewnątrz lub jeśli chcesz, pozostać w środku". Lazarus miał też dobrze zapamiętać, że na wieży zegarowej wybiła godzina siódma. Ani on, ani czytelnik nie dowiadują się, co oznacza ten rytuał. W drodze powrotnej rozgrywa się ta sama

scena, wskazówka zegara stoi na siódmej tak jak w chwili, gdy wchodził. Musi on opuścić to miejsce, o ile nie chce pozostać w Untersbergu na zawsze. Gdy rozstaje się z „lustrzanym światem", jego kapelusz leży na ławce, „jak go położyłem", choć w tym czasie minął cały tydzień. Ani deszcz, ani powiew wiatru, nic nie poruszyło kapelusza z miejsca, tak jakby został on dopiero co położony.

Lazarus po raz kolejny został napomniany, aby dokładnie zapamiętał i pilnie zapisał wszystko, co słyszał i widział. Otrzymał także wyraźny rozkaz, aby – o ile życie jest mu miłe – nie opowiadał o niczym nikomu przed upływem 35 lat. Kolejna zagadka czasu, która pozostaje nierozwiązana. Dlaczego miał milczeć przez dziesięciolecia? Dlaczego jego życie byłoby narażone na niebezpieczeństwo, jeśli nie posłuchałby mnicha? Lazarus w każdym razie podporządkował się temu kategorycznemu nakazowi. W późniejszych wersjach możemy przeczytać, że proboszcz i pisarz miejski przepytywali go z powodu tak długiej nieobecności, Lazarus jednak milczał i przekazał im jedynie odpis znalezionych w wąwozie znaków skalnych.

Jaką tajemnicę skrywały hieroglify? Czy oddające sens podsumowanie ich tłumaczenia nie mogłoby brzmieć: „Wy, ludzie z innej rzeczywistości, nie jesteście w wieloświecie sami"?

Niesamowite spotkania z nowszych czasów

Jakie wnioski możemy wyciągnąć ze startych mitów związanych z Untersbergiem? Czy umiemy rozpoznać w nich ziarno prawdy? Sceptycy będą twierdzić, że historie o portalach czasu, zaginionych ludziach i kontaktach z karłami powstały na gruncie dawnych przesądów, w które współczesny oświecony człowiek nie musi wcale wierzyć. Ale jakby im na przekór w okolicach cudownej góry wciąż wydarzają się nadzwyczaj osobliwe sprawy, które przeczą każdej rozsądnej próbie interpretacji.

Zalicza się do nich przeżycie, które miało się przytrafić w połowie lat 70. XX wieku dentyście Eugenowi Köberlemu. Wydarzenia te zostały udokumentowane na nagranej przez niego samego kasecie magnetofonowej. Zgodnie z nagraniem, gdy 18 sierpnia 1975 roku dentysta wędrował z Ettenbergu w kierunku wąwozu Almbachklamm, został zaskoczony przez załamanie pogody i grad. Köberle błądził godzinami, aż późnym wieczorem natknął się u wylotu wąwozu pod górą Hochthron na samotną górską chatę Auergrabenhütte. Dom był niezamieszkany i zamknięty, ale pod okapem znalazł drewnianą ławę, która posłużyła mu za prowizoryczne miejsce noclegu. Błyskawice i grzmoty po wielokroć wyrywały go ze snu. Gdy o świcie po raz kolejny się przebudził, zobaczył przed sobą małą postać.

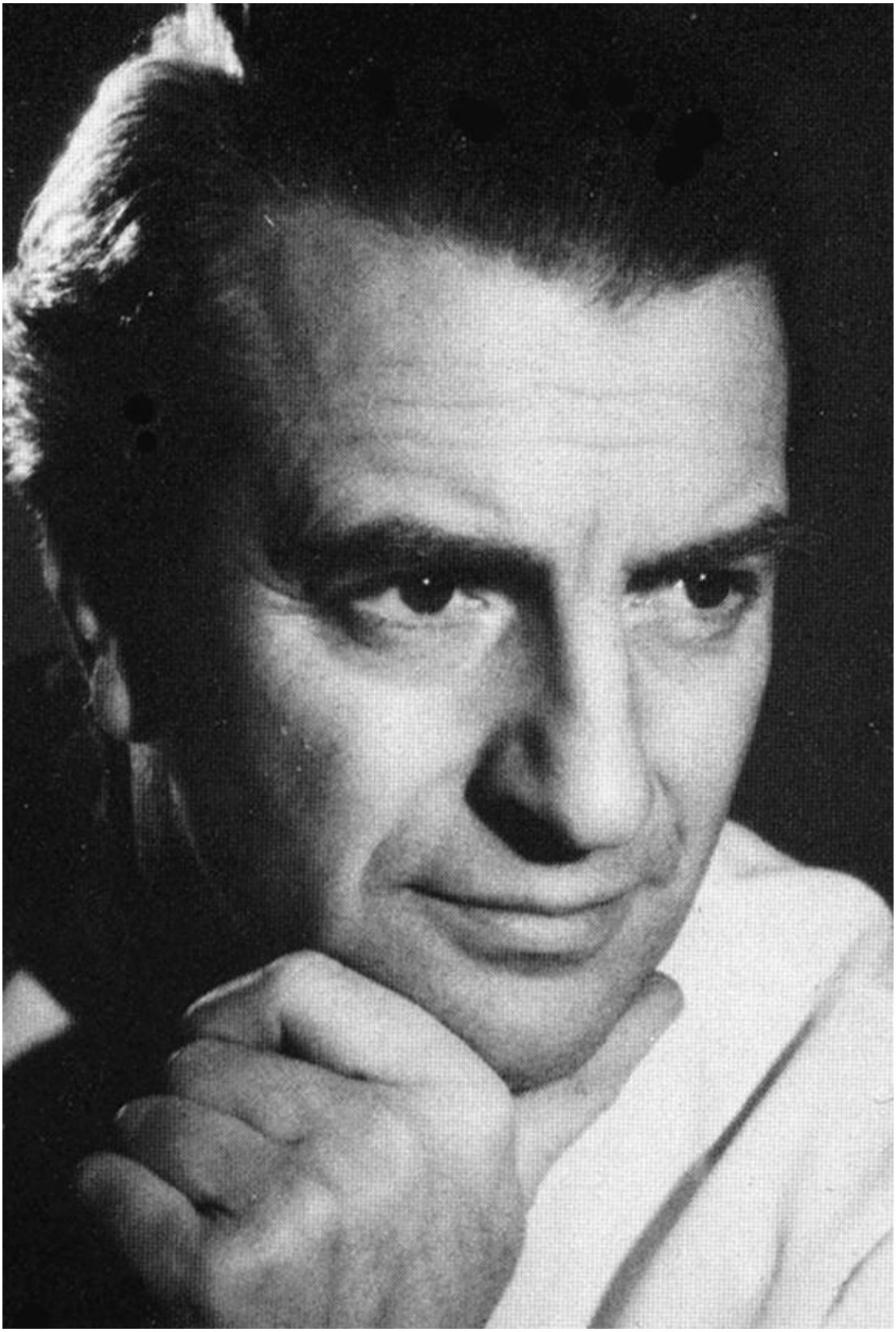

Eugen Köberle twierdził, że w 1975 roku został zwabiony przez tajemniczego karła do wnętrza Untersbergu. (Zdjęcie: Archiwum Reinharda Habecka)

Köberle na nagraniu z taśmy: „To był karzeł. W tym momencie przypomniałem sobie stare legendy, w których ludzie byli wabieni przez gnomy w głąb ciągnącego się pod cudowną górą świata jaskiń, o którym gadają, że jest to coś w rodzaju centrum energetycznego, a nawet bazy UFO".

Milczący człowieczek samymi tylko gestami skłonił dentystę, aby podążył wraz z nim. Turysta podniósł się jak zahipnotyzowany ze swego twardego łoża i ruszył za malcem w drogę. „Nie zwracałem już wcale uwagi na deszcz i wiatr. Ze wszystkich sił starałem się nie stracić z oczu brnącego wciąż naprzód karła", mówi Köberle na nagraniu. „Zatrzymaliśmy się koło jaskini mieszczącej się w skałach Untersbergu i znów mój mały przewodnik skinął na mnie, abym podążył za nim, ale to, co zobaczyłem i przeżyłem we wnętrzu góry, jest i musi pozostać moją tajemnicą. Tak mi bowiem polecono i zamierzam się tego trzymać…"

Podobnie jak stulecia wcześniej Lazarus Günzner, tak teraz Köberle miał spędzić cały tydzień w Untersbergu. „To nieprzewidywalne spotkanie wpłynęło na całe moje dalsze życie i przysięgam, że wydarzyło się ono naprawdę". Prawdziwe tło wydarzeń pozostaje niewyjaśnione, bowiem dentysta zabrał swoją zagadkę do grobu. Zmarł w roku 1979.

Nie mniej tajemnicze wydaje się przeżycie Ingomara von Lexa. Ten dziś 56-letni austriacki dystrybutor biologicznych dodatków do żywności w 1956 roku zaginął na wiele godzin w okolicach Untersbergu. Był wówczas niespełna trzyletnim brzdącem, który uwielbiał dokazywać na rodzinnej posiadłości leżącej na południowym stoku góry. Jego rodzice nie martwili się, ponieważ podczas tych wycieczek towarzyszył mu zawsze owczarek Jacky. Pewnego dnia jednak malec i jego czworonożny towarzysz zniknęli. Mimo intensywnych poszukiwań nie natrafiono na żaden ich ślad.

Jego ojciec Hjalmar von Lex spisał na bieżąco te wydarzenia, a swoje zapiski udostępnił potem mojemu koledze po piórze Peterowi Krassie (zm. 2005) i mnie, dla celów publikacji w wydanej w 1993 roku książce *Biblioteka liści palmowych*. W oryginalnych notatkach pana barona możemy przeczytać: „Tym razem Ingomar wyszedł po śniadaniu o godzinie 9 i do południa nie wrócił. Także psa nie można było znaleźć i mimo mojego głośnego wołania, na które pies zawsze odpowiadał szczekaniem, nie pojawiał się".

Dopiero po 14 zjawił się bardzo zadowolony Ingomar wraz z psem. Malec wyraźnie nie zdawał sobie sprawy ze swej długiej nieobecności. Gdy ojciec chciał się od niego dowiedzieć, gdzie chłopiec przebywał, usłyszał zadziwiającą odpowiedź: „Byłem z moim przyjacielem karłem". Ten „ludzik z Untersbergu" – opowiadał Ingomar – odezwał się do niego w lesie za domem i poprowadził go do jaskini. Także owczarek, zwykle nieufny wobec obcych, poszedł z nimi. Poprzez wąskie przejście, „które

wcale nie było ciemne”, dostali się nad jezioro, gdzie przebywało dużo ludzi. „Co to byli za ludzie?”, spytał zadziwiony ojciec, mając na myśli speleologów. Ingomar zaprzeczył i powiedział: „To byli inni ludzie, wszyscy byli przezroczyści, tak że można było przez nich patrzeć, ale oni nie byli źli”. Gdy „przezroczyści” obiecali, że będą od tej chwili chronić Ingomara, karzeł poprowadził na powrót chłopca i jego psa do wyjścia z jaskini. Później, opowiadał malec, obaj od razu wrócili do domu. Chłopiec sądził, że przebywał poza domem „dość krótko”, podczas gdy w rzeczywistości minęło pół dnia. Minuty rozciągnęły się w godziny.

Ingomar von Lex w 1956 roku: Chłopiec zniknął bez śladu na wiele godzin. Kiedy nagle się odnalazł, opowiedział swojemu ojcu, że był we wnętrzu góry i widział „przezroczystych ludzi”. (Zdjęcie: Hjalmar von Lex)

Dorosłemu Ingomarowi von Lexowi zapiski jego ojca nie dawały spokoju, nie mógł sobie już jednak przypomnieć żadnych szczegółów ówczesnych wydarzeń. Z tego powodu przez długi czas uznawał, że historia z jego dzieciństwa była dziełem fantazji. Zmieniło się to, gdy wziął udział w seminarium medytacyjnym, kiedy to podczas duchowej podróży w przeszłość raz jeszcze przeżył to, czego doświadczył jako dziecko. Odzyskane wspomnienia pokrywały się z notatkami jego ojca. Od tego czasu Ingomara coraz częściej ciągnęło w kierunku Untersbergu i rzeczywiście podczas jednej z takich wędrówek odnalazł miejsce, gdzie jako mały chłopiec został wezwany przez karła, aby za nim podążył. Poczuł się wówczas tak, „jakby powrócił do domu”.

Ingomar von Lex dzisiaj: Przeczytał zapiski swojego ojca na temat dziwnych swych doświadczeń we wnętrzu góry i ponownie spotkał się z niewyjaśnionym fenomenem. (Zdjęcie: Ingomar von Lex)

Na podstawie opisu syna ojciec przypuszczał, że cudowne miejsce może leżeć w okolicy zawalonego w latach 30. XX wieku okna skalnego Drachenloch (Smocza Dziura – 1247 metrów n.p.m.). Ingomar nie chce jednak tego potwierdzić i dokładną lokalizację trzyma w tajemnicy, aby „to piękne miejsce uchronić przed zbyt ciekawskimi oczami". Miejsce to jest dla niego szczególnie ważne, ponieważ podczas jednej z wizyt ponownie spotkał się tam z obcymi istotami, które udało mu się nawet uchwycić na fotografii. Złudzenie optyczne? „Bynajmniej", podkreśla Ingomar von Lex. „Te małe istoty są malutkie, często zaledwie wielkości kciuka, patrzy się na nie tak, jakby się spoglądało przez szkło".

To spostrzeżenie zgadza się z wieloma podaniami związanymi z cudowną górą, zgodnie z którymi „ludziki z Untersbergu" mają dzięki czapkom niewidkom zdolność stawania się niewidzialnymi. Zgodnie ze starymi legendami wszelkie starania, aby złapać małych mieszkańców Untersbergu, nigdy nie dawały żadnych efektów. Jednego razu pewien chłop obserwował trzy koboldy, które zatrzymały się koło „studzienki przy moście w Seebühel". Podkradł się do nich po cichu, aby je złapać, „ale gdy myślał, że już je ma, chłop

zobaczył, że jego ręce są całkiem puste”. Ludziki zrobiły się niewidoczne.

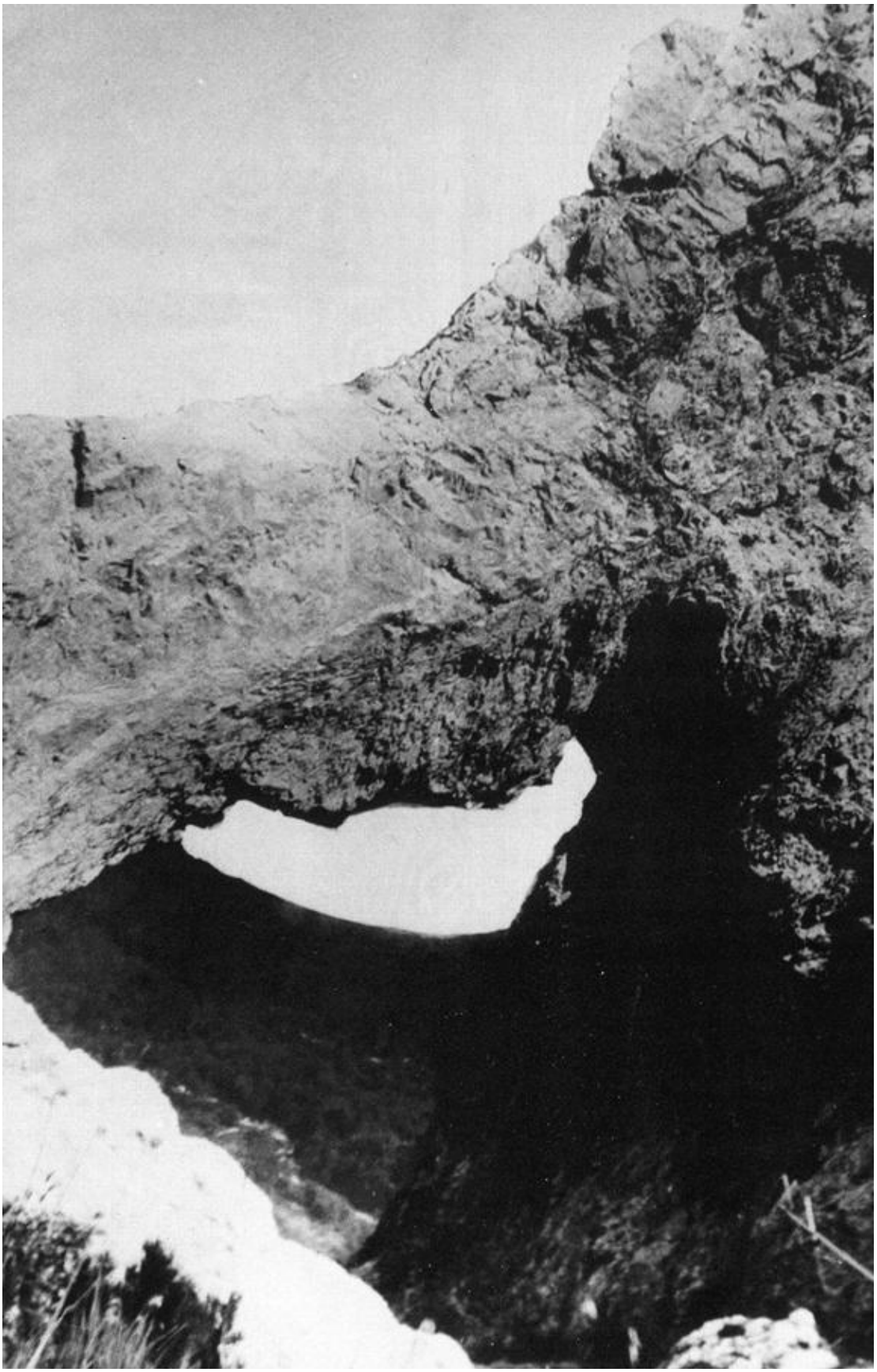

Obok: Legendarna Smocza Dziura (Drachenloch) na Untersbergu przed zawaleniem się w 1930 roku. Czy zegary w pewnych miejscach chodzą inaczej niż w naszej rzeczywistości? (Zdjęcie: Archiwum Reinharda Habecka)

To tylko bajeczka na dobranoc, wymyślona jak niewidzialny płaszcz Harry'ego Pottera, powiedzą sceptycznie nastawieni racjonaliści. Inaczej widzą to naukowcy z Duke University, uczelni mieszczącej się w mieście Durham w Karolinie Północnej. Kierownik projektu David Schurig i jego koledzy udowodnili tam eksperymentalnie, że niewidzialność jest w zasadzie możliwa i stworzenie „prawdziwej" czapki niewidki jest tylko kwestią czasu. Przed paroma laty postawiono już pierwszy krok w tym kierunku. Wówczas w laboratoriach fale elektromagnetyczne zostały skierowane wokół obiektu, zamiast się od niego odbić. Tak jakby tam, gdzie wcześniej coś było, znajdowała się teraz tylko pusta przestrzeń. Eksperyment udał się na razie tylko w zakresie mikrofal, takich samych jak używane przez satelity i telefony komórkowe.

W styczniu 2009 roku udało się zrobić kolejny krok w tym kierunku dzięki zastosowaniu zaawansowanych technologicznie materiałów. Swoje właściwości zawdzięczają one nie składowi chemicznemu, lecz specjalnej strukturze, która w naturze nie występuje. Na ich powierzchni powtarzają się w określonej kolejności tysiące malutkich nanostruktur, które są mniejsze od długości fal padającego promieniowania.

„Dzięki temu złożony materiał może być łatwiej dopasowywany do światła widzialnego”, wyjaśniają naukowcy, którzy opublikowali wyniki swoich badań w szacownym czasopiśmie naukowym „Science”. Inaczej mówiąc, dzięki tej metodzie obiekty dowolnej wielkości stają się niewidoczne nie tylko dla radarów, jak to ma już miejsce w przypadku amerykańskich bombowców typu Stealth, lecz także dla ludzkich oczu. Jest zatem logiczne, że nową technologią interesuje się przede wszystkim wojsko, które finansuje też dalsze prace badawcze.

Gdy fantazja staje się faktem naukowym, rodzi się pytanie, czy nie należy na nowo spojrzeć na legendarne doniesienia o istotach, które nagle się pojawiają i równie szybko znikają z naszych oczu. To samo dotyczy fotografii, na których po wywołaniu ukazuje się to, co niewidoczne. Coś takiego przydarzyło się Hansowi (zm. 2009) i Martinie Fichtenbauerom z Dolnej Austrii podczas wakacyjnej wycieczki w szwajcarskie Alpy. W sierpniu 2005 roku para ta wędrowała po hali Griesalp w Oberlandzie Berneńskim na północ od góry Dreispitz (2520 metrów n.p.m.) w pobliżu Tschingelsee. Gdy kamerą wideo filmowali czarującą panoramę górską, uchwycili w kadrze również stare, obumarłe drzewo. Później Fichtenbauerowie ze zdumieniem oglądali swoje nagranie: Na ujęciu widać w dziupli drzewa postać karła. Dziwna gra świateł czy może coś więcej? Para przysięga, że nagranie nie było przedmiotem manipulacji.

Kto wie, ile prawdy tkwi w bajkach o duchach natury, koboldach, czapkach niewidkach i niewidzialnych światach?

Clark Darlton i „Dziewięciu Nieznanych”

Jeśli ktoś by twierdził, że został uprowadzony przez małe zielone stworki, które przyleciały w UFO, łatwo stałby się obiektem drwin całego otoczenia albo zyskałby przezwisko „króla kłamstw”. Całkiem inaczej jest w przypadku autorów science fiction: od nich wręcz wymaga się wybujałej fantazji. Im bardziej coś jest nierealne, tym lepiej.

Mistrzem w swym gatunku był niemiecki humanista i pisarz Walter Ernsting (1920–2005). Ten twórca pozytywnych utopii i wizjoner zapisał się w sercach wielu ludzi. Począwszy od lat 50. XX wieku opublikował on aż do lat 90. prawie 400 powieści i opowiadań fantastycznych. Swoją błyskotliwą karierę literacką zaczął od genialnego wprost posunięcia: Ponieważ jego ówczesne wydawnictwo odmawiało publikowania powieści nieznanych niemieckich autorów, Ernsting wymyślił (jako tłumacz i wydawca pierwszej niemieckojęzycznej serii science fiction *UTOPIA*) autora Clarka Darltona. Pod tym pseudonimem zaproponował wydawnictwu swoją własną powieść *UFO na nocnym niebie* jako rzekome tłumaczenie amerykańskiego dzieła. Zanim podstęp się wydał, nazwisko Darlton stało się już kultowe. Tylko głupiec zdecydowałby się zatrzymać błyskotliwą karierę autora bestsellerów.

Dzięki publikowanej co tydzień serii powieści *Perry Rhodan – dziedzictwo uniwersum*, którą wymyślił i powołał do życia wraz z Karlem Herbertem Scheerem (1928–1991), ten „ojciec

niemieckiej powieści science fiction” znalazł milionowe grono czytelników. Grubo ponad miliard wydrukowanych tomów sprawiło, że *Perry Rhodan* zyskał miano najbardziej popularnej serii powieściowej science fiction na świecie. Pierwotnie planowano 30 tomów, a tymczasem dawno temu ukazał się numer 2500 serii i wciąż wychodzą kolejne. Obecnie ponad tuzin autorów troszczy się o kontynuację opowieści o kosmicznych przygodach.

Motywami przewodnimi twórczości literackiej Waltera Ernstinga były hasło „Ad astra” (Do gwiazd!) i dążenie do zjednoczenia ludzkości. W czasach, gdy załogowe loty na Księżyc wciąż były przez wielu naukowców uważane za wytwór fantazji, Ernsting znał już kosmiczne przeznaczenie człowieka. Nauka i technika zmieniają nasz obraz świata z zapierającą dech w piersiach prędkością. Wiele jego utopijnych wyobrażeń zostało przyćmionych przez rzeczywistość. I tak Ernsting w powieści z 1956 roku. *Czas jest przeciw nam* przewidział pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu na koniec lat 60. XX wieku, pierwsze satelity na rok 1958, a lot sond na Marsa na rok 1970. „W zasadzie da się zrealizować wszystko to, co wymyśli umysł ludzki. Gdyby nie było problemów politycznych i innych, zwłaszcza gospodarczych, żylibyśmy dziś z pewnością w przyszłości”, powiedział kiedyś w rozmowie ze mną i zaraz proroczo dodał: „Nawet lot pewnego dnia na Alfa Centauri nie jest już utopią”. Zastrzegł jednak: „Przy założeniu, że program lotów kosmicznych nie zostanie przerwany, a ludzkość będzie na tyle inteligentna, aby się nie doprowadzić do samozagłady”.

Pytanie o los ludzkości jest także tematem jego ostatniej, nienależącej do żadnej serii, powieści *Dziewięciu Nieznanych*. Ta klasyczna już książka został opublikowana po raz pierwszy w 1983 roku, a potem została wznowiona pod tytułem *Podziemna moc*. Autor opisuje w niej działalność prastarej, tajemniczej elity, która za pomocą zaawansowanych środków technicznych nadzoruje, a także wpływa na rozwój ludzkości. Niektórzy ludzie przeczuwają prawdę. Przez przypadek pewien człowiek wpada na trop „Dziewięciu Nieznanych" i od tej chwili jego życie zmienia się radykalnie, zostaje bowiem, po zdaniu odpowiedniego egzaminu, przyjęty do tajemnego związku „kierujących światem". Powieść Ernstinga przedstawia sensacyjną relację tego człowieka, w której centralną rolę odgrywają anomalie czasowe, Untersberg i niezbadane jaskinie.

„Nic nie jest bardziej fantastyczne od prawdy", napisał Ernsting w książce *Dziewięciu Nieznanych*. Ale co jest prawdą? I czy w ogóle jest to wymyślona historia? Podobnie jak w przypadku historycznych zapisków Lazarusa Günznera o odkryciu równoległego świata, podczas lektury tekstu odnosi się wrażenie, jakby autor doświadczył wszystkiego na własnej skórze. Czy jest to możliwe? Co opiera się na faktach, a co jest zmyśleniem twórcy? Pytania takie stawiają sobie niektórzy czytelnicy, którzy podążali śladami Clarka Darltona. Autor ten bowiem z upodobaniem włączał rzeczywiście żyjące osoby i wydarzenia, które naprawdę się wydarzyły, do brawurowej akcji. Zaszczytu tego sam dostąpiłem w 1985 r. W powieści *Lewe interesy* postać o nazwisku Habeck jest agentem kosmicznym,

który na odległej o 4000 lat świetlnych Planecie Trzech Pól ukrywa się jako właściciel baru Pinta Rüsselmopsa. Czytelnicy serii o Perrym Rhodanie wierzyli przez długi czas, że Habeck to wymysł Clarka Darltona, co niezmiernie bawiło samego Waltera Ernstinga.

Zmyślna mieszanka autentycznych faktów i literackiej fikcji udała mu się szczególnie w paleoastronautycznym thrillerze z 1979 roku *Dzień, w którym umarli bogowie*. W utworze tym Ernsting głównymi narratorami uczynił samego siebie i badacza bogów Ericha von Dänikena. Ta powieść dokumentalna opowiada o małym kamiennym sfinksie, który skrywa tajemnicę pozaziemskich bogów. W odległej twierdzy andyjskiej żyje zaawansowana cywilizacja, nieskrępowana więzami czasu i przestrzeni.

Podobna sytuacja występuje w książce *Dziewięciu Nieznanych*: Wybrani są w posiadaniu tajemnej wiedzy i z ukrycia kierują losami świata. Pogłosek o potężnych tajnych stowarzyszeniach, które za kulisami pociągają za polityczne, gospodarcze czy okultystyczne sznurki, jest wiele. Teoretyków spisków wprawia to w dobry humor. Twierdzą oni, że gdyby to było prawdą, iluminaci, Skull and Bones oraz inne tajne organizacje już dawno zawładnęliby światem. Prawdą jednak jest, że doniesienia o tajnych związkach, które działają anonimowo i dyskretnie, pojawiają się od początków antyku. Mit o „Dziewięciu Nieznanych” należy właśnie do nich.

Historyczne źródło prowadzi do cesarza Ašoki (około 305–232 r. p.n.e.). Ten początkowo krwawy władca ze staroindyjskiej

dynastii Maurjów po brutalnym podbiciu Kalingi (dziś stan Orisa w północnych Indiach) porzucił przemoc i przeszedł na buddyzm. Zrezygnował z dalszych podbojów i rozpoczął krzewienie zasad społeczeństwa pozbawionego przemocy. Licznych zwolenników znalazł nie tylko w swoim imperium, lecz także w Nepalu, Chinach, Tybecie i Mongolii, przy czym był tolerancyjny wobec innych religii i wyznań. Od tego czasu cesarz Aśoka żył cnotliwie, zniósł składanie krwawych ofiar ze zwierząt, propagował wegetariański styl życia, dbał o dobrobyt społeczeństwa i poświęcił się wspieraniu pokoju. Zakazał prowadzenia wojen i chciał po wsze czasy zapewnić, aby osiągnięcia ducha ludzkiego nigdy nie były wykorzystywane jako broń do zabijania ludzi. Od tego momentu wyniki badań nad istotą materii i energii, a także techniki wpływania na psychologię tłumu miałyby być dostępne jedynie wąskiemu gronu wtajemniczonych ludzi o czystym sercu. Legenda powiada, że przed dwoma i pół tysiąca lat cesarz Aśoka wspólnie z niemal pozaziemskimi istotami założył tajny związek „Dziewięciu Nieznanych”. Ci superinteligentni strażnicy mądrości otrzymali zadanie napisania dziewięciu niezwykłych ksiąg, aby zachować w tajemnicy wiedzę wyznaczającą przyszłość ludzkości. „Dziewięciu Nieznanych”, dziewięć ksiąg, dziewięć dziedzin wiedzy: wojna psychologiczna, fizjologia, mikrobiologia, transmutacja pierwiastków, komunikacja ziemska i pozaziemska, grawitacja, kosmogonia, światło oraz ewolucja.

Istotne przy tym jest, że wszystkie te cudowne dzieła – podobnie jak seria *Perry Rhodan* – nie mają dającego się przewidzieć końca. Zgodnie z mitem tajemne księgi są w trakcie upływających stuleci wciąż powiększane przez członków ekskluzywnego kręgu. Gdy czas jednego z „Nieznanych" dobiega końca, godny następca dziedziczy skarb wiedzy i uzupełnia go o nowe przekonania. „Nieznany" żyjący obecnie jest zatem w posiadaniu zbioru doświadczeń zebranych w ciągu dwóch tysięcy lat i dzięki temu dysponuje niewyobrażalną mocą. Nie wie o tym żaden zwykły śmiertelnik, ponieważ najwyższym przykazaniem posiadaczy tych tajemnic jest absolutne milczenie.

Jeśliby dosłownie pojąć ten mit, można by się zastanawiać, kim byli członkowie szacownego grona „Dziewięciu Nieznanych". Zgodnie z jedną z fantastycznych teorii mogliby nimi być podróżnicy w czasie, którzy w ciągu wieków przyjmowali różne tożsamości lub nieśmiertelne, pozaziemskie istoty. Istnieje cała galeria genialnych alchemików, mistyków lub wybitnych umysłowości z dawnych epok, którzy dobrze pasowaliby do tego obrazu. Leonardo da Vinci, John Dee, Albert Wielki, Paracelsus, Roger Bacon lub hrabia Saint-Germain należą do obiecujących kandydatów do tego grona.

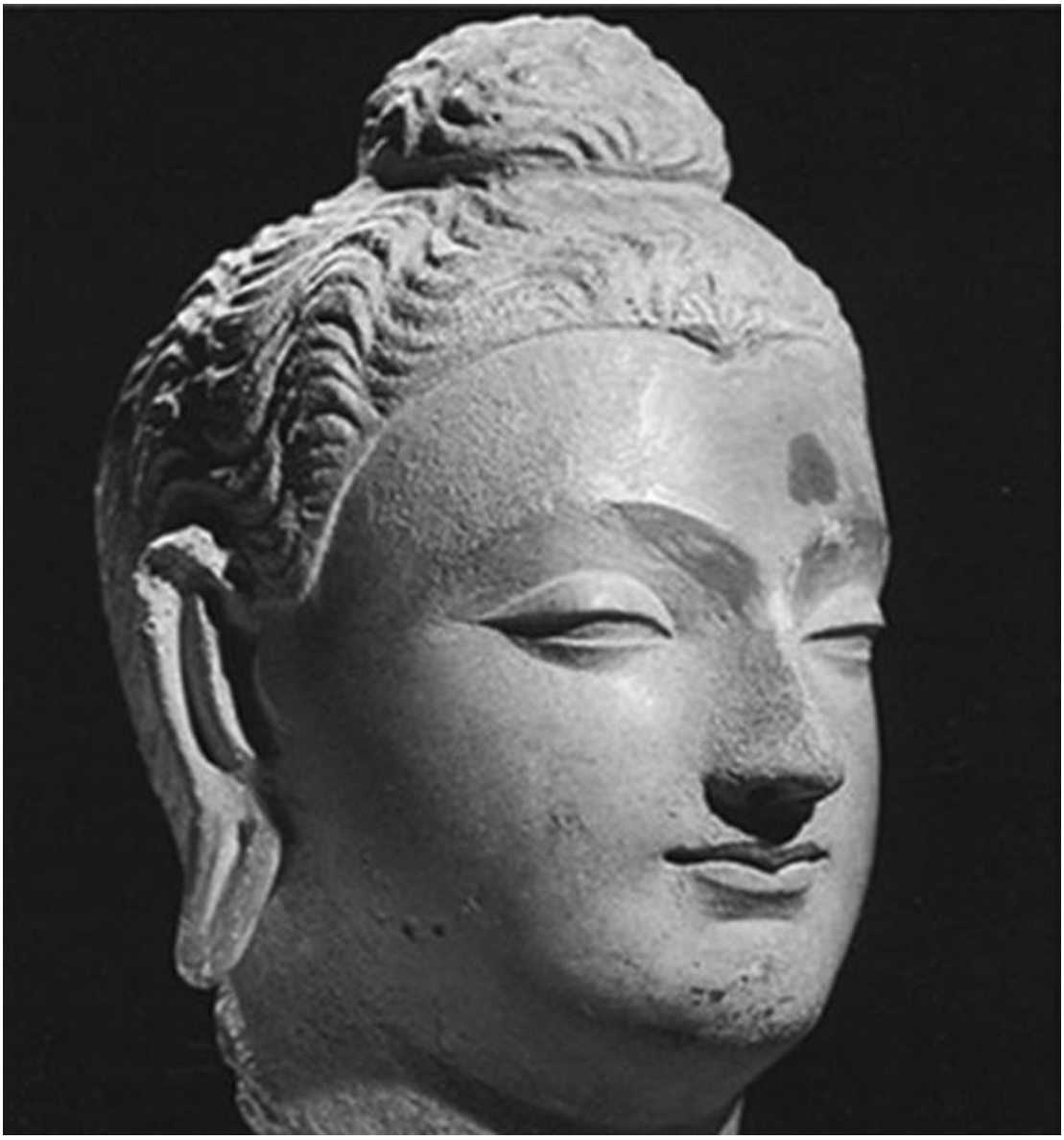

Przed ponad 2000 lat starożytny indyjski cesarz Aśoka miał założyć wraz z potężnymi istotami tajemny związek „Dziewięciu". Od tego czasu mają oni wpływać na losy ludzkości. (Zdjęcie: Archiwum Reinharda Habecka/ Źródło: www.obskuristan.com)

Francuscy autorzy Louis Pauwels (1920–1997) i Jacques Bergier (1912–1978) w swej książce *Wymarsz w trzecie*

tysiąclecie wskazują osobę będącą łącznikiem z tajnym związkiem – papieża Sylwestra II (około 940–1003), znanego także pod nazwiskiem Gebert z Aurillac. Jego wiedza z dziedziny matematyki, astronomii, filozofii i nauk ścisłych była jak na ówczesne czasy ogromna i sprawiła, że przylgnęło do niego miano „mistrza czarownic". Powiadano, że ten mnich benedyktyński swoją zadziwiającą wiedzę zdobył podczas podróży do Indii. Odbyte tam spotkanie z jednym z „Dziewięciu Nieznanych" miało być bodźcem wyzwalającym gwałtowny rozwój jego inteligencji. Pewne jest, że Gebert wprowadził wczesną formę cyfr arabskich oraz skonstruował zegar mechaniczny, organy parowe, a także inne „magiczne urządzenia". Zgodnie z legendą miał on posiadać główkę z brązu, która na wszelkie pytania natury duchowej lub świeckiej odpowiadała „Tak" lub „Nie". Kronika kościelna wskazuje, że po śmierci papieża Sylwestra II ta „magiczna głowa" została niezwłocznie zniszczona. Maszyna binarna, poprzednik komputera, przed ponad tysiącem lat mogła być postrzegana przez niewtajemniczonych tylko i wyłącznie jako diabelski wynalazek.

Mit czy prawda? Walter Ernsting sam stwierdził: „Przypuszczam, że istnieje „Dziewięciu Nieznanych", przynajmniej tak to sobie wyobrażam, ale teza ta nie wystarcza, aby napisać poważną książkę naukową. Dlatego opakowałem ten pomysł w pełną akcji powieść, ponieważ nie można udowodnić ani zaprzeczyć, czy strażnicy ludzkości naprawdę istnieją".

W swojej książce Ernsting wskazuje hipotetyczne miejsca, gdzie „Dziewięciu Nieznanych” może ukrywać przed oczami niepowołanych swoją tajną bazę z księgami mocy: Mount Aylmer w Kanadzie, Pedra Gávea w Brazylii, dolina Shangri-La w Tybecie, Karisimbi w Afryce, Mount Woodroffe w Australii, obszar Trójkąta Bermudzkiego między Florydą, Puerto Rico i Bahamami, Mount Shasta w Stanach Zjednoczonych, a także „nasza” owiana tajemnicą góra Untersberg. Z tych wszystkich miejsc dochodzą relacje o przesunięciach w czasie i niewyjaśnionych zdarzeniach.

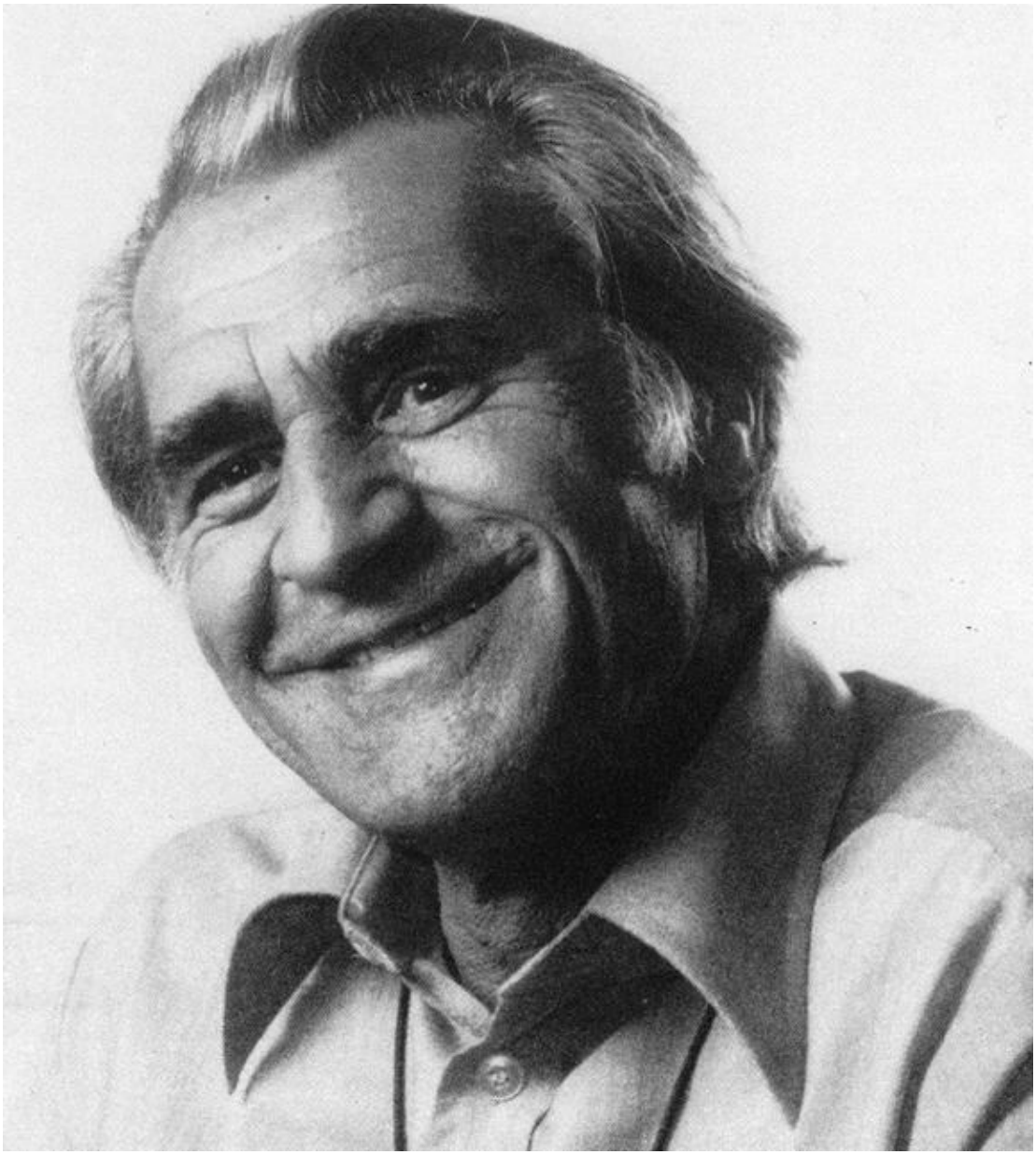

Walter Ernsting alias Clark Darlton: Co futurolog wiedział o „Dziewięciu Nieznanych”? (Zdjęcie: Archiwum Reinharda Habecka)

Także w podaniu o Lazarusie Günznerze można przeczytać, że ujrzał on tajną podziemną bibliotekę, gdzie wolno mu było studiować dzieła naukowe, nie mógł jednak odszyfrować egzotycznych liter, którymi były napisane. Czy jest to

nawiązanie do ksiąg mądrości „Dziewięciu Nieznanych”? Czy anonimowy mnich, który wprowadził Lazarusa w głąb Untersbergu, był członkiem tego ekskluzywnego stowarzyszenia?

Walter Ernsting w swojej powieści nie porusza tej kwestii. Jest jednak jeszcze jeden aspekt, który wiąże się z zapiskami Lazarusa – plac obok kościoła św. Maksymiliana. Leży on w dzielnicy Maxglan, w zachodniej części Salzburga. W podaniu o Lazarusie jest on jednym z dwunastu cudownych miejsc, do których można dotrzeć tajemnymi przejściami z Untersbergu. Dom Boży i sąsiadujący z nim cmentarz pojawiają się już w dokumentach z XIV wieku. W styczniu 2005 roku Walter Ernsting alias Clark Darlton znalazł tu miejsce wiecznego spoczynku. Obok nagrobku wznosi się mały blok skalny, na którym znajduje się rysunek przedstawiający pisarza siedzącego w fotelu statku kosmicznego. Na jego kolanach kuca bobromysz Gucky, futrzasty, błyskotliwy karzeł z dużymi oczami, wystającymi zębami i nadludzkimi zdolnościami parapsychologicznymi. Ten śmiały „wybawca uniwersum” jest jednym z najbardziej ulubionych stworzeń pozaziemskich w całej literaturze science fiction, ale równie dobrze mógłby pochodzić z jednej z jaskiń w Untersbergu.

Bohater kosmosu Gucky zapewnił Walterowi Ernstingowi nieśmiertelność. Nikt nie wie, czy genialny futurolog kiedykolwiek spotkał się z jakimś przedstawicielem „Związku Dziewięciu”. Jeśli jednak „kierowcy świata” rzeczywiście istnieją, Walter Ernsting mógł znać osobiście jednego z nich.

Nigdy nie poruszał tego tematu w rozmowach z przyjaciółmi, a nie da się tego już niestety sprawdzić. W to, że ten fantasta sam był jednym z wtajemniczonych, mogą uwierzyć tylko najwięksi marzyciele, choć sam kokietował innych dla zabawy takim właśnie wyobrażeniem.

Pochodząca z ekwadorskiej jaskini ceramiczna główka, mająca z pewnością ponad 2500 lat, stała się dzięki zaskakującemu podobieństwu do bohatera kosmosu Perry'ego Rhodana słynna na cały świat. Gdy pokazałem jej fotografię Walterowi Ernstingowi, zareagował z udawaną złością: „Cooo, te łajdaki już wtedy ukradły mój pomysł?" i z szelmowskim uśmiechem dodał: „Ciągle coś gdzieś zostawiam, a potem nie mogę tego nigdzie znaleźć…"

„Jaskinia duchów"

Jaskinie to magiczne miejsca, które od dawien dawna uskrzydlają naszą fantazję. Czy mogą one być wrotami do innych wymiarów? Legendarne skarby Untersbergu dostarczają aż nadto pobudek do snucia takich utopijnych myśli. Wokół cudownej góry ma być ponoć około 250 miejsc mocy, gdzie od starożytności aż po dzień dzisiejszy obserwowane są ubytki czasu, zmiany w świadomości i inne niewytłumaczalne zjawiska.

Untersberg to najbardziej obfitujący w jaskinie masyw w Alpach. Jest on przecięty gigantycznymi pustymi przestrzeniami jak szwajcarski ementaler. Za największy uchodzi system jaskiń Windlöcher, mający ponad 16 kilometrów długości. Tylko z grubsza da się oszacować, ile tak naprawdę jest tu jaskiń. Znanych jest ich prawie 400, ale tylko połowa z nich została zbadana naukowo, zmierzona i skatalogowana. Często mają wymyślne nazwy, jak Ausfallgang (Wyrzucający Korytarz), Bibelforscherdoline (Dolina Badaczy Biblii), Bierfasslhöhle (Beczka Piwa), Blätterteigschacht (Szyb z Ciasta Francuskiego), Hundsrückenhöhle (Psi Grzbiet), Orgelpfeifenschacht (Szyb Piszczałki Organowej), Nixloch (Jama Niczego) lub Sackloch (Jama Worka).

Dopiero w XIX wieku udało się speleologom dokładniej zbadać wnętrze masywu. Skąd jednak pochodzą świadectwa o ludziach „uniesionych do wnętrza góry", którzy stulecia wcześniej tak obrazowo opisywali „niekończące się, olbrzymia sale", a także „podziemne jeziora"? Jak wytłumaczyć opowieści o miejscach, które zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy powinny pozostać nieznane? To samo dotyczy wspomnianych w podaniu o Lazarusie dwunastu podziemnych przejść prowadzących do miejsc położonych wokół Untersbergu. Dawne przekazy pokrywają się z najnowszymi odkryciami dokonanymi w „cudownej górze". Czyżby to był tylko przypadek?

W lipcu 2008 roku niemieckim badaczom udało się ustanowić w potężnym masywie górskim rekord deniwelacji. Członkowie

Grupy Roboczej ds. Badania Jaskiń Bad Cannstatt weszli na wysokości 1879 metrów n.p.m. do jaskini Riesending-Schachthöhle, pokonali ciasny korytarz, który do tej pory uchodził za koniec jaskini, po czym spuścili się na linach do głębokich studni sięgających na kilometr (!) w głąb góry. Podczas pięciodniowej ekspedycji zlokalizowano 800 metrów nowych korytarzy i rozpoznano gigantyczne sklepienia. Szczególne zdumienie budzi fakt, że na głębokości 930 metrów speleolodzy napotkali jezioro, które dało się pokonać dopiero za pomocą pontonu. Długi na 70 metrów zbiornik wodny znajdował się na poziomie miejscowości Ettenberg. „Wyjścia niestety nie znaleźliśmy", żałował uczestnik wyprawy Thomas Matthalm. On i jego koledzy wiedzą, że nie są jeszcze u celu. „Jaskinia Riesending sięga prawdopodobnie jeszcze 150 metrów dalej w głąb, potem docieramy do wód gruntowych". Nie można też wykluczyć poziomych bocznych korytarzy, które mogą prowadzić na zewnątrz. Świadczy o tym silny ciąg powietrza, który jest odczuwalny pod ziemią. Eksperci sądzą, że znają miejsce, skąd będą mogły wyruszyć kolejne wyprawy.

To małe miejsce leży w gminie Grödig i jest ściśle związane ze światem podań dotyczących Untersbergu. Tu biją najważniejsze źródła, leżą centra kamieniołomów, spotkać można ślady osadnictwa Celtów i Rzymian, a także występuje szereg tajemniczych jaskiń: Quellhöhle, która zaopatruje miasto Salzburg w wodę pitną, Oberen Fürstenbrunnhöhlen, Doppelschacht, Brunntalschacht, a wreszcie Karlsohr. Ten niewielki otwór skalny ma szczególne właściwości. Zgodnie z

wierzeniem ludowym ludzie, którzy nadstawią pilnie ucha, mogą usłyszeć dobiegający z głębi głos cesarza Karola (lub innego zmarłego bohatera). Być może jest to pozostałość po pogańskich czasach, gdy ta mroczna rozpadlina skalna – pod inną nazwą – służyła jako wyrocznia bogów. Jeszcze dziś Karlsohr bywa używany w „rytuale upuszczania", podczas którego wrzuca się do szybu kamień, wcześniej symbolicznie pokryty czymś, czego ktoś chce się pozbyć.

Jakby tego jeszcze było mało, ma ponoć istnieć podziemnie przejście, które prowadzi od jaskini Karlsohr, obok licznych przepaści i niedostępnych dróg, do legendarnego pola Walserfeld i rosnącej na nim cudownej gruszy. Jak to zostało już wspomniane w rękopisie Lazarusa Günznera – zgodnie z proroctwem to tu u kresu czasów przebudzony do nowego życia cesarz ma stoczyć ostatnią walkę z „antychrystami".

Jest jeszcze jedna, nienazwana jaskinia w okolicy wsi Fürstenbrunn: Jaskinia bez Nazwy. Choć mało znana, jest jednak źródłem licznych opowieści mrożących krew w żyłach. Spekuluje się, czy nie jest ona jednym z portali prowadzących do innego świata, o których tyle się mówi. Opis (być może fikcyjny), który zapewne dotyczy tej jaskini, znaleźć można w powieści *Dziewięciu Nieznanych* Waltera Ernstinga. Jest zatem wystarczająco dużo powodów, by przyjrzeć się bliżej temu miejscu.

Retrospekcja z lata 2009 roku. U stóp Untersbergu spotykam się z dwoma niemieckimi badaczami – Chrisem Dimperlem, dziennikarzem i ekspertem od templariuszy z Neuötting, a

także Tomem Distlerem z Wasserburga, historykiem amatorem, który naucza szamanizmu i pomaga odbywać podróże w przeszłość. Naszym celem jest Fürstenbrunn po austriackiej stronie Untersbergu. Po drodze dowiaduję się, że powieść *Dziewięciu Nieznanych* i osobiste kontakty z jej autorem wzbudziły u moich towarzyszy zainteresowanie „cudowną górą". Od tego czasu sympatyczny duet badaczy pilnie stara się zgłębić historyczne źródło legend o innym świecie. „Dla większości żyjących zgodnie z naturą ludów góry są święte, uchodzą za pomost między niebem a ziemią", podkreśla Tom Distler. „Otoczone są aurą, której trudno się nie poddać. W naszej okolicy dotyczy to zwłaszcza Untersbergu".

Obaj poszukiwacze śladów w trakcie swych badań przeżyli już wiele dziwnych zdarzeń. Chris Dimperl wskazuje wielokrotnie obserwowane zjawisko: „Wiele podań dotyczących Untersbergu opowiada o upiornych »mieszkańcach« góry, którzy od czasu do czasu jeszcze dzisiaj na swój własny sposób mówią innym »Dzień dobry«. W małej Jaskini bez Nazwy z Fürstenbrunn spotkaliśmy się z mgłą, która nagle przybrała niesamowity kształt".

Na wspomnienie pierwszego rekonesansu z 2007 roku Chris Dimperl dostaje do dziś gęsiej skórki. To wrażenie potwierdza inny świadek naoczny – pedagog i uzdrowiciel Roland Gerstmayr z Augsburga. Doniósł mi on potem pisemnie, co wraz z Chrisem przeżył podczas wyprawy odkrywczej. Oto jego relacja: „Nasze pierwsze odkrycie tej jaskini było raczej dziełem przypadku, ponieważ pierwotnie chcieliśmy osiągnąć inne,

znane już jaskinie, leżące nieco wyżej w wąwozie Fürstenbrunn. Gdy wkraczaliśmy do środka, obaj byliśmy wyposażeni w latarki, Chris miał dodatkowo kamerę cyfrową, a ja aparat cyfrowy. Podczas wchodzenia do jaskini kamera była włączona. Czerwona lampka sygnalizująca nagrywanie paliła się przez cały czas. Wspominam o tym, bo ma to znaczenie dla zagadki, przed którą potem stanęliśmy. Gdy weszliśmy już kawałek w głąb jaskini, zrobiłem przy jednej z odchodzących w prawo nisz zdjęcie. Zaletą aparatów cyfrowych jest to, że pokazują na wyświetlaczu uchwycony przed chwilą obraz. Ujęcie ukazywało opary mgły. Początkowo myślałem, że jest to skondensowana para wodna, powstała z naszych oddechów lub w wyniku niskiej temperatury panującej w jaskini. Zrobiłem kolejne fotografie i wynik był zawsze taki sam. Na wyświetlaczu pojawiała się mgła, której nie można było dostrzec gołym okiem. Obróciłem się, aby zrobić zdjęcie części jaskini leżącej za mną. Tam nie można było dostrzec mgły ani gołymi oczami, ani za pomocą aparatu. W każdym razie wahaniami temperatur nie można zadawalająco wyjaśnić tego obłoku”.

Gdy badacze weszli dalej w korytarz, widmo zrobiło się wyraźniejsze. Przeszli jeszcze kilka metrów, po czym nagle osiągnęli koniec jaskini i stanęli przed kamienną barierą. Gerstmayr zapisał w swoim protokole: „Przed tylną ścianą zrobiłem zdjęcie w kierunku wejścia do jaskini i znów zobaczyłem na wyświetlaczu aparatu gęstą mgłę. Strzeliłem jeszcze jedną fotkę i przeraziłem się tym, co było widać na wyświetlaczu: Mglisty welon przybrał kształty! Wyglądał jak

upiorna istota, która wyciągała w moim kierunku ręce o trzech tylko palcach. Powiedziałem do Chrisa, abyśmy jak najszybciej opuścili jaskinię. On miał równie przygniatające odczucia i opuściliśmy to niesamowite miejsce. Później jeszcze raz z ciekawości odważyłem się wejść do środka i stwierdziłem, że ani w niszy, ani w głębi jaskini nie było można spostrzec niczego dziwnego. Jaskinia duchów znów była całkiem zwyczajnym miejscem".

Straszydło z innego świata czy tylko złudzenie optyczne? Gerstmayr nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie, przyznaje jednak, że gdy potem oglądał zdjęcia w oryginalniej wielkości na ekranie komputera, „nie wyglądały tak przerażająco jak wówczas, gdy byli w jaskini".

Zdarzenie to pozostaje zagadkowe jeszcze z jednego powodu. Roland Gerstmayr podsumowuje to następująco: „Jaskinia była ostatnim miejscem, które odwiedziliśmy tego dnia. Gdy wieczorem wróciliśmy do domu Chrisa w Neuötting, byliśmy zaciekawieni, czy kamera także uchwyciła coś niezwykłego. Skopiowaliśmy nieobrobiony materiał wideo na DVD i oglądaliśmy go na ekranie telewizora. Jakość filmu była bardzo dobra, ale od miejsca, w którym weszliśmy do jaskini, sprawa zrobiła się tajemnicza. Na nagraniu widać, jak wkraczamy do wejścia do jaskini i sekundę potem z niej wychodzimy. Brakuje całej sekwencji ze środka jaskini! Wygląda to tak, jakby ją ktoś wyciął! Kamera działała, nie miała awarii, bo wszystko z wyjątkiem jaskini zostało bez zarzutu nagrane. Nie ma dla tego żadnego wytłumaczenia".

Złudzenie, widowisko natury czy szczelina w czasie? W określonych miejscach mocy na Untersbergu – tam, gdzie chętnie pojawiają się opary mgły – często spotkać też można „cud" przesunięcia w czasie. Doniesienia ze średniowiecza pokrywają się z doświadczeniami z czasów obecnych: W niewyjaśniony sposób danej osobie zapodziewa się czas. Odstępstwa mogą wynosić tylko kilka minut lub – w ekstremalnych razach, jak w przypadku legendy o zaginionym orszaku ślubnym – nawet całe stulecie. Zjawiskiem tym zajął się bliżej pedagog społeczny i szaman alpejski Rainer Limpöck z Bad Reichenhall. Sam ma takie doświadczenia i przeprowadził wiele rozmów z ludźmi, którzy zdali mu wiarygodne relacje o ubytkach czasu i dramatycznych okolicznościach, w jakich do nich dochodziło. Ten krajoznawca zebrał stare i nowe opowieści, porównał je ze sobą i naniósł na mapę odpowiednie miejsca. Dzięki temu można stwierdzić, w którym regionie najczęściej dochodziło do przesunięć w czasie. „Linia Cyryla", jak ją nazywa Rainer Limpöck, „ciągnie się od centrum Mittagsscharte w dół do Waldandacht w Großgmain". Obszar ten jest znany także z uskoków geomagnetycznych. Rainer Limpöck uważa za całkowicie możliwe, że „anomalie budowy skorupy ziemskiej wpływają na strukturę czasu".

Czy zegary w „jaskini duchów" koło Fürstenbrunn również chodzą inaczej? Badacze Tom Distler i Chris Dimperl prowadzą mnie do jaskiniowego portalu. Nie jest on bardzo oddalony od skraju wsi, ale odległość, gęsty las i gęste zarośla sprawiają, że łatwo go przeoczyć. Idąc wzdłuż potoku, docieramy do

stromego wzniesienia. Wspinamy się kilka metrów w górę i już po chwili znajdujemy się przed wejściem. Od razu rzuca się w oczy, że w odróżnieniu od znanych jaskiń z Untersbergu ta została sztucznie wyryta we wnętrzu góry. Czy sztolnia ta służyła podczas pierwszej lub drugiej wojny światowej jako tajny magazyn broni? Ściany skalne są czerwonobrązowe. Czy wydobywano tu boksyty? Nie da się daleko wejść w głąb jaskini. Po 30 metrach zatrzymujemy się. Stoimy przed kwadratową ścianą skalną, wykazującą pewne podobieństwa ze skamieniałym portalem. Dlaczego zaniechano dalszego kopania?

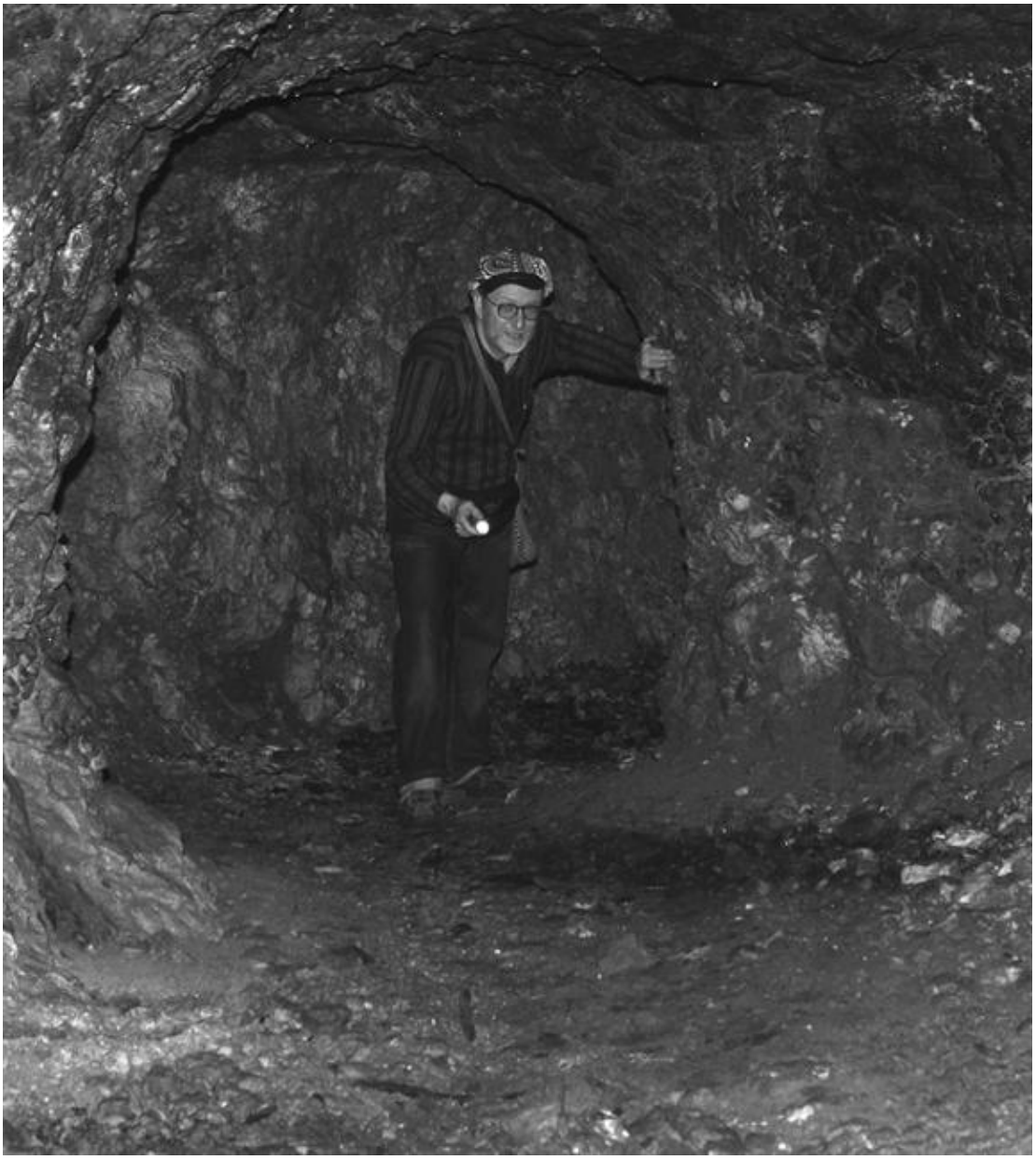

We wnętrzu „jaskini duchów” w Untersbergu (Zdjęcie: Elvira Schwarz)

Ciemny korytarz nie jest ani trochę przytulny. Nie mamy ochoty pozostawać tu ani chwili dłużej. Podczas moich badań nie mogę nigdzie stwierdzić podejrzanych oparów mgły. Jedna tylko rzecz zwraca uwagę: nasze latarki odmawiają działania, a

kompas, który wziąłem ze sobą, jest bezużyteczny. Czyżby uszkodzenie? Tak wówczas pomyślałem, ale parę dni później znów działał bez zarzutu. Odnotowania godna jest jeszcze jedna rzecz, która może mieć znaczenie, choć nie musi: Tak jak podczas poprzednich wizyt Chrisa i Toma, na nagraniach z naszej kamery zrobionych przed jaskinią i w niej samej widać nagromadzenie „orbów".

Słowem tym określane są kuliste twory, które pojawiają się zwłaszcza na zdjęciach robionych aparatami cyfrowymi. Bardzo rozsądne osoby tłumaczą, że te fotografowane na całym świecie „kule energii" powstają jako zjawiska fizyczne w wyniku oświetlenia lampami błyskowymi drobinek kurzu, pyłków, kropli deszczu lub płatków śniegu. Amerykańscy naukowcy z Uniwersytetu Arizona chcieli w 2005 roku zbadać, czy jest to prawda. Zajmująca się fizyką Katherine Creath i psycholog Gary E. Schwartz zrobili trzema aparatami 1000 zdjęć w różnych warunkach. Na około 200 z nich ukazały się kuliste plamy. Eksperci w swej analizie opublikowanej w czasopiśmie „Journal of Scientific Exploration" doszli do wniosku, że orby muszą być odbiciem światła. Ale czy są nimi rzeczywiście?

W tym samym badaniu został wspomniany wypadek, gdy „kula energii" została uchwycona w trakcie tworzenia filmu dokumentalnego BBC. Zdjęcia kręcono przy użyciu drogiej kamery na podczerwień, bez sztucznego światła czy błyskawic. Mimo to można zobaczyć poruszający się, typowy orb. Pojawia się w jednej ze scen nad stołem, unosi się powoli, po czym

znika. Badacze wykluczyli, że to zjawisko powstało w wyniku odbijania światła przez kurz. Logicznego wytłumaczenia nie ma po dziś dzień.

Skąd zatem pochodzą te „prawdziwe” orby? Ezoterycy wierzą w ich paranormalny rodowód. Pola energii astralnej, energetyczne istoty zbudowane z antymaterii, duchy ziemi i żywiołów, dusze naszych praprzodków, superbyty z prawieków, wielowymiarowe formy świadomości, nośniki informacji wyższych instancji czy światy równoległe o kulistej formie to tylko niektóre z wielu egzotycznych prób wytłumaczenia tego zjawiska.

Czy jaskinia duchów w Fürstenbrunn jest siedliskiem orbów? Nie potrafię prześwietlić wraz z moimi przyjaciółmi z Untersbergu, Tomem Distlerem i Chrisem Dimperlem, tajemnicy jaskini. Rdzawy nalot na bocznych ścianach koło wejścia wskazuje jednak, że jama ta była niegdyś zamknięta wrotami. To nasuwa na myśl związane z Untersbergiem podanie o Ellhammerze Hieslu. Miał on być drwalem, który pewnego dnia odkrył wielkie, żelazne wrota. Były one jednak mocno zamknięte. Nie mógł ich otworzyć, a zatem poprosił o pomoc swoich przyjaciół ze wsi. Ruszyli więc z ostrymi toporami i łomami, ale choć długo i skrupulatnie szukali, nie mogli nigdzie odnaleźć żelaznej bramy.

Kryptorobak, zjawy na niebie i marmurowe karły

Pozostańmy jeszcze w Fürstenbrunn. Znajduje się tu małe, lecz godne uwagi Muzeum Untersbergu. Swoje podwoje otworzyło ono w 1989 roku, otwarte jest jednak dla odwiedzających tylko w weekendy. Przez telefon umawiam się z 82-letnim dyrektorem Martinem Leitnerem. Krzepki honorowy obywatel Grödig znajduje czas, aby pokazać mi pieczołowicie zebrane wraz z kolegami eksponaty.

Poza obejrzeniem elektromechanicznej góry, której poruszające się figurki i karły ślicznie ukazują najważniejsze mity związane z Untersbergiem, goście muzeum mogą dowiedzieć się tu wiele nowego. Czy wiedzieliście, że w 1966 roku w jaskini Hollerloch na wysokości 1620 metrów n.p.m. niedaleko Mittagsscharte odkryto całkiem nowy gatunek zwierząt? Naukowcy nazwali dziwne znalezisko *Typhlojulus Seewaldi*. Jest to długa na 14 milimetrów, bladożółta stonoga o dwóch parach odnóży przy każdym segmencie ciała. W 1982 roku w jaskiniach masywu Dachstein odkryto kolejne egzemplarze tego rzadkiego dwuparca.

Pozostałości z czasów celtyckich i rzymskich odkryte w kamieniołomie marmuru u stóp Untersbergu. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

A czy ktoś słyszał o tym, że w kamieniołomach pod Untersbergiem napotkano nie tylko rzymskie towary użytkowe i celtyckie figurki bogów, lecz także w 1884 roku odnaleziono wielkiego skamieniałego amonita? Ci praprzodkowie kałamarnic żyli przed 80 milionami lat w oceanach z okresu kredy. W tym czasie okolica wsi Fürstenbrunn była dnem morza. Podczas gdy zwykłe amonity osiągają co najwyżej 50 centymetrów średnicy, okaz z Untersbergu zadziwia wielkością wynoszącą aż 140 centymetrów. Oryginał znajduje się dziś w Muzeum Historii Naturalnej w Salzburgu. Jeszcze większe wrażenie robi znalezisko z 1895 roku. Amonit ten ma 1,8 metra

średnicy i został odkryty w Münster w Nadrenii Północnej-Westfalii.

Jedna z sal wystawowych jest poświęcona pojawiającej się na niebie zjawie zwanej „dzikim łowem”. Zgodnie z mitem ludowym jest to wściekła armia upiorów, która pędzi ponad horyzontem, wydając niezrozumiałe okrzyki, zwłaszcza podczas dwunastu nocy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli. Istnieją nawet przekazy, zgodnie z którymi ludzie bywają wówczas porywani między chmury, a potem zrzucani w odległych miejscach. Salzburski historyk Nikolaus Huber (1833–1887) notuje: „Korowód duchów gna przed siebie jak burza, w powietrzu rozbrzmiewa niezrozumiałe wycie, słychać rżenie koni, szczekanie psów, strzelanie z bicza i odgłosy polowania. Biada nocnemu wędrowcowi, jest on bezpowrotnie stracony, jeśli nie rzuci się natychmiast na ziemię i nie zakryje twarzy, aby pochód duchów przeleciał obok niego”.

Jakie zjawisko zostało tu zaobserwowane i opisane? Legendy o nagłym pojawianiu się nadnaturalnego wojska rozpowszechnione są w całej Europie Północnej i krajach alpejskich, a zwłaszcza w okolicach Untersbergu. W zależności od regionu wśród ludu mówiło się o „dzikim gonie”, „straszliwym nocnym ludzie” lub „armii trupów Wotana”. Także sposoby, w jakie manifestowało się to zjawisko, były różne i sięgały od „nocnej jazdy złych demonów” aż po „latające smoki”. Naukowcy spierają się o pochodzenie i znaczenie pędzących po niebie „powietrznych humanoidów”. Jest możliwe, że za pojęciem tym kryją się powiązane ze sobą

podania i zjawiska, które dopiero później, z biegiem historii wymieszały się w jeden mit „dzikiego łowu”. Najczęstsze wytłumaczenie nieposkromionej pogoni odwołuje się do celtyckich rytuałów, które miały udobruchać boga burz i strasznych zimowych wiatrów, lub do germańskiego boga Wotana, zwanego też Wodanem lub Odynem, z którym miał być związany ten mit. Warte zbadania byłoby też znaczenie dwunastu nocy oraz dwunastu postaci podniebnego ludu. Czy mają one jakiś symboliczny związek z dwunastoma podziemnymi bramami, przez które niegdyś wędrował Lazarus Günzner podczas pobytu w cudownej górze?

Nawiązanie można znaleźć też w alpejskim podaniu *O dzikim wojsku z Untersbergu*: „Czasami w głębinach Untersbergu słychać wojskową muzykę i szczęk broni, dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy krajowi grozi wojna. Dzicy rycerze i ich giermkowie pędzą wówczas nocą po okolicach Salzburga, ku własnemu utrapieniu, a ludziom na postrach. W rozżarzonych pancerzach jadą na ognistych rumakach, a z ich broni sypie się ogień. Z nastaniem dnia kończy się ten dziki pochód i upiorne hordy wracają przez żelazną bramę do Untersbergu. Brama ta jest widoczna tylko dla nielicznych i prowadzi na zewnątrz koło Hallthurm, pomiędzy dwiema zawalonymi rozpadlinami skalnymi”.

Określenie Hallthurm odnosi się do najstarszej fortyfikacji strzegącej przełęczy na granicy księstwa kościelnego Berchtesgaden (1550–1803). Jej resztki znajdują się w okolicy Bischofswiesen, w najbardziej wysuniętym na południowy

wschód skrawku Bawarii. Do „dzikiego łowu” odnoszą się też kiedyś poważnie brane pod uwagę interpretacje, które dziś wydają się raczej śmieszne: Dawnymi czasy gęganie dzikich gęsi, odgłosy morskich ptaków i puszczyków miały być źródłem podania o pochodzie szalejących duchów. Pod dyskusję poddawane są zarówno ekstremalne i dziwne zjawiska pogodowe, jak i śmiałe hipotezy o dawnych kontaktach z UFO. Choć pochodzenie podania pozostaje nierozwikłane, wyobrażenie „dzikiego łowu” wciąż żyje w zwyczajach ludowych. W okolicach Grödig co roku wędruje korowód dwunastu mistycznie przebranych postaci, którym często towarzyszy pochód z pochodniami. Przypominający afrykańskich uzdrowicieli tancerze w maskach pojawiają się nagle o zmroku w sobie tylko znanych miejscach, zakłócają wieczorny spoczynek mieszkańców wsi, hałasując, gwiżdżąc i bębniąc, ile się da, po czym błyskawicznie znikają w ciemnościach zimowej nocy. Martin Leitner z dumą pokazuje mi historyczne maski związane z tym zwyczajem, który poświadczony jest aż do końca XIX wieku, a potem stopniowo popadł w zapomnienie. „W 1949 roku tradycja na nowo ożyła i jest podtrzymywana przez grupę obrzędową Jung Alpenland”, cieszy się Martin Leitner.

Ulubionym tematem krzepkiego przewodnika po muzeum jest jednak słynny marmur z Untersbergu. Ściśle rzecz biorąc, nie jest to prawdziwy marmur, kamień krystaliczny powstały w wyniku działania wysokiej temperatury i dużego ciśnienia, lecz szczególna forma naturalnego wapienia. Wydobywana jest ona

i przerabiana od czasów starożytnych. Tylko cienki pokład w okolicach Fürstenbrunn jest tym kamieniem, który rzeczywiście może być określany jako marmur z Untersbergu. Z tej odmiany wapienia wykonano zarówno Salę Kolumnową parlamentu w Wiedniu, sarkofag kanclerza Rzeszy Ottona von Bismarcka (1815–1898), jak i marmurowe karły w centrum Salzburga. Nie wiemy dziś, kto stworzył skamieniałe „ludziki z Untersbergu". Wiadomo tylko jedno: Za panowania arcybiskupa Franza Antona księcia Harrach (1665–1727) powstało 28 rzeźb, które potem zostały sprzedane lub zniszczone. Dwanaście ocalałych osobliwości, odrestaurowanych, a po części odkupionych, w tym kobietę karła, można od 1921 roku oglądać w ogrodach Mirabell.

Z kolorowego untersberskiego marmuru powstaje coś jeszcze: cieszące się dużą popularnością kule. Można powiedzieć, że są to twarde jak kamień kulki mozartowskie. Martin Leitner prowadzi mnie do szczególnej atrakcji mieszczącej się już poza murami muzeum – ostatniego wciąż działającego młynka kulowego w Austrii. Z odłamków marmuru rzeźbi się kamienne kostki i wkłada do młynka. Wyrafinowana konstrukcja, składająca się z kamienia szlifierskiego, tarczy obrotowej i koła wodnego, zamienia je w idealne kule. W zależności od wielkości może to trwać od dwóch do pięciu dni. Dziś wytwarza się już tylko pamiątki lub kulki do gry. W XVIII wieku było inaczej. Wówczas w okolicach Salzburga działało 50 zakładów, które w ciągu roku wytwarzały 5 milionów kamiennych kul, wysyłanych potem na cały świat. Były używane one jako

amunicja do dział oraz stosowane jako balast w zęzach żaglowców. Gdy wielkie statki żaglowe zostały wyparte przez parowce, a rolę balastu przejęły węgiel i tanie bryły cementu, los młynków kulowych został przypieczętowany.

Rozpowszechniony jeszcze w XX wieku, dziś już rzadki: młynek kulowy napędzany wodą. Kamienie szlifujące i płyta obrotowa po kilku dniach wytwarzają idealne kule z marmuru. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Tajemnica Ettenbergu

Po wizycie w dożywającym swych dni „czerwono-biało-czerwonym świecie kul” robimy przeskok do położonego bardziej na południe regionu berchtesgadeńskiego. U wylotu Almbachklamm znajduje się kolejny młynek kulowy – tym razem ostatni funkcjonujący na terenie Niemiec. Widziałem już jednak obracające się kamienie i tak naprawdę interesuje mnie pewne miejsce w okolicach miejscowości Marktschellenberg, gdzie wciąż wydarzają się niesamowite rzeczy. Punkt ten, leżący przy samotnej drodze do Ettenbergu, nazywany jest przez miejscowych „laskiem duchów”. Ma się tu gnieździć ponoć lokalna zjawa. Z pewnością w zakątku tym świetnie czują się „orby”, co może potwierdzić wiele zrobionych tu zdjęć. Po drugiej stronie drogi znajduje się małe wzniesienie. Na wzgórzu dostrzec można trzy jasne kamienie, które ledwo wystają sponad trawy i tworzą skierowany na wschód trójkąt. Fantaści widzą w nich portal do innego świata, ezoterycznie nastawieni miłośnicy natury wykorzystują to miejsce do medytacji, a radiesteci starają się za pomocą różdżek i wahadełek wykryć podziemne źródła energii. Znaki świadczące o podziemnym cieku wodnym? Pola elekromagnetyczne? Czy wierzchołki trójkąta wskazują na leżące pod ziemią skały? Czy poniżej znajdują się nieodkryte puste przestrzenie? Tyle pytań, a tak mało jasnych odpowiedzi.

Ruiny w regionie berchtesgadeńskim łączone są ze związaną z templariuszami legendą o Panach Czarnego Kamienia. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

To samo dotyczy reliktów skalnych leżących na skraju lasu w najbliższej okolicy, które dziś zarośnięte są krzakami i poszyciem. Zgodnie z niejasnym przekazem są to pozostałości komturii, którą miał w XIII wieku założyć niemiecki templariusz o imieniu Hubertus Koch wraz z niewielkim zastępem rycerzy. Grupa ta, zwana Panami Czarnego Kamienia, posiadała podobno jeszcze drugą, większą siedzibę pod Untersbergiem, ale gdzie dokładnie, tego nie wiadomo. Powiada się tylko, że obie te lokalizacje były połączone podziemnym

przejściem, a w jaskini miała się znajdować tajemna świątynia, w której był przechowywany magiczny czarny kamień. Był on określany jako Ilua i zgodnie z przekazami miał być tu skrywany aż do nastania nowej ery w dziejach świata. Historia głosi, że zleciła im to kobieca, nadnaturalna istota o imieniu Isais. Dama ta miała się objawić jednemu z krzyżowców w mezopotamskim mieście Niniwa, leżącym dziś w północnym Iraku. Wskazała mu w wizji drogę do oddalonej góry położonej na Zachodzie, w której Koch rozpoznał Untersberg. Tam osiedlił się ze swoimi towarzyszami, aby w tajemnicy strzec potężnego kamienia Ilua. Mówi się, że nadobna superistota przekazała też inne prezenty: lustro, przez które można spojrzeć na drugi brzeg, ostrze oszczepu ojca germańskich bogów Odyna, przerobione na sztylet, a także obcięte włosy bogini nieba Isais, które były „płaszczem ochronnym" dla drogocennego kamienia. Przez dwanaście (!) lat ta nadziemska postać miała się objawiać o określonych porach w zamku templariuszy, aby przekazywać rycerzom ważne proroctwa.

Tyle mówi śmiała opowieść. Czy nazwa Isais odnosi się do staroegipskiej bogini Izydy? Istniał „rycerz Hubertus", ale czy nazywał się on Koch? Czy pozostałości ruin koło Marktschellenbergu są rzeczywiście dowodem na jego istnienie? A magiczny czarny kamień? Czy to fantastyczny relikt, który został wpleciony w podanie o Untersbergu? A może to tajemny symbol legendarnego świętego Graala? Tak samo jak cudowny „kamień karłów", o którym mówi się, że może on przebudzić do nowego życia śpiącego w górze cesarza?

Brakuje pewnych źródeł, na których można by się oprzeć, przez co podanie o Isais nie sprawia poważnego wrażenia. W miejscu, gdzie Panowie Czarnego Kamienia mieli rzekomo postawić komturię, z ziemi wystaje pokryty napisami blok skalny, na którym można odczytać rok 1857. Czy jest to data wzniesienia budowli? W takim razie „rycerz Hubertus" byłby tylko fantomem, chyba że w tym samym miejscu istniał wcześniej o wiele starszy budynek. Dałoby się to stwierdzić, ale historyków to miejsce chyba za bardzo nie interesuje. A właściwie dlaczego nie? Czy wykopaliska archeologiczne podbudowałyby legendę, czy też ją ostatecznie zburzyły?

Dramatycznie przekształcone elementy podania o Isais stały się kanwą powieści *Kamienie mocy* Wolfganga Stadlera, technika zajmującego się konstrukcjami stalowymi i pisarza. Mimo niewiarygodnej treści – na przykład tajemnicze czarne kamienie są przyczyną anomalii czasowych występujących na Untersbergu – historia ta ma się opierać na rzeczywistych zdarzeniach. Stadler zna zjawisko przesunięcia w czasie z własnego doświadczenia. Podczas prowadzonych przez siebie eksperymentów przy użyciu stopera miał on stwierdzić różnice w czasie sięgające dwóch minut. Od tej pory Stadler jest zafascynowany Untersbergiem. Podobnie jak Walter Ernsting w *Dziewięciu Nieznanych*, autor ten wybrał sobie pseudonim i publikuje pod nazwiskiem Stan Wolf. „Wiele rzeczy jest zbyt niepojętych, aby można je było po prostu spisać", uzasadnia swój krok. „Być może powinny one zostać ukryte, gdyż rozum ludzki przyjmuje do wiadomości tylko to, co jest mu znane". Z

tego powodu pisarz ten nie opublikował książki naukowej, tylko „powieść opartą na faktach”. Stadler alias Wolf pozostawił w ten sposób czytelnikom wybór tego, co sami zechcą uznać za rzeczywistość.

Goście przebywający w okolicach Untersbergu mogą sami zbadać niektóre z tajemniczych śladów, które autor wskazał w swej powieści. Zalicza się do nich trudny do zinterpretowania plafon, „na którym promień światła skierowany jest w stronę niebieskiego kamienia szlachetnego”. Fresk ten znajduje się w maryjnym kościele pielgrzymkowym w Ettenbergu. To idylliczne miejsce wznosi się wśród malowniczych łąk ciągnących się ponad Marktschellenbergiem. Roztacza się stąd widok na okoliczne szczyty: Hohe Göll, Watzmanna, Hochkalter oraz masyw Untersbergu.

Późnobarokowy dom boży został postawiony w 1723 roku za panowania w księstwie kościelnym Juliusa Heinricha barona Rehlingen. Wieść gminna niesie, że w niektóre noce odprawiają tu swoje tajemne msze „ludziki z Untersbergu”. Ma o tym przypominać kamienny karzeł stojący naprzeciwko kościoła, w ogrodzie gospody Mesnerwirt. Zanim wzniesiono obecną świątynię, w jej miejscu stał mały dom modlitwy. Zgodnie z kroniką do wiszącego w nim cudownego obrazu Maryi miały zacząć napływać pielgrzymki. Mówi się, że obraz ten miał pewnego razu zniknąć w niewyjaśniony sposób z gospodarstwa w Unterettenbergu, a potem pojawić się na pniu lipy w Almbergu, jak niegdyś nazywał się Ettenberg. Ta zmiana miejsca powtarzała się jeszcze wielokrotnie, zanim ludzie

zrozumieli, że to boski znak, aby pod lipą postawić kaplicę. Legend o świętych obrazach, które same sobie wybierają miejsce, jest niezliczona liczba. Często są one podawane jako motyw budowy danego kościoła. U niewierzących wywołuje to podejrzenia, że w tego rodzaju znakach bożych niebagatelną rolę odegrały czysto ziemskie środki.

Przesadna pobożność ociera się o komizm. Odpust św. Anny w Ettenbergu ma duże zadatki w tym kierunku. Swymi korzeniami sięga on 1746 roku, kiedy to mieszkająca w Salzburgu M.E. Knoblachin ofiarowała kościołowi dużą sumę – z zobowiązaniem jednak, aby co roku w kościele pielgrzymkowym odprawiano mszę dziękczynną. Zlecenie byłoby łatwe do wykonania, gdyby nie to, że ofiarodawczyni zażyczyła sobie 40-godzinnego młynka modlitewnego! Z trwającego pierwotnie trzy dni maratonu modlitewnego pozostało skrócone coroczne święto w ostatnią niedzielę lipca.

Ludzie zwiedzający kościół pielgrzymkowy mogą odkryć wiele niezwykłych rzeczy: wyrzeźbioną z jednego kawałka drewna, wysoką na 4 metry figurę św. Krzysztofa z XVII wieku (poprzednia jej lokalizacja jest równie tajemnicza jak artysta, który wykonał rzeźbę); symbole Litanii Loretańskiej, skierowanej wprost do Matki Bożej: „Zwierciadło sprawiedliwości”, „Stolica mądrości”, „Brama niebieska”, „Kielich poświęcenia”, „Wieża z kości słoniowej”, „Arka Przymierza”; unikalną piętnastą stację drogi krzyżowej z wyobrażeniem odnalezienia Krzyża Świętego w Jerozolimie przez cesarzową Helenę; rzadki motyw Jana Chrzciciela

piszącego piórem z Barankiem Bożym; zagadkowy napis „W dniu Sądu to się objawi” na obrazie zatytułowanym *Tajemne cierpienie Jezusa 1850*; odłamek bomby umieszczony na prawo od ołtarza, przypominający o amerykańskim nalocie bombowym 25 kwietnia 1945 roku na należący do Hitlera Berghof na pobliskim Obersalzbergu.

W kościele można zobaczyć jeszcze jedną osobliwość: duży, kolorowy plafon w nawie głównej. „Przedstawia on w górnej części Maryję wstawiającą się u Trójcy Świętej za cały lud boży, który reprezentowany jest przez księcia Juliusa Heinricha von Rehlingen (herb!), kanoników, zwierzchników kapituły oraz kilkoro mężczyzn i kobiet. W dolnej części, połączonej za pomocą promienia światła wychodzącego z serca Maryi, widać starotestamentowy pierwowzór tych wydarzeń. Oto królowa Estera prosi króla Kserksesa o łaskę życia dla swych żydowskich współwyznawców, którzy za sprawą knowań ministra Hamana mieli zostać wydani na śmierć. W tle szubienica, na której zamiast Żyda Mordechaja został stracony Haman”. To wszystko, czego na ten temat można się dowiedzieć z przewodnika po kościele.

Co było przyczyną, że ten właśnie mit został przedstawiony w kościele w Ettenbergu? Jakie przesłanie zawiera to malowidło? Informacje na ten temat są ubogie, podobne jak dane o życiu artysty. Dzieło miał stworzyć około 1725 roku niejaki Anton Worath z Burghausen koło Altötting. Co zaskakuje, to wielość detali ukrytych w obrazie. Pozostaje jednak kwestią interpretacji, co one oznaczają. Oglądając malowidło, nie mogę

wyjść z podziwu. Na samej górze widać grono aniołów z Duchem Świętym pod postacią gołębicy, a poniżej na prawo można ujrzeć Boga Ojca. Ma on trójkątną aureolę i wskazuje berłem na niebo. Jego wzrok skierowany jest na Jezusa, który został przedstawiony niżej po lewej stronie. Zbawiciel spogląda wzwyż na Ducha Świętego, lewą ręką obejmuje krzyż, a prawą wskazuje na Maryję. Ta klęczy poniżej na obłoku, pomiędzy swoim Synem a Wszechmogącym. Maryja patrzy na Jezusa, a lewą ręką pokazuje zgromadzone za nią mrowie ludzi. Są to sportretowani duchowni i świeccy dostojnicy z początku XVIII wieku. Historycy zidentyfikowali budowniczego kościoła prepozyta z Rehlingen, a także dziekana kapituły Cajetana Antona Notthaffta. Kim są jednak inne osoby i dlaczego zostały one przedstawione?

W oczy rzuca się przede wszystkim promień światła wychodzący z serca Maryi. Leci on do trzymanego przez jednego z aniołów lustra. Po odbiciu od niego pod kątem zbliżonym do prostego promień muska ciemnoniebieski kamień szlachetny w diademie królowej Estery i pada na grzbiet jej prawej dłoni. Z lewej strony na Esterę patrzy głowa lwa. Za nią na tronie spoczywa król Kserkses. Jego wzrok skupiony jest na klejnocie, podczas gry berło przecina promień i skierowane jest ku sercu Estery.

Malarz ukrył w swym dziele prawa świętej geometrii. W tle obrazu, na prawo od szubienicy widoczna jest przypominająca obelisk piramida, której wierzchołek wskazuje znajdującą się w znacznej odległości trójkątną aureolę Boga Ojca. Jego berło

uniesione jest pod tym samym kątem co promień światła idący od lustra do klejnotu królowej Estery. Jeszcze jedna rzecz jest godna uwagi: oczy Jezusa, Ducha Świętego, Boga Ojca i Maryi wyznaczają geometryczne punkty. Jeśli pociągniemy linię od oczu Zbawiciela do gołębicy, potem do Wszechmogącego, a następnie z powrotem do Jezusa, otrzymamy trójkąt równoramienny skierowany wierzchołkiem w górę – symbol męski. Jeśli jednak poprowadzimy linię od Jezusa do Boga Ojca, potem do Maryi, a na koniec z powrotem do Jezusa, uzyskamy znów trójkąt równoramienny, ale tym razem skierowany wierzchołkiem w dół – symbol żeński. To nie może być przypadek. Nigdzie nie mogłem odkryć związanego z historią kościoła uzasadnienia tych symboli. Gdyby wiedział o nich Dan Brown, amerykański autor powieści sensacyjnych, czytelnicy nie musieliby długo czekać na kontynuację jego *Zaginionego symbolu*.

Kolejne interesujące wskazówki dotyczące ukrytej w malowidle symboliki można znaleźć w mitologii. Ze Starego Testamentu dowiadujemy się, że królowa Estera była żydowską sierotą, która została zaadoptowana przez swego kuzyna Mordechaja i w V wieku p.n.e. żyła w żydowskiej diasporze w Persji. Intrygujące jest to, że imię Estera pochodzi od nazwy Isztar, która z kolei była boginią nieba, czczoną w Mezopotamii jako ucieleśnienie kobiecości i płodności. Isztar ponadto utożsamiano z sumeryjską boginią o imieniu Inanna, a tym samym była ona najpotężniejszą boginią całej Babilonii. Mogła się objawiać w trzech płciach: męskiej, żeńskiej i nadziemskiego

mieszańca. Jej symbolem był lew, a ponadto uchodziła ona za założycielkę stolicy państwa – Niniwy. Niektórzy badacze starożytności przypuszczają, że egipska Izyda mogła powstać z babilońskiej Isztar, choć nie ma niezbitych dowodów na tę tezę. Nie da się jednak przeoczyć, że malowidło zdobiące sufit kościoła w Ettenbergu zawiera takie symbole, jak lustro, kamień szlachetny, Niniwa, lew, kobiecość, męskość oraz połączenie ich obu, przy czym znaki te jednocześnie wchodzą w skład objawienia Isais.

Pasuje do tego zadziwiające odkrycie dokonane w miejscu, gdzie templariusz Hubertus Koch miał rzekomo otrzymać od wyższej istoty magiczne przedmioty. W 1850 roku brytyjski archeolog sir Henry Layard (1817–1894) odkopał w ruinach Niniwy perfekcyjnie oszlifowane szkło powiększające z kryształu górskiego w kształcie doskonałej elipsy. Mierzy ono wzdłuż dłuższej osi 4,2 milimetra, przy brzegu jest nieco cieńsze, a w środku ma maksymalną grubość 6,2 milimetra. Umożliwia ono uzyskanie dwukrotnego powiększenia.

Wykopana w 1850 roku w Niniwie, dziś w północnym Iraku, starannie wypolerowana soczewka powiększająca z kryształu górskiego. Porównywalne soczewki optyczne pojawiają się w Europie dopiero w XIX wieku. Skąd mieszkańcy starożytnej Mezopotamii posiadali

odpowiednią wiedzę i technologię? (Zdjęcie: copyright nieznany; źródło: Robert Temple)

Badania mikroskopowe ujawniły malutkie ślady, które mogą wskazywać na oprawę, która nie zakrywała tylnej strony soczewki. Dziś jest ona pokryta zanieczyszczeniami i wykazuje lekkie uszkodzenia powierzchni. Powstały one wskutek długiego przebywania przedmiotu pod ziemią. Pierwotnie jednak, jak twierdzą specjaliści od obróbki kamieni szlachetnych, soczewka ta była całkowicie przezroczysta. Szczególnie zadziwia to, że jest ona płasko-wypukła i została starannie wypolerowana przy użyciu tak zwanego szlifu toroidalnego, aby celowo uzyskać określone właściwości optyczne. Przez to jej produkcja była bardziej skomplikowana i czasochłonna niż w przypadku zwykłych szkieł optycznych.

Problem polega na tym, że tego rodzaju precyzyjne soczewki znane są w Europie dopiero od XIX wieku, a tymczasem egzemplarz z Niniwy ma, jak udowodniono, co najmniej 2600 lat. Ten postrach nauki przechowywany jest dziś w dziale zbiorów zachodnioazjatyckich British Museum w Londynie. Opinia orientalisty Roberta Temple'a, który zbadał wraz z zespołem optyków cudowny kamień, brzmi: „Obiekt ten powstał w wyniku zastosowania długotrwałej i żmudnej metody prób i błędów, a mimo to jest mistrzowskim osiągnięciem technologii, nawet jeśli nie opierała się ona na teoretycznych obliczeniach z dziedziny optyki. Z tego względu jest to chyba

jeden z najbardziej godnych podziwu artefaktów technologicznych powstałych w starożytności, który dotrwał do naszych czasów”.

Można by wręcz przyjąć, że przy polerowaniu pomagała w magiczny sposób pozaziemska inteligencja, jak na przykład bogini Isais. Co pozostaje po niejasnych przekazach i podejrzanych Panach Czarnego Kamienia? Bajkowy zamek w chmurach czy prawda, która w ciągu wieków kryje się w coraz gęstszym mroku, ale mimo to wciąż nie do końca wygasła?

Nie wszystkie bynajmniej tajemnice Untersbergu zostały już wyjaśnione. Co tak naprawdę wiemy o wieloświecie? Czy istnieją istoty pochodzące z innych rzeczywistości? Czy możemy nawiązać z nimi kontakt? Jaka siła wywołuje rysy w strukturze czasoprzestrzeni?

Gdy Dalajlama odwiedził w 1992 r. Salzburg, określił on Untersberg jako „czakrę serca Europy”. Znanych jest wiele sentencji, których autorem jest duchowy zwierzchnik Tybetu. Jedna z nich została zapisana w pamiętniku pewnego niedowiarka: „Niepostrzeganie czegoś nie dowodzi nieistnienia tego”.

Epilog i podziękowania

Pewnego dnia trzeba będzie przyznać, że to, co zostało określone mianem rzeczywistości, było jeszcze większą iluzją niż świat snów.

Salvador Dali (1904–1989)

Co się dzieje po śmierci? Czy istnieje drugi brzeg, czy są inne światy i ponowne narodziny? Nie wiemy tego. Jedna rzecz jest tylko pewna dla wszystkich ludzi – jesteśmy gośćmi na ziemi…

Ostatecznie chodzi o to, aby sensownie wykorzystać dany nam czas. Jednemu udaje się to lepiej, innemu gorzej. Kiedyś jednak każdy będzie musiał się udać w ostatnią podróż.

Nie każdy człowiek osiąga szacowny wiek mojej babki, która zmarła w sierpniu 2002 roku, mając 95 lat. Specjalnych ciasteczek maślanych babci Margarethe, przygotowywanych według tajnego przedwojennego przepisu, obawiali się w rodzinie wszyscy. Poza mną. Ja zawsze pochłaniałem je z królewską przyjemnością i byłem wdzięczny za każdy ich okruszek. Babcia pozostała w mojej pamięci także z powodu swojego spektakularnego „epilogu”. Nie upłynęło wiele czasu od

pochowania jej doczesnych szczątków, gdy astralne ciało babci Grety nawiedziło mojego ojczyma „sir” Henry’ego Wallingera. Brzmi to jak kiepski dowcip, wydarzyło się jednak naprawdę. Henry to racjonalnie myślący mężczyzna, grający chętnie w szachy, który wiele uważa za możliwe, a w niewiele wierzy. Tym bardziej skonsternowany był ten dobry człowiek, gdy nieoczekiwanie stał się naocznym świadkiem czegoś niewyjaśnionego. Przynaglony naturalną potrzebą opuścił on około czwartej nad ranem łóżko i udał się w ustronne miejsce. W pół drogi stanął przestraszony na widok postaci, którą ujrzał. W pierwszej chwili myślał, że to włamywacz – była to jednak istota ze światła. Mój ojczym przysięga: „Zjawisko było szarobiałe jak mgła, przez którą przebija światło, i poruszało się około 15 centymetrów nad ziemią, zmierzając z salonu na balkon. Potem osoba ta obróciła głowę i poznałem, że to była Margarethe. W końcu wyszła z uśmiechem przez zamknięte okno. Tajemnicze zdarzenie trwało tylko kilka sekund. Nie znajduję przekonującego wyjaśnienia tego, co widziałem”. Moja mama, która przespała rodzinną zjawę, była nieco obrażona: „Sama chciałabym to przeżyć”, wzdycha, „dlaczego nie pokazała się mnie? Jako córka byłam jej przecież bliższa”.

Tak to jednak jest ze spontanicznymi zjawiskami z nadprzyrodzonego świata: są przelotne, nieuchwytne i całkowicie nielogiczne. Świadkowie pozostają z uczuciem fascynacji, ale także niepewności.

Jak zareagujesz, gdy nagle przed twoimi oczami objawi się coś niepojętego? To może się zdarzyć każdemu z nas. Staniemy

wtedy sami przed pytaniem: Czy to złudzenie zmysłów, czy też świadectwo nadziemskich manifestacji?

Tajnemu radcy i poecie Johannowi Wolfgangowi von Goethemu (1749–1832) ten dylemat nie przeszkadzałby aż tak bardzo. Wiedział on bowiem dobrze, że: „Najwyższe, do czego dojść może człowiek, to zdumienie".

Drodzy Czytelnicy, czy sami przekraczacie granicę tego, co wydaje się fantastyczne? Przeżyliście lub zobaczyliście coś, co przedtem uważaliście za nie do pomyślenia? Wiecie o jakimś ukrytym, nieprawdopodobnym odkryciu, które jest zagadkowe? A może sami jesteście w posiadaniu „magicznego" przedmiotu o nieznanym pochodzeniu i znaczeniu? Także jeśli chcielibyście zgłosić krytykę lub jakąś sugestię, możecie śmiało do mnie napisać. Wszystkie informacje będą traktowane jako poufne. Dane kontaktowe znajdziecie na mojej stronie internetowej:

www.reinhardhabeck.at

Książki nie piszą się same. Zbieranie informacji i obszerne badania źródłowe są równie potrzebne jak konsultacje z fachowymi informatorami. Jest tak zwłaszcza wtedy, gdy tak jak w tym wypadku chodzi o mocno spekulacyjne i sporne treści. Autor jest zdany zawsze, i to pod wieloma względami, na pomocną radę i praktyczną pomoc innych osób. Czasami jego wysiłki pozostają bez rezultatów, tak jak stało się to w przypadku zapytania o zdjęcie wnętrza Untersbergu, gdzie niedawno zostały odkryte dotychczas nieznane systemy

jaskiniowe. Choć w książce odpowiednio doceniłem zarówno samo okrycie, jak i godną podziwu pracę badaczy, postanowili oni udostępniać materiał „tylko dla ściśle naukowych publikacji".

Mam to szczęście, że takie odpowiedzi odmowne zdarzają się nad wyraz rzadko. Życzliwi czytelnicy, prawdziwi przyjaciele, nieskomplikowani koledzy, pomocni fotografowie i renomowani badacze wspierają mnie bezinteresownie od wielu lat w poszukiwaniach kosmicznych śladów. Za ich zachęty i za konstruktywną krytykę z ich strony jestem im niepomiernie wdzięczny. W przypadku *Fenomenów niemożliwych* było nie inaczej.

Przede wszystkim chciałbym podziękować prof. Hademarowi Bankhoferowi za jego zaufanie, wsparcie i przyjaźń. „Mister Zdrowie", jak chętnie nazywają go przyjaciele i media, opublikował niezliczone bestsellery, w których odpowiadał na pytania z dziedziny medycyny naturalnej. Cztery z nich miałem przyjemność ilustrować. Być może mniej znany jest fakt, że prof. Bankhofer w latach 60. XX wieku, zanim skupił się w swej twórczości na tematyce zdrowia, zajmował się literacko zjawiskami parapsychologicznymi.

Osobą, która dała mi najwięcej energii tak potrzebnej podczas pracy pisarskiej, kolejny raz była moja „nadprzyrodzona" towarzyszka z Bazylei Elvira Schwarz. Jeździła ona ze mną do miejsc, gdzie objawiły się niezrozumiałe zjawiska, gdzie mogliśmy razem przeżyć to, co wręcz niewiarygodne. Tak jak w przypadku poprzednich tytułów Elvira jako pierwsza

czytelniczka, a także tłumaczka artykułów była dla mnie źródłem bezcennych sugestii pozwalających na tworzenie kolejnych wersji tekstu.

Słowa podziękowania jestem winny wielu pomocnym ludziom, którzy bardzo przyczynili się do ukazania się tej publikacji, co wcale nie znaczy, że zgadzają się oni ze wszystkimi przedstawionymi w tej książce pomysłami i teoriami. Wymieniam ich w kolejności alfabetycznej:

AAS – Towarzystwo Badań Archeologicznych, Astronautycznych i SETI, Beatenberg; Werner Betz; Biuro Informacji Turystycznej Seefeld, Tyrol; Werner Burger; Luc Bürgin; Cornelia von Däniken; Erich von Däniken; Joky van Dieten; Chris Dimperl; dr Rudolf Distelberger; Tom Distler; Klaus Dona; Anke i Horst Dunkelowie; Franz Elsensohn; Gisela Ermel; Ariana Fiala i Walter Ernsting (zm. 2005); Robert Ernsting z rodziną; Martina i Hans (zm. 2009) Fichtenbauerowie; Claudia i Peter Fiebagowie; dr Johannes Fiebag (zm. 1999), Lars A. Fischinger; emerytowany burmistrz Karl Fritsche; Grazyna Fosar i Franz Bludorf; Regina Froitzheim i kot Lucky (zm. 2005), Inge i inż. Walter Garn; Roland Gerstmayr; prof. Dietmar Grieser; Ingrid i Willi Grömlingowie; Helga Habeck i „sir” Henry Wallinger; Hubert Haensel z rodziną; Renate i Walter Hain; Rainer Holbe; Hans-Peter Jaun i Irma Schirinzi; Peter Krassa (zm. 2005); dr Alexander Keul; dr Eugen Köberle (zm. 1979); Daniela Kornek i Karl Lesina; Walter-Jörg Langbein; dyr. Martin Leitner; rodzina von Lex; Rainer Limpöck; Ernst Meckelburg (zm. 2008); Bernhard Moestl;

Muzeum Salzburskie, Salzburg; Muzeum Untersbergu, Fürstenbrunn; dr Heimo N. Nemec; Dzintra Pededze; ks. Egon Pfeifer; Gerhard Pirchl; Conny i Mario Rank; Romana Rathkolb i Roland Kernstock; redakcja „Mysteries”, Bazylea; redakcja „Sagenhafte Zeiten”, Beatenberg; Dietmar Rücker; dr Christian Schmidt; Seraphim Institut, Niddatal; Wolfgang Siebenhaar; inż. Guillermo Sotomayor (zm. 2005); Ekkehard Steinhäuser z rodziną; Oliver Stummer; Verein Steinspur; Karin Tag; German Villamar; Andrea Weiss z rodziną oraz Isabell Wolter.

Nie mogę też pominąć dobrych duchów z wydawnictwa Ueberreuter, w tym Martiny Gutmann, Johanna Prölla, Thomasa von Sackena, mgr. Alfreda Schierera, mgr. Thomasa Zaunera, a także kierownika programu Melchiora Müllera.

Moje redaktorki mgr Elisabeth Wagner i mgr Karin Ballauff zasługują na szczególne uznanie ze względu na ich słowa zachęty i konstruktywną współpracę podczas pracy nad rękopisem.

Na zakończenie chciałbym podziękować szefostwu wydawnictwa za niesłabnące zainteresowanie tematami „które nie powinny istnieć” – za to, że mimo to są one obecne w wydawnictwie Ueberreuter. *Fenomeny* nie powinny być ostatnim moim słowem w tej dziedzinie…

Bibliografia

Nadnaturalne pamiątki

Bader Meinrad P. *Seefeld und seine Wallfahrten*, Innsbruck 1909

Bender Hans *Verborgene Wirklichkeit* Freiburg 1974

Biedermann Hans (red.) *Knaurs Lexikon der Symbole* Monachium 1989

Bingham Hiram *Machu Picchu – die legendäre Entdeckungsreise im Land der Inka* Monachium 2007

Bogun Werner, Straet Norbert *Lexikon der Esoterik*, Kolonia 1997

Bonin Werner F. (red.) *Faszination des Unfassbaren*, Stuttgart 1983

Bonin Werner F. (red.) *Lexikon der Parapsychologie und ihrer Grenzgebiete*, Frankfurt nad Menem 1981

Bray Warwick, Trump David *Lexikon der Archäologie*, 2 tomy, Reinbek koło Hamburga 1975

Briad Jacques *Die Megalithen der Bretagne*, Paryż 2000

Bürgin Luc *Hochtechnologie im Altertum*, Rottenburg 2003

Cavanilles Javier, Máñez Francisco *Los caras de Bélmez*, Walencja, 2007

Cavendis Richar *Die Welt des Übersinnlichen*, Wiedeń 1995

Däniken Erich von *Zmierzch bogów*, Wydawnictwo Prokop 2010

Däniken Erich von *Podróż na Kiribati*, Wydawnictwo Prokop 1995

Derungs Kurt *Magisch Reisen Bern*, Berno 2003

Dieten Joky van *Messengers of Ancient Wisdom*, Noordwijkerhout (brak roku wydania)

Distelberger Rudolf *Stanowisko podczas konferencji prasowej do wystawy »Unsolved Mysteries«*, Wiedeń, 1. 3. 2001

Dona Klaus, Habeck Reinhard *Im Labyrinth des Unerklärlichen*, Rottenburg 2004

Dopatka Ulrich *Die große Erich von Däniken Enzyklopädie*, Düsseldorf i Monachium 1997

Dorland Frank *Der Kristallschädel von Lubaantun*, w: »Antike Welt«, zeszyt 3, Feldmeilen 1975

Eisenbud Juls *Gedankenfotografie – Die PSI-Aufnahmen des Ted Serios*, Freiburg 1995

Elsensohn Franz *Was man sich früher erzählte*, Rankweil 2001

Fawcett Percy Harrison (autor), Fawcett Brain (opracowanie), Pleticha Heinrich (red.) *Geheimnisse im brasilianischen Urwald*, Wiesbaden 1996

Fiebag Peter *Der Götterplan*, Monachium 1995

Fischinger Lars A. *Historia Mystica*, Monachium 2009

Froitzheim Regina, osobista relacja, Erkrath 2010

Fuss Thomas H. *Abusir – Mysterium einer vergessenen Technik*, w: „Das Erbe der Götter“ (red. Erich von Däniken),

Monachium 1997

Gebhardt Wolf *Das Rätsel der unheimlichen Gesichter*, w: „P.M. Perspektive – Mystery“, nr 1, Monachium 2009

Giot Pierre-Roland *Menhire und Dolmen,* Chateaulin 2006

Giot Pierre-Roland *Vorgeschichte in der Bretagne,* Chateaulin 2008

Grieser Dietmar *Im Tiergarten der Weltliteratur*, Monachium 1991

Grimm Jacob *Deutsche Mythologie,* kompletne wydanie, Wiesbaden 2007

Gugitz Gustav *Österreichs Gnadenstätten in Kult und Brauch*, 5 tomów, Wiedeń 1955–1958

Habeck Reinhard *Obrazy niemożliwe, które nie mogły powstać, a istnieją,* Wydawnictwo Amber 2017

Habeck Reinhard *Erscheinungen aus dem Jenseits*, Wiedeń 2001

Habeck Reinhard *Wundersame Plätze in Österreich*, Wiedeń 2007

Haining Peter *Das große Gespensterlexikon*, Bindlach 1996

Hasmann Gabriele *Geisterjäger*, Wiedeń 2009

Hausdorf Hartwig *Równoległe rzeczywistości,* Wydawnictwo Amber, Warszawa 2006

Hellenbrand Ullrich, GenzmerHerbert *Rätsel der Menschheit*, Bath (brak roku wydania)

Hill Douglas, Williams Pat *Das Übernatürliche,* Genewa 1967

Hoffmann Hellmut, Mulacz Peter *PSI – die andere Wirklichkeit*, Wiedeń-Klosterneuburg 2001

Holbe Rainer *Bilder aus dem Reich der Toten*, Monachium 1987

Holbe Rainer *Ein Toter spielt Schach und andere unglaubliche Geschichten*, Monachium 1988

Holbe Rainer *Phantastische Phänomene*, Monachium 1993

Holbe Rainer *Verborgene Wirklichkeiten*, Monachium 2008

Innes Brian *Geistererscheinungen*, Niedernhausen 1998

Jantsch Franz *Kultplätze im Land der Berge Tirol und Vorarlberg*, Unterweitersdorf 1995

Jürgenson Friedrich *Sprechfunk mit Verstorbenen*, Monachium 1989

Keller Werner *Was gestern noch als Wunder galt*, Zurych 1973

Kernstock Roland *Wo sich die Wasser trennen*, Schrems 2006

Kohlenberg Karl F. *Enträtselte Vorzeit*, Monachium 1970

Krassa Peter, Habeck, Reinhard *Światło faraonów. Najwyższe technologie i prąd elektryczny w starożytnym Egipcie*, Wydawictwo Uraeus, Gdynia 1995

Langbein Walter-Jörg *Tajemnice Biblii*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 2000

Langbein Walter-Jörg *Bogowie z kosmosu*, Videograf II, 2006

Langbein Walter-Jörg, osobista relacja, Lügde 2010

Lucadou Walter von (red.) *Dimension PSI*, Monachium 2003

Lukan Karl, Lukan Fritzi *Heiliges und Wundersames*, Wiedeń-Graz-Klagenfurt 2008

Lurker Manfred *Wörterbuch der Symbolik*, Stuttgart 1991

Martínez José R. *Las Caras de Bélmez*, Barcelona 1978

Mason John (red.) *Rätsel des menschlichen Geistes*, Londyn-Glarus 1978

Mayer Joachim, Tschallener Gabriele *Wallfahrt nach Rankweil*, Rankweil 1994

Meckelburg Ernst: *Zeitschock*, Monachium 1993

Miers Horst E. *Lexikon des Geheimwissens*, Freiburg 1986

Moestl Bernhard *Die Kunst einen Drachen zu reiten*, Monachium 2009

Moestl Bernhard, osobista relacja, Bangkok 2010

Mohen Jean-Pierre *Die Alignements von Carnac*, Paryż 2000

Morton Chris, Thomas Ceri L. *Tajemnica kryształowych czaszek*, Wydawnictwo Amber, Warszawa 2016

Noel Graveline *Le Puy-en-Velay*, Beaumont 2003

Oliveros Arturo *Monte Alban – Reiseführer deutsch*, Merida 1996

Paturi Felix R *Phänomene des Übersinnlichen*, Stuttgart 1992

Permutt Cyril *Fotos aus einer anderen Welt*, Monachium 1990

Pfarl Peter *Die schönsten Wallfahrtsorte Österreichs*, Graz 2004

Pfeifer Egon, osobista relacja, Seefeld 2007

Phule Annekatrin *Das Lexikon der Geister*, Monachium 2004

Ploberger Karl *Kristallkopf wurde nicht von den Maya geschliffen*, w: „Kurier", 12. 3. 1982

Prescott William J. *Die Welt der Inkas*, Monachium 1974

Ragghianti Carlo L., Collobi Licia R. *Nationalmuseum für Anthropologie und Geschichte in Mexiko City*, Vaduz 1976

Sailer Gerhard, Schatz Mechthild *Seefeld*, Seefeld (bez roku wydania)

Schauber Vera, Schindler Hanns Michael *Die Heiligen und Namenspatrone im Jahreslauf*, Monachium 1985

Schneemelcher Wilhelm *Neutestamentliche Apokryphen*, Tybinga 1987

Schnezler August (red.) *Badisches Sagen-Buch*, Karlsruhe 1846

Senkowski Ernst *Instrumentelle Transkommunikation*, Frankfurt nad Menem 1995

Sheldrake Rupert *Niezwykłe zdolności naszych zwierząt*, Książka i Wiedza, Warszawa 2001

Shuker Karl P. N. *Weltatlas der rätselhaften Phänomene*, Bindlach 1996

Siebenhaar Wolfgang *Die Wahrheit über die Chronik von Akakor*, luty 2006

Tag Karin *Der Geheimcode im Kristallschädel*, Rottenburg 2008

Thom Alexander *Megalithic Lunar Observatories*, Oxford 1978

Uhlig Ralf-Dieter, Boewen Ute *Peru – Reiseführer und Landeskunde*, Dreieich 1995

Weidinger Erich (red.) *Die Apokryphen – Verborgene Bücher der Bibel*, Augsburg 1990

Zingerle Ignaz von (red.) *Sagen aus Tirol*, Innsbruck 1891

http://grenzwissenschaft-aktuell.blogspot.com/

http://www.elseip.com/

www.agrw-netz.de/

www.geopolymer.org

www.jokys-peacemission.com/
www.mitchell-hedges.com/
www.mystikum.at/
www.sagenhaftezeiten.com/
www.seraphim-institut.de/
www.spukvilla.de/
www.tonbandstimmen.de/
www.vtf.de/

Anomalie przyrodnicze

Adams Russell B. jr. (red.) *Mystische Stätten*, Kolonia 1999

Amberger Madeleine *Kopf-Bewegung*, w: „Kurier", Wiedeń, 10 stycznia 2009

Bauer Wolfgang, Dümotz Irmtraud, Golowin Sergius, *Lexikon der Symbole*, Monachium 2001

Bauval Robert, Gilbert Adrian *Piramidy – brama do gwiazd*, Wydawnictwo Amber, Warszawa 1996

Bojanowski Axel *Die Rätsel der russischen Eiskreise*, w: „Der Standard", Wiedeń, 5 lutego 2010

Brown Dan *Anioły i demony*, Albatros, Warszawa 2003

Bruno Giordano *Über das Unendliche, das Universum und die Welten*, Ditzingen 1994

Daneshmandi Laila *Zwei Mal knapp am Tod vorbei*, w: „Kurier", 6 września 2009

Delury George E. *Weltalmanach des Übersinnlichen*, Monachium 1982

Derungs Kurt *Geheimnisvolles Basel*, Solothurn 2004

Devereux Paul *Das Gedächtnis der Erde*, Aarau-Monachium 2000

Douval Henri Eduard *Magische Phänomene*, Freiburg 1956

Fba / Dp, Nowa Zelandia *Fallschirmspringer überlebt freien Fall aus 3600 Metern Höhe*, w: „Spiegel Online", Hamburg, 13 lutego 2007

Fosar Grażyna, Bludorf Franz *Dziedzictwo Avalonu*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1977

Fritsche Karl *Die Alpe Rona*, Bürserberg-Bludenz 2006

Fritsche Karl *Persönliche Mitteilung*, Bürserberg 2010

Gebhold Kai *Die Theorie von Allem und die hermetische Philosophie des alten Ägyptens und Griechenlands*, wydanie własne, Kolonia 2009

Gebhold Kai *Licht und Wahrheit – Die Säulen des Salomons/Die Schlüssel des Salomons*, 2 tomy, Berlin 2009

Haas Erwin *Galaktische Mäuse?*, w: „Tages-Anzeiger", Zürich, 21 września 2002

Haas Hieronymus P. *Wallfahrtsgeschichte von Mariastein*, Mariastein 1973

Habeck Reinhard i inni *Unsolved Mysteries – Die Welt des Unerklärlichen*, katalog wystawy, Wiedeń 2001

Habeck Reinhard *Götter und Mysterien im alten Ägypten*, Wiedeń 2001

Habeck Reinhard *Steinrätsel, Strahlenspuk und das GPS der Vorzeit*, w: „Tagungsband zum One-Day-Meeting der

Forschungsgesellschaft Archäologie, Astronautik und SETI Erfurt 2006", Groß-Gerau 2006

Harwood Jeremy *Die Freimaurer*, Wiedeń 2007

Hitching Francis *Die letzten Rätsel unserer Welt*, Frankfurt nad Menem 1982

Höhne Anita *Lexikon des Übersinnlichen*, Monachium 1994

Holtorf Jürgen *Die Logen der Freimaurer*, Monachium 1991

Höpfner Otto *Einhandrute und Pyramidenenergie*, Melsbach 1989

Jensen Nils, Trumler Gerhard *Die schönsten Kirchen Österreichs*, Wiedeń 2005

Kalender, Kultstätte, Kraftplätze, konferencja naukowa Bürserberg 2003 i 2004, gmina Bürserberg (wyd.), Bürserberg-Bludenz 2004

Kasper-Müller Ulrike i inni *Handbuch des Aberglaubens*, 3 tomy, Wiedeń 1996

Keul Alexander *Ball lightning car collision near Traunstein, Bavaria*, w: „The Journal of Meteorology" nr 222, Bradford-on-Avon, październik 1997

Kleiner Karl *Pater Pio – Ein Heiliger von Wunden gezeichnet*, Altötting 2002

Krassa Peter, Habeck Reinhard *Światło faraonów. Najwyższe technologie i prąd elektryczny w starożytnym Egipcie*, Wydawnictwo Uraeus, Gdynia 1995

Lay Peter *Kirlian-Fotografie – faszinierende Experimente mit paranormalen Leuchterscheinungen*, Poing 2000

Lemesurier Peter *Geheimcode Cheops*, Freiburg 1978

Lovelock James *Gaja. Nowe spojrzenie na życie na Ziemi, Prószyński i S-ka, Warszawa 2003*

Mauthner-Weber *Es ist sehr viel mehr möglich*, wywiad z Antonem Zeilingerem, w: „Kurier", Wiedeń, 4 września 2004

Nikkhah Roya, Barrett David *Skydiver survives 10,000 ft fall to the ground*, w: „Daily Telegraph", Londyn, 15 sierpnia 2009

Noetling Franz *Die kosmischen Zahlen der Cheopspyramide*, Stuttgart 1921

Ostler Reinhold *Verkehrte Welt. Hier spinnt die Schwerkraft*, w: „Mysteries" nr 5, wrzesień 2004

Pirchl Gerhard *Geheimnis Adernsterne*, Bozen 2004

Pötscher August M. *Geschichte des Servitenordens*, Wiedeń 2001

Renzo Allegri *Padre Pio, Lehrer des Glaubens*, Hauteville 2002

Rétyi Anreas von *Macht und Geheimnis der Illuminaten*, Rottenburg 2004

Richter Wolfgang *Pioneer Anomalie, Rätselhafte Kraft im All*, w: „Stern", Hamburg, 20 kwietnia 2006

Ripota Peter *Das Geheimnis Gravitation*, w: „P.M.", Monachium, luty 2003

Santler Helmut *Das große Handbuch der Wunder*, Wiedeń 2007

Sheldrake Rupert *Nowa biologia. Rezonans morficzny i ukryty porządek*, Wydawnictwo Virgo, Warszawa 2013

Simons Paul *Froschregen, Kugelblitze und Jahrhunderthagel*, Monachium 1997

Tischner Herbert *Lexikon der Völkerkunde*, Frankfurt nad Menem 1960

Werner Helmut *Lexikon der Esoterik*, Monachium 1999

Witte Claudia *Feuerbälle aus einer anderen Welt*, w: „P.M. Perspektive", Monachium 2001

Wüst Hans Werner *Lexikon der Sprüche und Widersprüche*, Wiedeń 2004

Zeilinger Anton *Einsteins Spuk*, Monachium 2007

http://de.wikipedia.org/wiki/Pioneer-Anomalie

http://grenzwissenschaft-aktuell.blogspot.com/

http://vaticanobservatory.org/

www.astronews.com

www.fgk.org/

www.fosar-bludorf.com/

www.heise.de/

www.hessdalen.org/

www.kornkreiswelt.at/

www.mysteries-magazin.com/

www.seti.org/

www.wissenschaft.de

Legendarne czasy

Barber Malcom *Die Templer – Geschichte und Mythos*, Düsseldorf 2005

Becker Markus *Neue Tarnkappe, Bademantte macht Objekte unsichtbar*, w: „Spiegel Online", Hamburg, 16 stycznia 2009

Boeing Niels *Ein Tunnel in andere Welten*, w: „GEO Wissen – Zeit das ewige Rätsel" nr 36, Hamburg 2005

Bouchal Robert, Wirth Josef *Höhlenführer Österreich*, Wiedeń 2001

Brown Dan *Zaginiony symbol*, Albatros/Sonia Draga, Warszawa/Katowice 2010

Brugger Walter *Wallfahrtskirche Maria Ettenberg*, Marktschellenberg-Berchtesgarden 1995

Bürgin Luc *Nowa księga zakazanej archeologii*, Wydawnictwo Amber, Warszawa 2017

Christandl Markus *Abstieg ins Ungewisse*, w: „tz", Monachium, 5 sierpnia 2008

Däniken Erich von *Dowody: wizja lokalna na pięciu kontynentach*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1996

Darlton Clark *Die besten Gucky-Geschichten*, części 1 i 2, Kolonia 1998

Darlton Clark *Die neun Unbekannten*, Rastatt 1983 (nowe wydanie: Ernsting Walter *Die unterirdische Macht*, Fichtenau 2000)

Dimperl Chris, osobista relacja, Neuötting 2009

Distler Thomas, osobista relacja, Ampfing 2009

Drei Deutsche auf Untersberg verschollen (nie podano autora), w: „Salzburger Nachrichten", Salzburg, 19 sierpnia 1987

Erni Stéphanie *Zeitriss im Berg*, w: „Mysteries" nr 2, marzec 2009

Ernsting Robert, osobista relacja, Salzburg 2009

Ernsting Walter *Der Tag an dem die Götter starben*, Düsseldorf 1979

Ernsting Walter, osobista relacja, Salzburg 2004

Farkas Vikto, *Jenseits des Vorstellbaren*, Wiedeń 1996

Fichtenbauer Martina i Hans, osobista relacja, Schrems 2007

Fichtinger Christian *Lexikon der Heiligen und Päpste*, Salzburg 1983

Fiebag Peter, Gruber Elmar, Holbe Rainer, *Mystica – Die großen Rätsel der Menschheit*, Augsburg 2005

Freisauff von Neudegg Rudolf (red.) *Salzburger Volkssagen*, Wiedeń-Lipsk 1880

Gaisbauer R. Gustav (red.) *Walter Ernsting zum Gedächtnis*, Erster Deutscher Fantasy Club e. V., Passau 2005

Gerstmayr Roland, osobista relacja, Augsburg 2009

Golowin Sergius *Menschen und Mächte*, Zurych 1970

Grimm Jacob, Grimm Wilhelm *Deutsche Sagen*, 2 tomy, Kassel 1816 i 1818

Habeck Reinhard *Geheimnisvolles Österreich*, Wiedeń 2006

Habeck Reinhard *UFO – Das Jahrhundertphänomen*, Wiedeń 1997

Haiding Kurt *Österreichischer Sagenschatz*, Wiedeń-Monachium 1977

Halpern Paul *Löcher im All – Modelle für Reisen durch Raum und Zeit*, Reinbek koło Hamburga 1997

Hausdorf Hartwig *Pozaziemska technologia starożytności*, Wydawnictwo Amber, Warszawa 2017

Hawking Stephen *Krótka historia czasu*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990

Herzog Wilhelm *Die Untersbergsage, nach den Handschriften untersucht und herausgegeben*, Graz-Wiedeń-Lipsk 1929

Huber Nikolaus *Sagen vom Untersberg*, Salzburg 1901

Irlinger Caroline *Mysteriöses Zeitloch in der literarischen Schlosserei*, w: „Berchtesgadener Anzeiger", Berchtesgaden, 20 czerwca 2009

Jantsch Franz *Kultplätze im Land Oberösterreich und Salzburg*, Unterweitersdorf 1994

Kaku Michio *Im Hyperraum – Eine Reise durch Zeittunnel und Paralleluniversen*, Reinbek koło Hamburga 1994

Kammerhofer-Aggermann Ulrike oraz Salzburger Landesinstitut für Volkskunde (red.), *Sagenhafter Untersberg*, Salzburg 1991

Karl Zinnburg, *Salzburger Volksbräuche*, Salzburg 1977

Kernstock Roland *Es geschieht in den Wäldern – Die Wilde Jagd und andere unheimliche Ereignisse im Nordwald*, w: „Tagungsband zum One-Day-Meeting der Forschungsgesellschaft Archäologie, Astronautik und SETI in München 2007", Groß-Gerau 2007

Kobler Kurt, Kutzner Joachim, Schmid Andy (red.), *Ein Freund der Menschheit – Abschied von Walter Ernsting*, Terranischer Club Eden, Bottrop 2005

Krassa Peter, Habeck Reinhard *Biblioteka liści palmowych. Tajemnicze areny naszego świata – 21 zagadkowych fenomenów*, Wydawnictwo Uraeus, Gdynia 1994

Kuthmayer Friedrich *Alpensagen*, Wiedeń 1915

Landesverein für Höhlenkunde in Salzburg (red.), *Salzburger Höhlenbuch*, t. 1, Salzburg 1975

Lang Johannes *Reichenhaller Burgenweg*, Bad Reichenhall 2004

Langhans Heiko *Clark Darlton – Der Mann, der die Zukunft brachte*, Rastatt 2000

Leitner Martin, osobista relacja, Fürstenbrunn 2009

Lex E. Hjalmar von, osobista relacja, Salzburg 1992

Limpöck Rainer *Die Zauberkraft der Berge*, Wiedeń-Graz-Klagenfurt 2009

Liu Ruopeng, Smith David i inni *Broadband Ground-Plane Cloak*, Center for Metamaterials and Integrated Plasmonics, Department of Electrical and Computer Engineering, Duke University, Durham 2009 (patrz też „Science", Nowy Jork, t. 323, nr 5912, 16 stycznia 2009)

Lukan Karl *Wanderungen in die Vorzeit*, Wiedeń-Monachium 1989

Mai Klaus-Rüdiger *Geheimbünde*, Bergisch Gladbach 2006

Pauwels Louis, Bergier Jacques *Aufbruch ins dritte Jahrtausend*, Berno-Monachium 1962

Petzoldt Leander (red.) *Sagen aus Salzburg*, Monachium 1993

Probst Ernst *Rekorde der Urzeit*, Monachium 1992

Rétyi Andreas von *Die Stargate Verschwörung*, Rottenburg 2000

Riessler Paul *Altjüdisches Schrifttum außerhalb der Bibel*, Augsburg 1928

Schwartz Gary E., Creath Katherine *Anomalous Orbic „Spirit" Photographs? A Conventional Optical Explanation*, w: „Journal of Scientific Exploration", t. 19, nr 3, Tiburon (Kalifornia, USA) 2005

Stüber Eberhardt, Illich Inge, Medicus Christine *Haus der Natur*, Salzburg 2001

Temple Robert *Die Kristall-Sonne*, Rottenburg 2002

Uhlir F. Christian (red.) *Im Schattenreich des Untersberges*, Norderstedt 2004

Uhlir F. Christian, Danner Peter *Untersberger Marmor*, Norderstedt 2006

Vernaleken Theodor *Alpensagen*, Graz 1993 (reprint z 1858 roku)

Völkerling Jörg *Untersberg, Das süßeste Geheimnis*, w: „tz", Monachium, 8 sierpnia 2008

Wolf Stan *Steine der Macht*, Neckenmarkt-Wiedeń-Monachium 2009

http://obskuristan.com/
www.historikerwelt.de
www.hoehlenverein-salzburg.at/
www.kraftort.org/
www.lehmpfuhl.org/
www.perry-rhodan.net/
www.sagen.at/
www.untersberg.net/
www.untersberg.org/

Przypisy

[1] Tłumaczenie fragmentu Ewangelii: Krzysztof Sykta, źródło http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,1797.

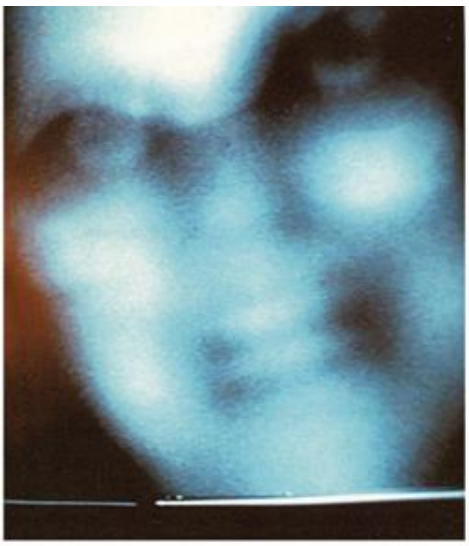

Kto zna tę kobietę? To ostatnie zdjęcie nieznajomej, która pojawiła się na ekranie Klausa Schreibera podczas jego paranormalnych eksperymentów wideo. (Zdjęcie: Klaus Schreiber/Archiwum Reinera Holbego)

21 listopada 1581 roku John Dee miał otrzymać ten „czarny kryształ" od anioła o imieniu Uriel. Lustro miało wspierać jego wizje i obecnie znajduje się w British Museum. (Zdjęcie: Ernst Meckelburg)

Oryginalna metalowa płytka z motywem szamana ze zbiorów ojca Carlo Crespiego z Ekwadoru, wystawiona jako eksponat podczas wystawy „Unsolved Mysteries". Z nieznanych przyczyn wykonanie zdjęcia artefaktu było niezwykle trudne. (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

Thot, starożytny egipski bóg mądrości z głową ibisa. W egipskiej mitologii miał on czarodziejskie lustro, dzięki któremu mógł odbierać „słowo boga" nawet z najdalszych zakątków kosmosu. Czy było to supernowoczesne urządzenie? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

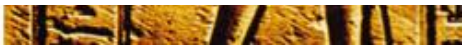

Ten portret kobiety pojawił się w 1992 roku w upiornym domu w Bélmez (południowa Hiszpania) (Zdjęcie: Cesar Tort)

Gotycka monstracja z cudowną krwawiącą hostią w kościele św. Oswalda w Seefeld (Zdjęcie: Związek Turystyczny Seefeld)

Kamienne schody w Peru starannie wycięte z kamienia. W jakim celu i za pomocą jakich narzędzi udało się je wykonać starożytnym Inkom? (Zdjęcie: Walter-Jörg Langbein)

Odkryta w 1908 roku czaszka z kwarcu dymnego „E.T." liczy 500 lat. Jaką metodą została wykonana? (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

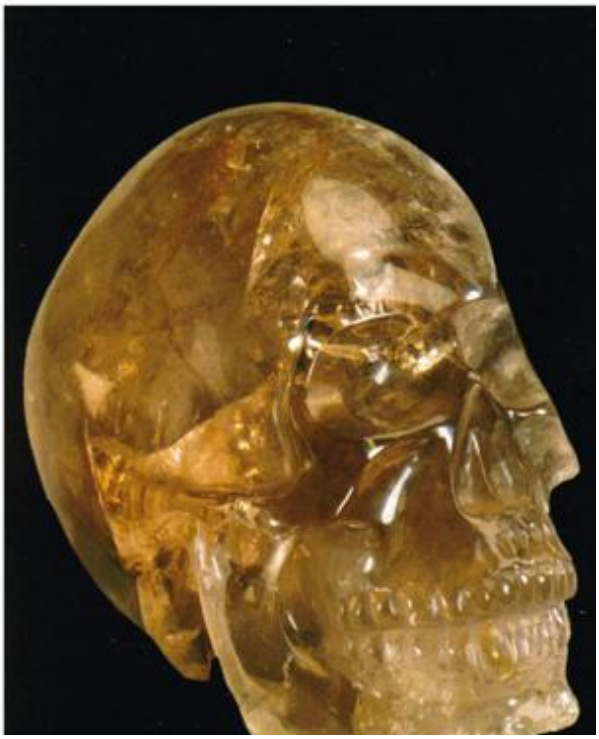

Malowidło naścienne w kościele kolonialnym w Chinchero wyjaśnia peruwiański cud budowlany pomocą niebios: skrzydlate anioły wycinają kamienne płyty ze skały. (Zdjęcie: Walter-Jörg Langbein)

Klejnot kultury Misteków wykonany z kryształu górskiego, liczący 500 do 700 lat. Precyzyjny szlif i wzór równie dobrze mogłyby powstać w nowoczesnym warsztacie kamieniarskim. (Zdjęcie: Narodowe Muzeum Antropologiczne w mieście Meksyk)

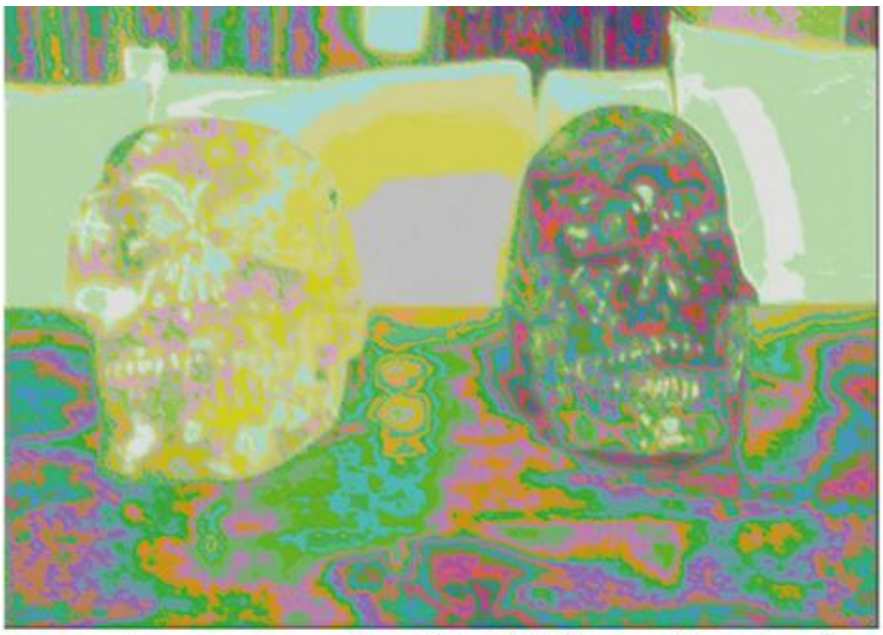

Eksperyment przeprowadzony w Seraphim-Institut: Obie kryształowe głowy Corazon de Luz (z lewej) i „E.T." (z prawej) emitują silne impulsy fotonów. Wygląda to tak, jakby czaszki łączyły się ze sobą i wymieniały informacje. (Zdjęcie: Karin Tag, Seraphim-Institut)

Dlaczego trajektorie międzygwiezdnych sond kosmicznych Pioneer i Voyager zbaczają z obliczonego kursu? Błąd przyrządów jest wykluczony. Czy anomalie można wytłumaczyć rozszerzaniem się wszechświata? Czy odpowiada za to ciemna materia, a może coś zupełnie innego? (Zdjęcie: NASA)

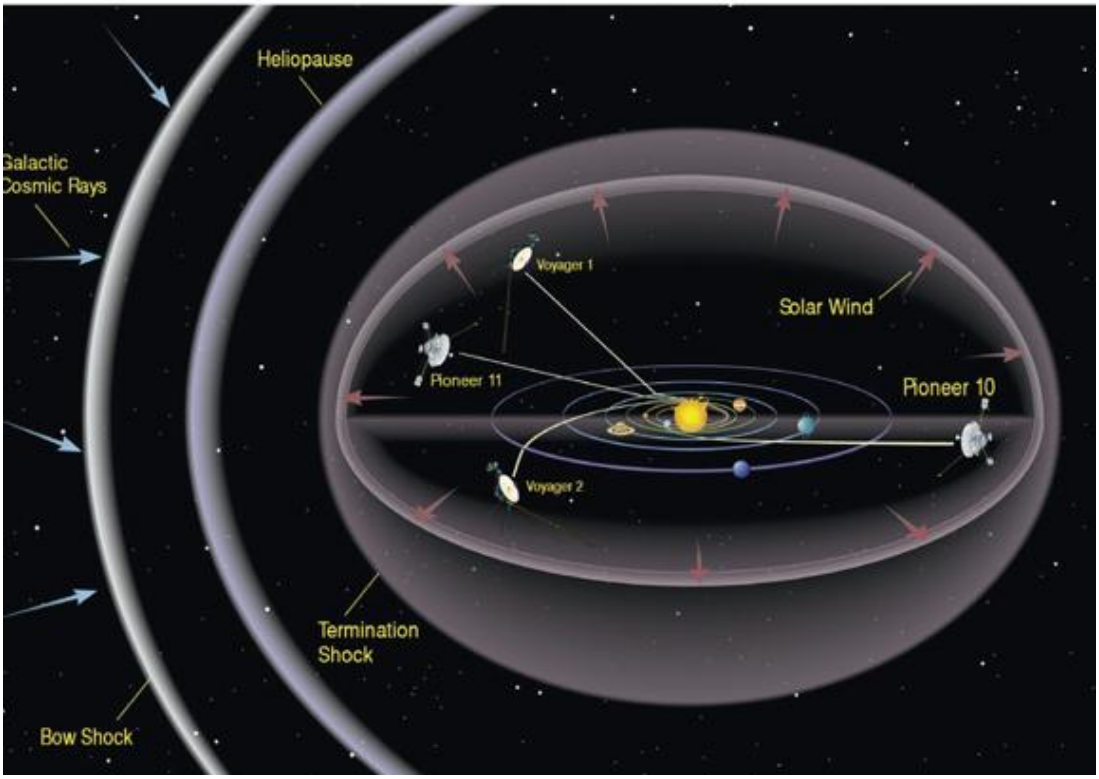

Skamieniała zagadka w kościele Madonna de Tufo w Rocca di Papa (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Dziwny przejaw kultu ojca Pio w Rocca di Papa: pociski z farby i pomidorów pozostawiają na fasadzie kościoła dekoracyjny wzór. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

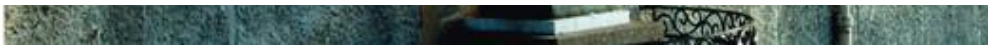

Księgi cudów z Mariastein opowiadają o 266 cudach przypisywanych Maryi Pocieszycielce. Pobożne przesądy czy pozaziemska ingerencja? (Zdjcie: Reinhard Habeck)

Jedna z rzadkich kolorowych fotografii pioruna kulistego, wykonana w 1978 roku w miejscowości Vorarlberg. (Zdjęcie: © Werner Burger, www.flyingfor2.at)

Udokumentowane dopiero w 1989 roku: gigantyczne rozbłyski światła, wystrzelające na wysokość 100 kilometrów. Fenomen został zaobserwowany wraz z początkami lotnictwa, był jednak uznawany za „bajki o UFO". (Zdjęcie: NASA/Uniwersytet Alaski)

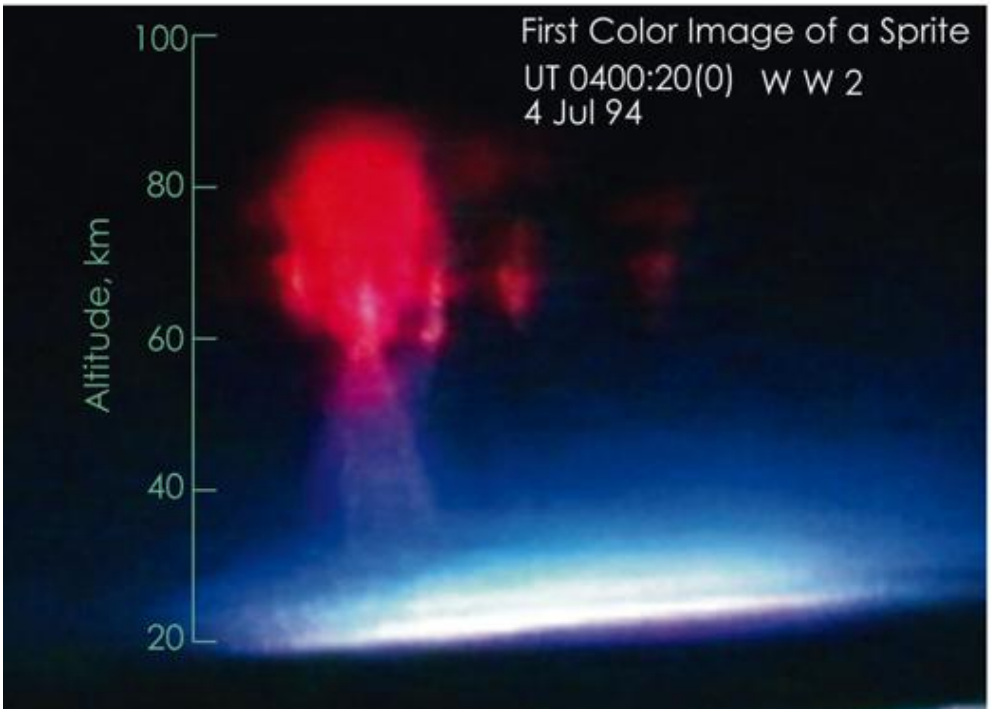

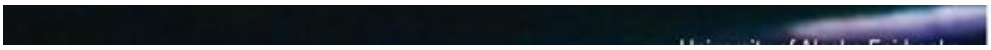

Dziwny fenomen świetlny podczas konferencji naukowej we wrześniu 2004 roku. Przyczyna fioletowej fontanny światła do dziś nie została wyjaśniona. Czy przypadkowo odkryto energie pochodzące z ziemi? (Zdjęcie: Karl Fritsche/Stowarzyszenie Steinspur)

Monumentalne rysunki roślin w Lebensmittelfarbe powstałe dzięki radiestezji i barwnikom spożywczym. (Zdjęcie: Gerhard Pirchl)

„Piktogramy" w Alpach? Monumentalne rysunki, podobnie jak wzory w zbożu, najlepiej są widoczne z powietrza. Odwracając obraz do góry nogami, można rozpoznać ptaka. W jaki sposób powstają te struktury uformowane przez „energie ziemne"?

(Zdjęcie: Gerhard Pirchl)

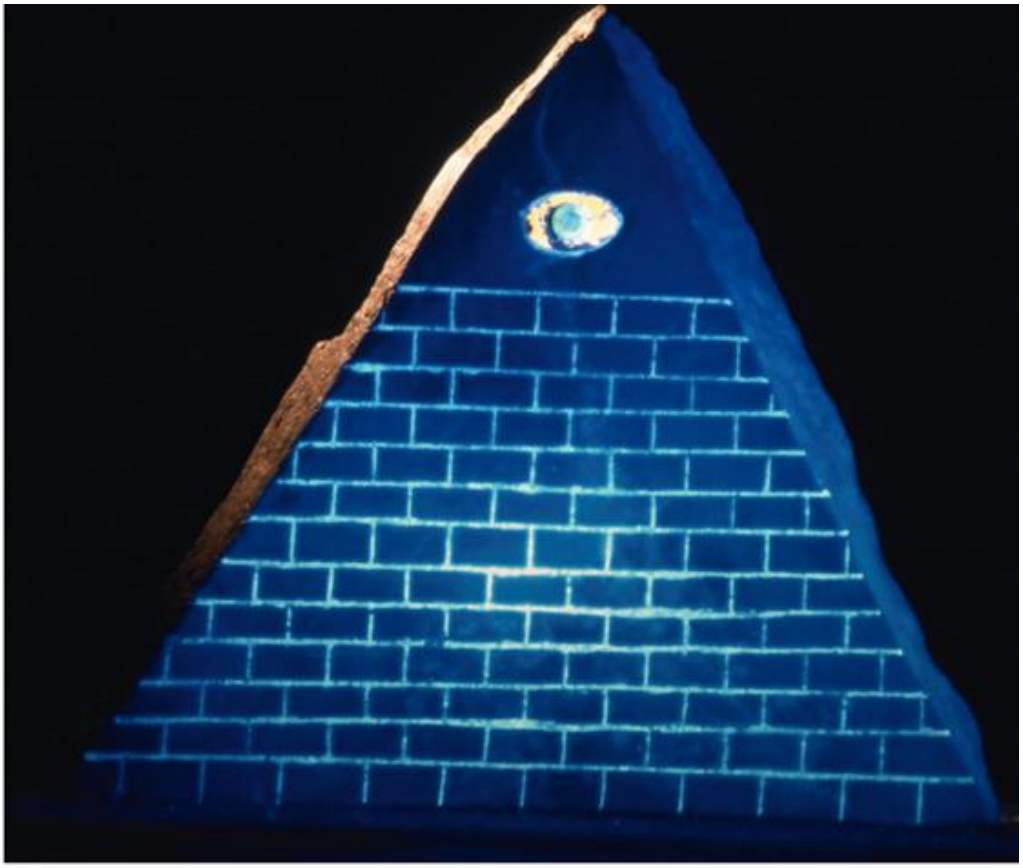

Najbardziej przykuwający uwagę eksponat z dżungli w Ekwadorze: świecąca piramida z La Mana, odpowiadająca pod względem kształtu i wyglądu rysunkowi na banknocie o nominale jednego dolara. Sprytne fałszerstwo? Jak wyjaśnić świetlisty efekt? Jakie znaczenie ma 350 przedmiotów z gliny, metalu i kamienia? (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

Szczegółowy widok „świecącej piramidy z boskim okiem". (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

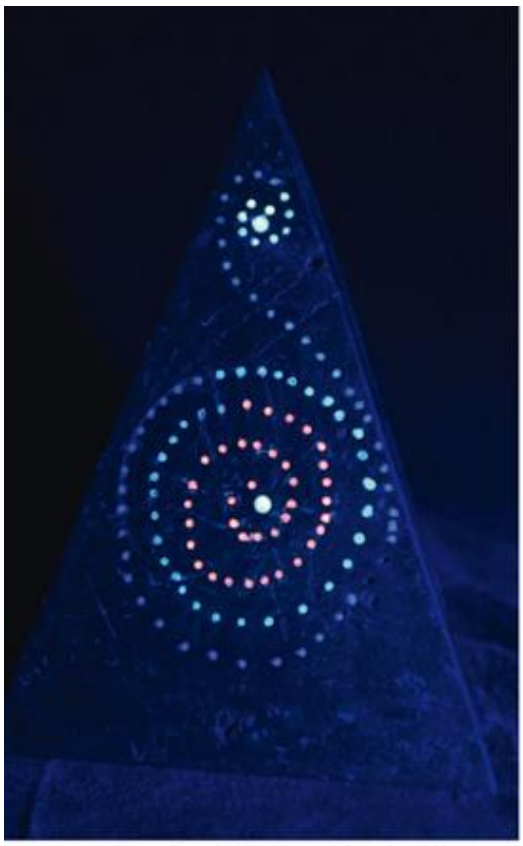

Inny kamień piramidy z La Mana ze świetlistymi spiralami, przypominającymi schematyczne przedstawienie orbit Ziemi i Księżyca. (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

Niektóre z reliktów znalezionych w La Mana, także ten kielich, ukazują konstelacje gwiazd. Przy naświetlaniu promieniami UV zaczynają świecić. (Zdjęcie: Bernhard Moestl)

Untersberg widziany od strony miejscowości Ettenberg. W okolicy przełęczy Mittagsscharte często dostrzegane są fenomeny świetlne i efekty przesunięcia czasu. (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

W rękopisie Lazarusa Günznersa (1523) udokumentowane zostało odkrycie tajemniczej inskrypcji na skale. Kryptografom nie udało się dotychczas rozszyfrować „kodu Untersberg" (Zdjęcie: Muzeum Salzburga)

Unterberg widziany od strony północy: od przełęczy Mittagsscharte przez halę Klingeralm i w dół do Waldandacht w stronę Großmain przebiega „Linia Cyryla" (czerwona). Z tej okolicy pochodzi najwięcej relacji o anomaliach czasowych. (Zdjęcie: Martina i Rainer Limpöck)

Gnom w drzewie. Odbicie światła czy duch? (Zdjęcie: Martina i Hans Fichtenbauer)

Grób pisarza science fiction Waltera Ernstinga (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

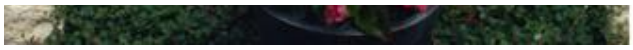

Wejście do „Jaskini Duchów" Fürstenbrunn u stóp Untersbergu w Salzburgu (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Wycieczka w 2007 roku: tajemniczy obłok mgły, który nagle zmienił kształt. Iluzja czy duch z innego świata? (Zdjęcie: Roland Gerstmayr)

Według ludowych wierzeń co kilka lat w połowie sierpnia na przełęczy Mittagsscharte otwierają się wrota do innego świata. Tuż obok znajduje się jaskinia Kamienna Chata, gdzie 15 sierpnia zaobserwować można fenomen świetlny. (Zdjęcie: Dzintra Pededze)

Tunel świetlny w jaskini Kamienna Chata. (Zdjęcie: Dzintra Pededze)

Dyrektor muzeum Martin Leitner z zabytkowymi oryginalnymi maskami używanymi w tradycyjnych „dzikich łowach". Co spowodowało powstanie tego żywego do dziś kultu? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

Czy „zagajnik duchów" koło Marktschellenberg to wylęgarnia orbów? To zdjęcie pokazuje „plamy duchów" ze śladem przemieszczania. Łatwe do wyjaśnienia zjawisko czy nieznane „pola energetyczne"? (Zdjęcie: Thomas Distler)

Fresk sufitowy z postacią Maryi Ettenberg: zasady świętej geometrii i ukryte symbole mezopotamskiej bogini nieba Isztar. Z serca Maryi płynie promień światła. Dlaczego jest on odbijany przez lustro niemal pod kątem prostym i trafia w szlachetny kamień pierścienia królowej Estery? (Zdjęcie: Reinhard Habeck)

kamień pierścienia królowej Estery? (Zdjęcie: Reinhard Haubeck)